DORWIJ GO!

NOWY LEPSZY

Nestlé LION

Drugi najczęściej wybierany baton w Polsce*

* Nielsen, Październik 2009 - Wrzesień 2010

Książka wyjść

Słowo Prezesa	2
Nie liczy się tylko podium	6
W wielkich górach Himalajach...	12
Zimą na Ucz Sumer	18
Alpejskie manto	28
Trzech panów w Chamonix, nie licząc nart	32
Moje biegowe przypadki, cz.II Ja, Filippides	36
Podsumowanie sezonu zimowego 2009/2010	42
Nowe plany i realizacje Pawła Jackovica	44
Obóz zimowy w Dolinie Kieżmarskiej – trzecia odsłona	48
Obóz zimowy w Dolinie Kieżmarskiej – przez pryzmat wrażeń osobistych	50
Gawęda o pięknej wspinaczce i starych dobrych wzorcach	56
Durny i Mały Durny – ściany pn-wsch i wsch. Nowości i zapomniane realizacje	66
Kto się boi Virginii Woolf?	74
Czekając na Miszę	76
Ciosowa – miejsce nie dla miłośników fast foodów	80
Wyznania malkontenta czyli Tajlandia	86
Jeśli nie Viper to co?	90
Pożegnanie	98
Po-Słowie Po-Prezesa	99
Informacje ogólne	101

A/Zero – Biuletyn Informacyjno-Propagandowy K.W. Warszawa
Nr 2 (18)/2010
ISSN: 1641-9359
Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa

Redakcja: Joanna Cybulska, Marek Grądzki, Adam Latusek, Aleksandra Ogłoza, Magdalena Nowak, Artur Paszczak.
Skład: Klara Żerdzicka.
Kontakt z Redakcją: a.ogloza@gmail.com, a.paszczak@noart.pl

Do powstania numeru przyczynili się: Kinga Baranowska, Jan Gondowicz, Paulina Janczar, Tomasz Klimczak, Paweł „Dr Know" Olendzki, Maciej Ostrowski, Łukasz „Sołtys" Supergan, Bartłomiej Tofel, Mateusz Zabłocki.

W „A/Zero" piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia i życia. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiekolwiek wypadki powstałe podczas uprawiania przez czytelników sportów propagowanych na łamach „A/Zero". Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko.

Redakcja „A/Zero" nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych na łamach biuletynu. Kopiowanie materiałów w całości lub części tylko za pisemną zgodą redakcji „A/Zero".

strona I: Paweł Strzelecki w czasie zjazdów z „*Długosza-Popki*". Fot. Maciej Ostrowski.
strona IV: Impresje z VIII Memoriału Bartka Olszańskiego. Fot. Wojciech Ryczer.

Słowo Prezesa

Etyka czy etykieta?

Jako osoba związana z górami wysokimi zadałem sobie pytanie, co mi najbardziej utkwiło w pamięci z tego roku. Wejść było sporo, nowe korony, pierwsza kobieca Korona Himalajów, nowe drogi. Po namyśle jednak stwierdziłem, że ten rok był dla mnie wielkim zawodem jeśli chodzi o postępujący brak etyki, szczególnie widoczny w górach wysokich. Mam tu na myśli ilość niepotwierdzonych czy kontrowersyjnych wejść na szczyty. Żeby było jasne, nie dotyczy to tylko Himalajów, wątpliwie etycznie historie zdarzają się nawet w naszych Tatrach.

Wszystko zaczęło się od sporów wokół wejścia zdobywców Jedynki 2009 na Malanphulan. Dla postronnego obserwatora wyglądało to jak poważna sprawa sądowa – byli oskarżyciele, sądzeni, adwokaci, biegli w różnych dziedzinach, kibice na sali sądowej, mocne słowa. Dzisiaj już nikt nie pamięta, kto wygrał, kto przegrał. Miejmy nadzieję, że nie zabraknie determinacji i wiary, aby tę sprawę wyjaśnić do końca.

Na świecie niestety też nie działo się lepiej. Zaczęło się od medialnego wyścigu o kobiecą Koronę Himalajów. Wejście Koreanki Miss Oh na Kangczendzongę zostało zakwestionowane przez jej koleżankę po fachu – Baskijkę Edurne Pasaban. Słynny kamień na zdjęciu szczytowym Koreanki urósł do rangi symbolu narodowego. Konferencje prasowe odbywały się co drugi dzień, kolejni biegli wydawali sądy. W końcu Koreance przypomniało się, że zdjęcie jednak nie było zrobione na szczycie, tylko trochę poniżej, bo na wierzchołku za mocno wiało. Wejście zyskało miano niepotwierdzonego. Znamienne jest, że jak pytaliśmy koreańskich wspinaczy podczas wyprawy o K2 o tę sprawę, to obracali głowę w drugą stronę i machali ręką z dezaprobatą – tak im było wstyd za tę sprawę. Wiadomo, Koreańczycy to naród bardzo honorowy, a tu taka nieprzyjemna sprawa.

Wszystkich jednak w tym sezonie przebił Austriak Christian Strangl, który w połowie sierpnia dumnie ogłosił całemu światu, że wszedł samotnie na K2 podczas trwającego 70 godzin solowego ataku szczytowego. Światowe media i cała rzesza fanów gór wysokich rozdziawili usta i wykrzyknęli: „Wooow!". Strangl momentalnie awansował do światowej czołówki himalaistów – w końcu na takie wejścia stać tylko najlepszych. Ci, którzy kiedykolwiek byli na K2, od razu mieli wątpliwości: jak asekurował się w Butelce, dlaczego nikt go nie widział, dlaczego zostawił sprzęt w obozie trzecim? Ilość pytań lawinowo rosła z tygodnia na tydzień. Strangl nie wytrzymał ciśnienia i na konferencji prasowej przyznał się, że brak tlenu spowodował u niego halucynacje, tylko wydawało mu się, że stał na szczycie. Dodał również, że głównym motywem kłamstwa była też chęć uniknięcia niepowodzenia w oczach jego sponsorów. Trudno mi zrozumieć, dlaczego Strangl położył na szali wszystkie swoje dotychczasowe osiągnięcia. Przecież brak wejścia na K2 to nie żadna porażka. Etyka przegrała z etykietą, która przejawia się w osiąganiu sukcesów za wszelką cenę, nawet kłamstwa na ołtarzu rozgłosu medialnego i zadowolenia sponsorów.

To chyba nie przypadek, że te trzy żenujące historie wydarzyły się w ciągu zaledwie niecałego roku. Kiedyś słowo „byłem, zdobyłem" wystarczyło, aby wejście zostało uznane. Obecne wydarzenia powodują, że kryzys etyki w górach stał się faktem, wartością, którą można handlować w zależności od ceny. Ważne, abyśmy wymagali od siebie oraz od swojego wspinaczkowego otoczenia, aby etyka wróciła na piedestał. To kręgosłup naszego środowiska, w którym słowo i drugi człowiek są ważniejsze niż dwa Złote Czekany. Etyka, a nie etykieta.

Marcin Miotk

SALEWA CERRO TORRE Nestlé

Dlaczego warto być członkiem KW Warszawa?

Jesteśmy klubem prawdziwie koleżeńskim i partnerskim, w którym znajdziesz ludzi podzielających Twoją pasję – góry i wspinaczkę. Znajdziesz kolegów i koleżanki na wspólne wyjazdy, otrzymasz pomoc w sprawach dotyczących Twoich zainteresowań. Poznasz doświadczonych wspinaczy i będziesz mógł się od nich uczyć.

W ramach naszej składki – jednej z najniższych w kraju – otrzymasz najbardziej atrakcyjny pakiet korzyści ze wszystkich polskich klubów:

- renomowany biuletyn „A/Zero" przyślemy Ci pocztą do domu,
- otrzymasz zniżki nawet do 30% w prawie trzydziestu firmach i sklepach współpracujących z klubem, a także w schroniskach,
- będziesz miał możliwość zakupu tańszego sprzętu w ramach zbiorczych zakupów klubowych,
- uzyskasz możliwość nabycia klubowych gadżetów, a niektóre z nich otrzymasz bezpłatnie,
- będziesz mógł podzielić się z innymi klubowiczami swoimi zdjęciami i artykułami publikowanymi na naszej stronie internetowej, a także prowadzić tam swój osobisty wykaz przejść,
- ...i wreszcie będziesz mógł opłacić składkę przelewem, a znaczek wyślemy Ci pocztą.
- Oferujemy dostęp do klubowej biblioteki oraz bazy przewodnikowej, dzięki czemu – gdziekolwiek się udajesz – uzyskasz potrzebne Ci informacje.
- Będziesz mógł uczestniczyć w klubowych imprezach, szczególnie w wyjazdach i obozach wspinaczkowych (letnich i zimowych), na których będziesz mógł udoskonalić lub poznać nowe dziedziny wspinaczki i jej techniki pod okiem najlepszych instruktorów.
- Posiadamy obszerną i w pełni wyposażoną (DVD, projektor multimedialny, ekran, wzmacniacz, kolumny) siedzibę klubową przy ul. Noakowskiego 10 m. 12.
- Będziesz mógł uczestniczyć bądź współorganizować pokazy slajdów i filmów w klubowej siedzibie – wystarczy, że zgłosisz chęć pokazania swoich materiałów.
- Uzyskasz możliwość tańszego korzystania z warszawskich ścian wspinaczkowych „Obozowa" oraz „Nowowiejska" (wtorek od godz. 20 tylko dla KWW i tylko za 10 zł).
- W środy i soboty będziesz mógł korzystać z klubowej bulderowni w lokalu klubowym (w godz. 16–22, opłata 5 zł za wejście). Jeżeli zaś wstąpisz do sekcji bulderowej – uzyskasz dostęp nielimitowany.
- Dzięki współpracy klubu ze szkołami wspinaczkowymi: „Alp Extreme", „W Pionie", „Planet Sports", „Warszawska Szkoła Alpinizmu", „Go Up", „Pionowy Świat" – uzyskasz w nich 10% zniżki na wszelkie szkolenia.

A jeżeli będziesz tylko chciał – uzyskasz możliwość współtworzenia naszego klubu i pracy na rzecz środowiska górskiego i wspinaczkowego, ponieważ każdy z członków KWW może realizować w ramach niego swoje własne inicjatywy.

Konkurs na koszulkę KW

W ubiegłym roku zorganizowany został konkurs na nową koszulkę KW Warszawa. Ilość projektów, który przyszły w odpowiedzi na niego, przeszła nasze najśmielsze oczekiwania. Były pomysłowe, świeże, zaskakujące. Dlatego postanowiliśmy, aby wyboru dokonali sami klubowicze. W rundzie finałowej znalazło się pięć z nadesłanych prac, a w wyniku Waszego głosowania wyłoniony został projekt zwycięski autorstwa Adama Latuska. Gratulujemy!

Wzór jest na tyle ciekawy, że aż trudny do wykonania. Dlatego prace nad koszulką się przeciągają, ale finisz już blisko! Cierpliwości, już niedługo koszulki trafią do sprzedaży!

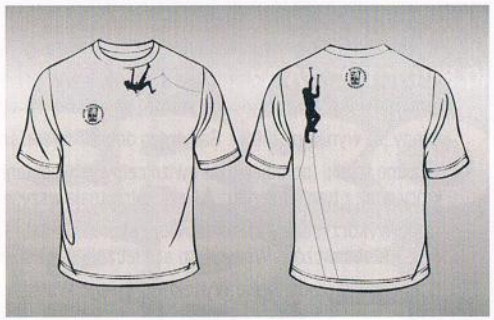

Wyprawa 2010

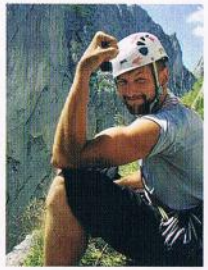

Po raz kolejny przeprowadziliśmy także konkurs na Klubową Wyprawę roku 2010. Nagrody ufundowała firma Salewa. Zgodnie z warunkami konkursu, wszyscy członkowie zgłoszonych wypraw musieli być członkami KW Warszawa. Przewidziano następujące nagrody dla zwycięskich zespołów: za I miejsce – 4 tysiące zł, II miejsce – 3 tysiące zł, III miejsce – 2 tysiące zł, a za IV miejsce– 1 tysiąc zł, do odebrania w sprzęcie sponsora konkursu. Laureatami zostali: Adam Latusek, Mateusz Zabłocki, Wojciech Szeloch oraz Andrzej Szypowski, którzy wybrali się do rejonu Prokletije w Albanii (II miejsce), Bartłomiej Tofel, Michał Karbowski, Jacek Kierzkowski, Tomasz Klimczak oraz Maciek Ostrowski, uczestnicy większego projektu Afganistan 2010 (III miejsce), oraz Magdalena Nowak i Paweł Strzelecki, działający w Dolinie Bezingi (IV miejsce). O nagrodzonych wyprawach będziecie mogli przeczytać w następnym numerze „A/Zero". Tymczasem myślcie nad własnymi projektami, niedługo kolejna edycja konkursu!

1% Dla KW Warszawa

Zgodnie z wcześniejszymi informacjami, zarząd Klubu Wysokogórskiego Warszawa czynił starania, abyśmy stali się organizacją pożytku publicznego (OPP). Na walnym zebraniu, które odbyło się w styczniu 2010 r., przegłosowaliśmy zmiany, które, mamy nadzieję, umożliwią nam zrealizowanie tych planów w ciągu najbliższych lat.

Fundacja Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki
1% dla KW Warszawa
Szczegółowa instrukcja na www.kw.warszawa.pl

Dzięki uprzejmości Fundacji Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki możemy w tym roku po raz kolejny zbierać 1% na Klub Wysokogórski Warszawa. Jak to zrobić?W zeznaniu podatkowym za rok 2010 przekazujemy 1% na Fundację Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki (KRS 0000084062) oraz KONIECZNIE wskazujemy jako cel wpłaty: KLUB WYSOKOGÓRSKI WARSZAWA

Zebrane fundusze zostaną przeznaczone na cele statutowe naszego klubu. Ostatnie lata pokazały, że rozwijamy się dynamicznie. Zarząd ma wiele ciekawych pomysłów na ożywianie życia klubowego z pożytkiem dla wszystkich członków, także tych spoza Warszawy. Wasz 1% pomoże te pomysły wcielić w życie!

Liczymy również, że informacje o 1% dla KWW przekażecie Waszym kolegom, sympatykom, rodzinom, znajomym. Dołożymy wszelkich starań, aby Wasz 1% został dobrze zagospodarowany.

Znany już wyniki za 2009 r. Są bardzo dobre – zebraliśmy 7 537,33 PLN i, co ważne, otrzymaliśmy już pieniądze!

Zebrane środki (po odjęciu darowizn celowych) zostaną przeznaczone na druk klubowego kalendarza na rok 2011, który wraz z tym numerem „A/Zero" otrzymają wszyscy klubowicze z zapłaconymi składkami za rok 2010.

Takie wykorzystanie 1% to czytelny sygnał, że zebrane w ten sposób pieniądze mają trafić do jak najszerszej grupy klubowiczów. Wszystkim serdecznie dziękujemy i zachęcamy do wsparcia naszego klubu w tym roku!

W imieniu zarządu Klubu Wysokogórskiego Warszawa.

Marcin Miotk

*dla członków klubu na cały asortyment
-15%
*za okazaniem legitymacji członkowskiej, we wszystkich sklepach sieci promocja nie dotyczy artykułów przecenionych.
www.cerrotorre.pl
CERRO TORRE

Wywiad z Kingą Baranowską

601 100 300
NUMER RATUNKOWY W GÓRACH

Nie liczy się tylko podium

Rozmawiał: **Artur Paszczak**

Zdjęcia: **Kinga Baranowska**

Jesienią 2009 i wiosną 2010 nasza klubowa koleżanka Kinga Baranowska wzięła udział w dwóch wyprawach na ośmiotysięczniki – Shisha Pangmę (8013 m) i Annapurnę (8091 m). W wywiadzie udzielonym Arturowi Paszczakowi opowiada o mniej znanych szczegółach obu wyjazdów.

Kinga, zacznijmy od jesiennej wyprawy na Shishę. W powszechnej opinii nie jest to trudna góra, zwłaszcza od północy, a tu nagle niepowodzenie.

To jest takie znane nieporozumienie. Większość ludzi wchodzi obecnie na Shisha Middle i nawet dostają od Chińczyków zaświadczenie o wejściu na wierzchołek. To taki trik marketingowy. Niestety, grań pomiędzy Middle a Main jest bardzo trudna. Widziałam zdjęcia z czasów Wandy Rutkiewicz, na których ta grań jest zupełnie inna. W latach 90. nastąpił jednak wielki obryw i wygląda to naprawdę nieciekawie. Nawet jest wariant Inakiego Ochoa z trójki, trawersujący w lewo i wprost na wierzchołek, który właśnie ten uskok omija. Dlatego jeśli tam jeszcze pojadę, to chcę się przygotować na stronę południową. Ściana jest trudniejsza, ale przynajmniej nie będę uczestniczyć w tym cyrku wypraw komercyjnych.

Aż tak źle?

Fatalnie. Nie mieliśmy tragarzy i traktowali nas jak ludzi drugiej kategorii. Kiedy doszło do ataku szczytowego, wyszliśmy z bazy wcześnie rano i na całe szczęście byliśmy w jedynce ok. 13. Okazało się, że ukradli nam wszystko – namioty, sprzęt, zostały tylko puste platformy, wyobrażasz sobie?

To nieprawdopodobne. Kto to zrobił?

Nie wiem. Pewnie to miała być nauczka, żeby brać tragarzy. Chcieli nam pokazać, jakie tam panują porządki.

Czyli wrażenia z Chin nie najlepsze?

Niestety. Czuje się, że to kraj komunistyczny. Tybetańczycy chodzą ze wzrokiem wbitym w ziemię, są tacy zgaszeni. Robi to wszystko dość przykre wrażenie. No i ta komercja i łapownictwo. Wszędzie trzeba za coś płacić, a to za jaki, a to przepustki, a to do kieszeni trzeba dać. Mam nadzieję, że pod południową ścianą, gdzie nie ma wypraw komercyjnych, atmosfera będzie zupełnie inna.

Czyli po „ukradzeniu obozu" było już po wszystkim?

No tak, co było robić, to był po prostu koniec wyprawy.

Na nastepny cel wybrałaś Annapurnę. Pojechałaś tam w mocnej ekipie, z Piotrem Pustelnikiem i Peterem Hamorem, ale wspinałaś się w zespole z Horią Colibasanu z Rumunii. Co to za wspinacz?

Bardzo doświadczony. Wspinał się kiedys z Inakim Ochoa, który zresztą zginął na grani Annapurny po tym, jak dostał obrzęku. Horia spędził z nim parę dni, tam na górze, został mu po tym spory uraz do Annapurny. Powiedział mi jasno, że dopuszcza tylko jeden atak szczytowy, bo uważa, że próbować więcej razy jest zbyt niebezpiecznie. Mi to też odpowiadało, postanowilismy więc najpierw zaaklimatyzować się na Pumori, a potem uderzyć od razu na szczyt. To się sprawdziło.

Annapurna ma złą sławę, nie obawiałaś się?

Po ostatnich wyprawach czułam, że jestem gotowa. Również Piotr zaczął się przełamywać i w końcu postanowił dać sobie ostatnią szansę. Wcześniej zarzekał się, że piąty raz na Annapurnę nie pojedzie, bo prześladuje go tam pech.

Aklimatyzacja na Pumori chyba zadziałała, bo weszłaś z bazy do dwójki w jeden dzień, 1500 m, i nawet tam nie spałaś, tylko tego samego dnia wróciłaś.

Tak, chciałam wynieść sobie trochę rzeczy do atatku szczytowego. Czułam się dobrze. Potem niestety zrobiło się załamanie, trwało z tydzień, po czym ruszylismy wszyscy do góry.

Na szczycie Annapurny, 27.04.2010 r.

Najniebezpieczniejszy odcinek na północnej ścianie Annapurny, powyżej obozu II.

Jakie wrażenie zrobiła na Tobie Annapurna?

Popatrz sobie na to zdjęcie. To jest najbardziej psychiczne miejsce, zagrożone potężnymi serakami. Tu trzeba iśc szybko i sprytnie, jest naprawdę bardzo niebezpiecznie i taka jest właśnie ta góra.

A czemu droga niemiecka, a nie np. francuska?

Na francuskiej jest jeszcze gorzej. Może w 1950 r. to wszystko wyglądało lepiej, ale teraz to jest naprawdę paskudnie.

Francuzi porównywali trudności techniczne zaledwie do Mont Blanc.

Jasne, bo trudności nie są duże, ok. III. Ale co z tego, jak jest potężne zagrożenie lawinami i serakami. W razie opadu śniegu tam się po prostu nie da przeżyć.

Tak więc ruszyliście na szczyt z Horią.

Tak naprawdę to ruszyli wszyscy. Oprócz nas również Hiszpanie, ekipa Miss Oh plus dwójka Rosjan.

Na szczyt weszliście 27 marca we czwórkę – dwóch Piotrów i Ty z Horią?

Weszło więcej osób. Najszybciej z naszej czwórki weszli Horia i Peter, potem my, ale było dość wcześnie, na szczęście. Na piku byliśmy ok. godz. 14, dzięki czemu z powrotem w czwórce znaleźliśmy się już ok. 18. Potem zaczęli wracać Hiszpanie i okazało się, że został Tolo Calafat z ich ekipy. Miał radio, zasłabł gdzieś w okolicach 7700 i nie miał siły zejść. Po dotarciu ze szczytu do czwórki nikt nie miał jednak siły, żeby po niego wracać, ponownie aż pod sam szczyt.

Jeden z wielu seraków w drodze do szczytu

Co było dalej?

Nastepnego dnia [28 marca – red.] miałam zamiar wracać do bazy, taki był plan. Jednak ze względu na Tolo wszyscy czekaliśmy. Hiszpanie wezwali śmigłowiec ratunkowy. Moje zejście więc bardzo się opóźniło, a na tej wysokości człowiek w ogóle nie odpoczywa, stamtąd trzeba po prostu jak najszybciej uciekać.

Ktos próbował wyjśc po Tolę?

Nikt nie miał siły, a pogoda była nie najlepsza. Hiszpanie napierali na Szerpów Miss Oh, ale nawet oni twierdzili, że jest zbyt niebezpiecznie i nie będą ryzykować. Hiszpanie mieli potem do nich pretensje, ale moim zdaniem niesłusznie. Tak więc 28. po południu zaczeliśmy schodzić, ale Horia i dwóch Hiszpanów – Orizabal i Pauner, zostali w czwórce, jako ewentualna pomoc.

Była cały czas łączność z Tolem?

Była, to było bardzo ciężkie przeżycie, on się łączył z domem, domyślasz się. Ostatnią wiadomość od niego dostaliśmy wieczorem, ok. godz. 20. Następnej nocy już niestety nie przeżył.

Śmigłowiec w końcu poleciał?

Tak, 29 marca rano. Ale po opadzie śniegu już go nie odnaleźli, chociaż to bardzo dobrzy piloci, ze Szwajcarii. Ustanowili tym lotem rekord wysokości akcji śmigłowcowej. Cały helikopter był odciążony, nawet drzwi wyjęli, ale niestety – Tola nie uratowali, natomiast zgarnęli całą tę trójkę z czwórki. Kiedy ja dotarłam do bazy, bo nocowałam w jedynce, to Horia już tam był i witał mnie herbatą. Dla niego zejście trwało 12 minut.

Jak ich zwieźli?

Musieli się sami wczepić do liny i tak podczepionych zwieźli do bazy. Horia miał kamerkę na kasku i nagrał cały ten lot, użyłam go nawet w swojej prezentacji. Cała ta historia zrobiła na nas wszystkich bardzo przygnębiające wrażenie, i generalnie nie lubię o tym mówić, zwłaszcza że potem miałam przykre doświadczenia z mediami po powrocie.

Jakie doświadczenia, łowców sensacji?

Trochę tak – media nakręcały sprawę wypadku, a z kolei sponsorzy powiedzieli mi: przykro nam, pani Kingo, ale my nie chcemy być kojarzeni z wypadkami, tylko z sukcesami. W związku z tym dziękujemy za współpracę. Niestety – kolejny raz okazało się, że liczy się tylko podium, media, reszta nie jest ważna, jak widać.

Czy Hiszpanie używali tlenu?

Tam chyba nikt nie używał. Był oczywiście tlen medyczny. Był zresztą taki moment, kiedy Rosjanin, Żenia, nienajlepiej się poczuł w czwórce, po prostu zaległ na śniegu przed namiotem. Na szczęście to zauważyłam, ale gdyby nie tlen, to nie wiem, jakby się to skończyło. A tak szybko doszedł do siebie.

Jakie jest Twoje zdanie na temat używania tlenu na ośmiotysięcznikach?

Uważam, że każdy zdrowy człowiek potrafi się zaaklimatyzować do takiego wejścia, może za wyjątkiem Everestu. Trudno mówić o jakiejś wartości sportowej, jak się idzie na tlenie – to jest gigantyczna różnica. Na Kangczendzondze szli koło mnie ludzie z tlenem, zupełnie jakby mieli turbodoładowanie – ze trzy razy szybciej. Z tlenem czujesz się nie jak na ośmiu tysiącach, ale jak na sześciu. Nie powinny tu grać roli sprawy ambicjonalne – jak ktoś nie daje rady bez tlenu, albo ma problemy ze zdrowiem, to po prostu powinien go użyć.

Jakie plany na przyszłość? K2, Makalu?

Najpierw Makalu, potem w czerwcu K2 jeśli się wszystko uda.

Z kim pojedziesz?

Pewnie z obcokrajowacami, prawdopodobnie w zespole z Fabrizio Zangrilli, to Amerykanin wbrew pozorom. Być może pojedzie też Gerlinde [Kaltenbrunner – red.], która wreszcie musi zrobić K2. To byłby dobry skład.

Nikt z Polski?

Namawiamy się z Michałem Królem od dwóch sezonów, on nawet chętnie by pojechał, ale ciągle ma te swoje egzaminy przewodnickie i ciężko mu się zebrać.

W takim razie będziemy trzymać kciuki i dzięki za wywiad.

Po wyczerpującym podejściu w obozie IV na 7 tys. metrów.

SEZONOWE OBNIŻKI WYBRANYCH PRODUKTÓW DLA CZŁONKÓW KW WARSZAWA -25%

SKLEP HiMountain WARSZAWA UL. KRÓLEWSKA 2

(WEJŚCIE OD KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA)

HiMountain

W wielkich górach Himalajach...

Tekst i zdjęcia: **Marek Gradzki**

Od mojej pierwszej wizyty w Alpach minęły już dwa lata. Przygoda, którą wówczas przeżyłem na północnej ścianie Piz Badile, do dziś wzbudza wesołość u moich przyjaciół i pewnie nigdy nie zostanie mi zapomniana.

Jakoś tak się w mojej wspinaczkowej karierze układa, że większość planów, względnie ambitnych projektów czy wreszcie konkretnych akcji górskich kończy się zazwyczaj fiaskiem w postaci mniej lub bardziej zabawnych przygód, częstokroć na granicy dopuszczalnego ryzyka czy zdrowego rozsądku. Z drugiej strony, kto z nas nie ma na koncie dramatycznych wycofów, nieplanowanych biwaków czy niezbyt bohaterskich odwrotów? Są to integralne elementy wspinaczkowego życia, zwłaszcza tego toczonego w knajpie nad kuflem piwa, bo i o czym byśmy gawędzili, gdyby każda wspinaczka kończyła się tak jak sobie zaplanowaliśmy i to jeszcze, nie daj Boże, sukcesem.

W ten wesoły kanon doskonale wpisał się mój zeszłoroczny letni sezon, kiedy to zgodnie ze starą szkołą atakowania gór coraz to wyższych, udałem się z przyjaciółmi w Kaukaz. Niestety, po kilku dniach na miejscu okazało się, że z powodu manewrów wojskowych nie ma szans na wjazd ani do Bezengi, ani do żadnej z okolicznych dolin. W związku z tym wróciliśmy do domu, spędzając na Kaukazie pięć dni, a w pociągach prawie dwa razy tyle. Zaraz po powrocie ruszyłem w Alpy, aby zatrzeć złe wspomnienia, jednak po kilku dniach i przełojeniu fantastycznej drogi (oczywiście z kiblem, choć tym razem, o dziwo, zaplanowanym) skręciłem sobie kostkę na ścieżce przy stacji kolejki na Midi, kończąc tym samym na dobre wakacyjny sezon.

Ostatnia zima również obfitowała w przygody, takie jak choćby trzy brawurowe wycofy z Kotła Kazalnicy (jeden po wielu godzinach, całkiem dramatyczny, choć z pierwszego wyciągu) oraz odwrót z samej Zerwy, na szczęście bez dotknięcia choćby dziabą tejże. Trochę już znużony ewidentnie ciążącym nade mną fatum, żywiłem nadzieję, że przełomem będzie wyprawa w Himalaje Nepalu. Wiosną miałem bowiem zaszczyt i przyjemność odwiedzić najsłynniejsze góry świata, wspólnie z towarzyszami zeszłorocznej kaukaskiej niedoli. Plany, jak to plany, były oczywiście ambitne. Najpierw aklimatyzacja w rejonie Khumbu, na pięknej górze Cholatse. Potem cel główny, czyli dziewicze Takargo w sąsiedniej dolinie Rolwaling. Niestety na kilka tygodni przed wyjazdem okazało się, że nasze Takargo już takie dziewicze nie jest, bo właśnie zostało zdobyte przez dwóch Amerykanów. Pech, ale też i znak jakiś może, który po krótkich dyskusjach postanowiliśmy zignorować i planów nie zmieniać. Z końcem marca wyruszyliśmy więc na wielką przygodę.

W tym momencie uspokoję wszystkich przerażonych czytelników – nie zamierzam rozwlekle opisywać wszystkich wrażeń z pierwszej wizyty w Himalajach, uroków Kathmandu, ujrzenia na własne oczy Everestu czy tym podobnych poważnych spraw. Nie będzie też relacji z całej wyprawy, chciałbym tylko przedstawić pewien wpis z mojego wyjazdowego dziennika, pewien dzień, bez wątpienia jeden z zabawniejszych na wyprawie (oczywiście z perspektywy czasu). Świetnie pasuje on bowiem do mego wspinaczkowego żywota jako

Baza pod Cholatse.

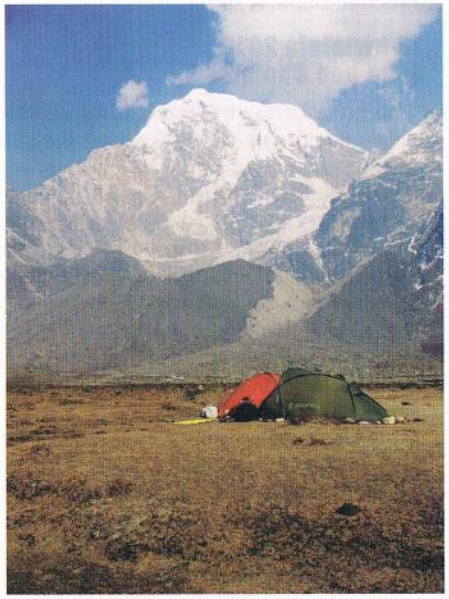

☞ Zjazdy z przełęczy.

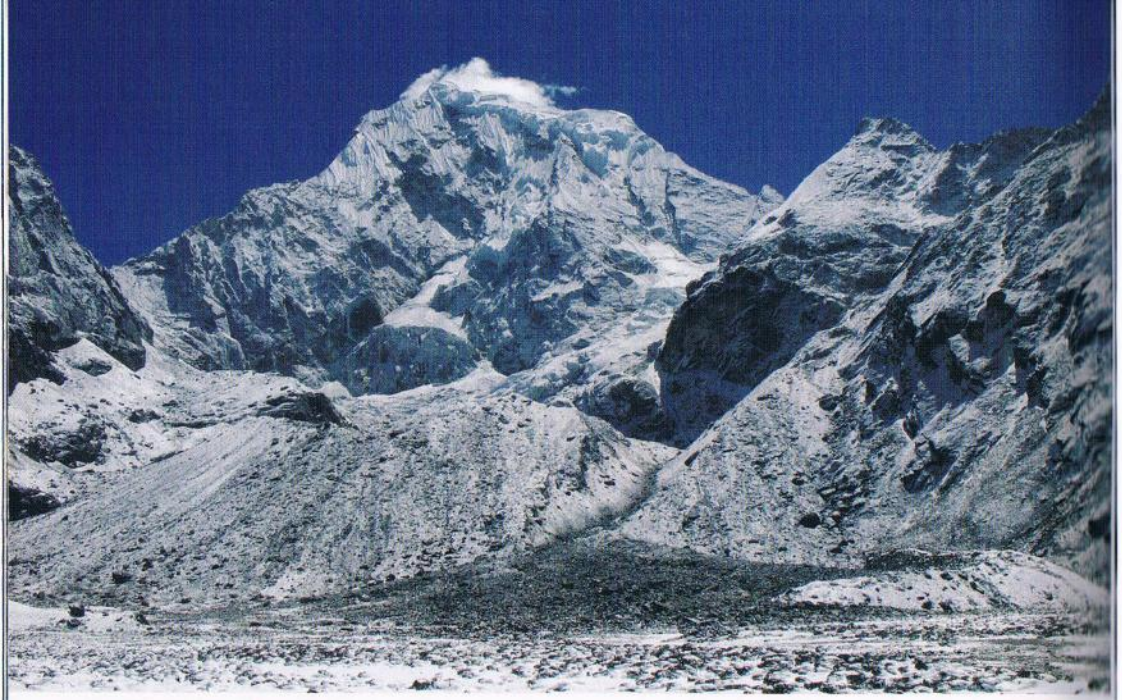

Po opadzie śniegu.

kontrapunkt do alpejskich przygód sprzed dwóch sezonów. A zatem...

13 kwietnia 2010
Baza pod Cholatse

Znowu w bazie... na szczęście, cali i zdrowi. Ledwo udało nam się zejść z tego cholernego lodowca. Ale od początku. Wczorajszego dnia Gosię dalej bardzo bolały kark i głowa. Na przełęczy było przedziwnie bezwietrznie i skwar straszny, choć to ponad pięć i pół tysiąca. Pogoda ewidentnie się psuła, znów od rana pojawiały się chmurzyska, a w nocy po okolicy krążyły burze, pięknie błyskało się wszędzie dookoła Cho Oyu. Koło południa, dzień wcześniej poszliśmy z Pawłem na rekonesans pod skalną turnię.

Z relacji wiedzieliśmy, że zwykle jest tam łatwe podejście po śniegu, a wyżej wiszą nawet jakieś poręczówki. Niestety wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż na zdjęciach czy w opisach. Zamiast śniegu – twardy, czarny firn ze żwirem, spod grani walą się co i rusz seraki, a do tego po prawie dwóch tygodniach lampy pogoda ewidentnie zaczynała siadać. Czas także powoli nam się kończył, a błyszczące w słońcu podszczytowe seraki i długa grań zwiastowały długą i nieprzyjemną akcję. Cienko to wszystko wyglądało i powoli zaczęliśmy się utwierdzać w przekonaniu o słuszności odwrotu.

Żal mi było wierzchołka, ale od początku założyłem sobie podejście „bez napinki" pamiętając, że chodzi nam przede wszystkim o aklimatyzację przed Takargo, a biorąc pod uwagę nasze problemy ze zdrowiem, los wycofu został szybko przypieczętowany. Zjedliśmy zatem obiad, po którym Gosia lepiej się poczuła i stwierdziliśmy, że spróbujemy zejść jeszcze dziś, żeby jak najszybciej znaleźć się niżej, póki pogoda jeszcze jakoś tam trzyma. Spakowaliśmy się więc względnie szybko i około godziny piętnastej zaczęliśmy powrót. Zjazdy na lodowiec w stromym śniegu-cukrze poszły nam całkiem sprawnie, choć były strasznie upierdliwe. Z duszą na ramieniu przetrawersowaliśmy górny kociołek, który był jednym wielkim lawiniskiem i niestety za-

czynało już zmierzchać, kiedy dotarliśmy do zjazdów z seraka na prożku lodowca. Ogarnęliśmy się z nimi dość szybko, ale zapadł już zmrok i zeszły mgły, które wcześniej wisiały dookoła. Zrobiło się trochę strasznie, zupełnie straciliśmy orientację, ale szliśmy dalej w kierunku, który wydawał nam się słuszny. Jasne było jednak, że daleko nie zajdziemy, bo przed nami był kawał drogi, a lodowiec dość paskudny i pocięty szczelinami.

Szedłem pierwszy, kiedy idąca za mną Gosia krzyknęła. Odwróciłem się wciąż słysząc krzyk, jednak stłumiony, jakby spod ziemi. Po chwili konsternacji zrozumiałem, że tak jest w istocie, Gosia bowiem zanurkowała w szczelinie, którą ja jakimś cudem przekroczyłem. Wpadła do niej w całości i zaklinowała się, nie obciążając jednak łączącej nas liny. Szczelina była wąska i straszliwie głęboka, jej dno złowieszczo ginęło w mroku. Po dłuższej chwili Gosi udało się wydostać – z pewną pomocą Pawła i moją. Na szczęście nic jej się nie stało, wszyscy jednak nieźle się zdenerwowaliśmy. Pewne było, że dalej nie ma co iść, bo przy

Gosia w trakcie ewakuacji.

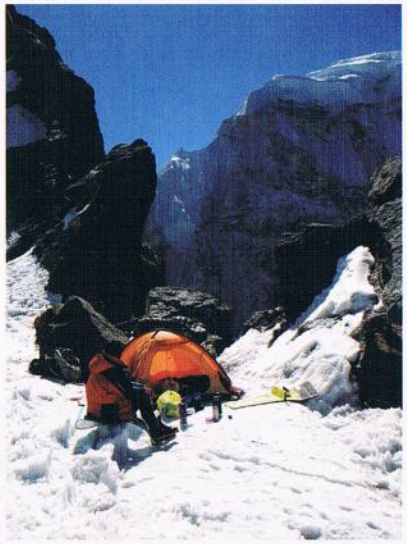

Biwak na przełęczy.

każdym kroku mogło nas spotkać to samo co przed chwilą, a błąkanie się nocą we mgle na lodowcu to wątpliwa przyjemność. Udało się więc nam dopełznąć do kupy kamieni, gdzie postanowiliśmy przycupnąć i przeczekać do rana. Sam fakt istnienia gruzowiska nie nastrajał nas optymistycznie, pochodziło ono pewnie z piętrzącej się nad nami ściany, ale byliśmy w sytuacji bez wyjścia i pozostawało nam tylko mieć nadzieję, że tej nocy nic nie będzie się nam sypać na głowy. Rozłożyliśmy więc karimaty i wskoczyliśmy w śpiwory, szykując się na biwak pod gołym niebem.

Noc zapowiadała się nieprzespana, lodowiec trzeszczał i skrzypiał, a co jakiś czas gdzieś w oddali walił się serak lub spadał kamień. Na szczęście w pewnym momencie mgły rozeszły się i zrobiło się mniej upiornie i mogliśmy podziwiać pięknie rozgwieżdżone niebo. Wyglądało na to, że obejdzie się bez niespodzianek. Niestety po krótkiej chwili snu obudziły mnie

błyski latarki. Przykryłem się więc szczelniej, ale błyski cały czas mi przeszkadzały. Po chwili usłyszałem głośny grom i już wiedziałem, że to nie czołówki towarzyszy. W kilka chwil nadciągnęła gwałtowna burza, pioruny waliły gdzieś po graniach nad nami, a u nas rozpętała się śnieżyca, która momentalnie zalepiała wszystko gęstym, mokrym śniegiem. Nie bardzo mogliśmy coś zrobić, nakryliśmy się więc tylko NRC-tkami oraz tropikami od namiotu i próbowaliśmy spać dalej, przy huku grzmotów i trzaskach lodowca. Na szczęście noc jakoś minęła, burza przeszła i nic nie zleciało nam na głowy. Wyglądało na to, że to koniec przygód, obudziło nas bezchmurne niebo i po szybkim spakowaniu się (na jedzenie nie mieliśmy specjalnie ochoty) ruszyliśmy w dół.

I wtedy zaczęły się prawdziwe jaja – okazało się, że lodowiec przez noc zmienił się w jakiś parszywy twór, śnieg z wierzchu rozgrzany poprzedniego dnia i zamieniony w grząski cukier, w nocy pokrył się świeżym, mokrym śniegiem, który nad ranem zamarzł, tworząc kilkunastocentymetrowej grubości deskę. Powierzchnia ta przy każdym kroku pękała i człowiek zapadał się do połowy uda. Nie dało się w czymś takim normalnie torować, trzeba było za każdym krokiem gramolić się z ciężkim worem z powrotem na tę twardą skorupę, po to tylko, żeby znów się w nią zapaść. Najgorsze było jednak to, że świeży śnieg przykrył też wszystkie szczeliny, zatem nie wiedzieliśmy, czy wpadamy w cukier, czy lecimy do szczeliny lodowca.

Po wydarzeniach z poprzedniego wieczora baliśmy się szczelin, przemieszczanie się było więc prawdziwą katorgą. Do tego wszystkiego zupełnie straciliśmy orientację i nie wiedzieliśmy, gdzie powinniśmy zacząć trawersować lodowiec. Błądziliśmy tak przez dłuższy czas, aż w końcu na zdjęciu zrobionym z dołu, w aparacie, znaleźliśmy miejsce, do którego powinniśmy iść. Po kilku godzinach udało się nam opuścić lodowiec i dotrzeć do moreny, a zabrało nam to dwa razy więcej czasu niż kiedy szliśmy pod górę. Morena także była koszmarna, bo sama w sobie niestabilna, przysypana w nocy świeżym śniegiem, zamieniła się w wyjątkowo paskudny teren. W końcu dotarliśmy do bazy wysuniętej. Ogromne wory dały nam się we znaki, ale na szczęście najgorsze mieliśmy już za sobą. Teraz pozostało nam już „tylko" doładować graty z depozytu i wszystko to znieść jeszcze kawał w dół. Wieczorem, skrajnie objuczeni i wykończeni, dowlekliśmy się wreszcie do bazy i ledwo żywi poszliśmy spać.

Po zejściu spod Cholatse, aby pechowi stało się zadość, kiblowaliśmy jeszcze przez złą pogodę kilka dni w Lukli, czekając na lot do Kathmandu. Po szybkim odpoczynku ruszyliśmy do Rolwalingu, a tam po pełnej przygód akcji również nie udało nam się zdobyć góry. Ale to już zupełnie inna historia...

Uczestnicy wycieczki, od lewej: Paweł, Gosia i Hugo.

Ostatnie chwile w karawanie w drodze do bazy.

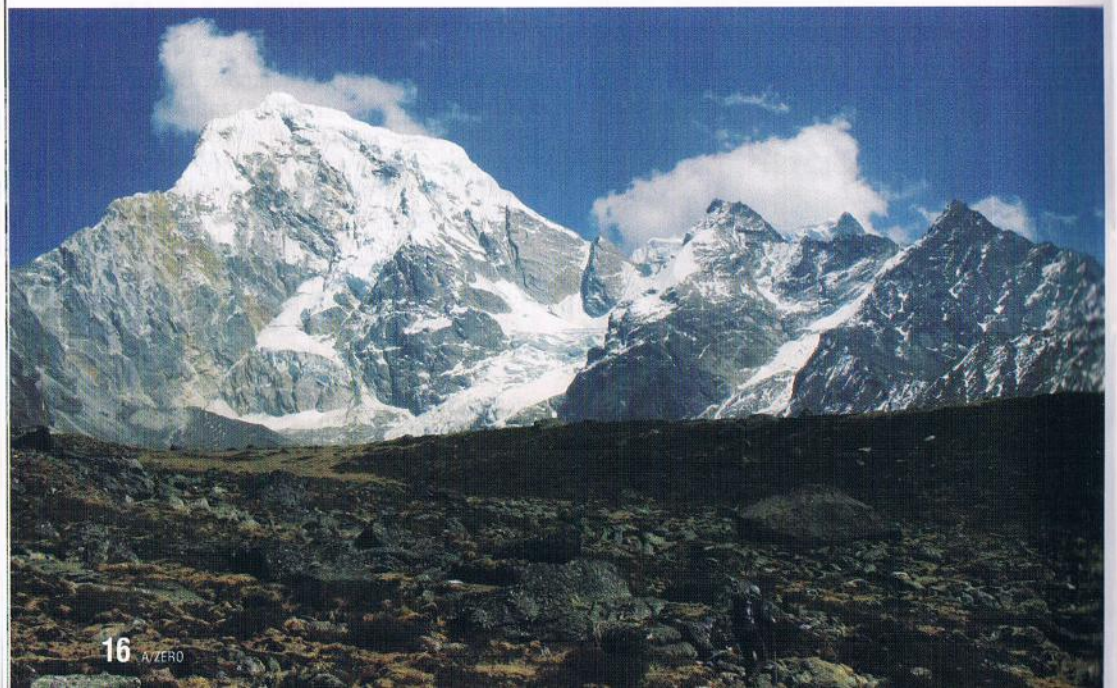

SZKOŁA ALPINIZMU
W PIONIE
ZAPRASZA NA
NAJWIĘKSZĄ ŚCIANĘ WSPINACZKOWĄ
W CENTRUM WARSZAWY UL.NOWOWIEJSKA 37B
KURSY WSPINACZKI NA SZTUCZNEJ ŚCIANIE,
W SKAŁKACH I W TATRACH
WWW.WPIONIE.PL
0 601 24 29

Zimą na Ucz Sumer

Tekst i zdjęcia: **Bartłomiej Tofel**

Listopadowy e-mail od Oli Dzik załatwia kwestię planów na zimę 2010 roku. Przez kilka tygodni zastanawiamy się jeszcze czy pojedziemy na Biełuchę, czy na Uszbę. Ostatecznie stawiamy na Ałtaj. W trzy osobowym składzie – Tomek Rojek, Ola i ja – wyruszamy z Polski 29 stycznia 2010 r.

W Barnaulu, stolicy Kraju Ałtajskiego, lądujemy po piątej rano. Jest chłodno. Tablica na lotnisku informuje, że temperatura wynosi -26 stopni. Palce u stóp lekko marzną. Od Biełuchy (4505 m n.p.m.) dzieli nas jakieś 700 km. W pokonaniu tej odległości pomoże nam Siergiej – rosyjski polarnik, którego brata Ola poznała rok wcześniej na Chan Tengri.

Siergiej mieszka jakieś 300 km od Barnaulu, w Krasnym Partizanie – przygnębiającej wiosce, gdzie jedynym znakiem upływającego czasu są rdzewiejące resztki sowchozów i trzymane pod gołym niebem maszyny rolnicze. To ciekawy człowiek. W początku lat dziewięćdziesiątych odbył dwie zimowe wyprawy rowerowe w okolice koła podbiegunowego. Za pierwszym razem był na Czukotce, za drugim w rejonie Ojmiakonu (północnego bieguna zimna). Ponadto od kilkudziesięciu lat wędruje po górach i tajdze w lecie i w zimie, na nartach i bez nich. Wie jak radzić sobie w trudnych warunkach i będzie naszym kierowcą, a jak się później okaże – także i kompanem.

Do Tiunguru, wioski w której zaczyna się górski szlak, docieramy ładą Siergieja w ciągu jednego dnia. Po drodze zaliczamy kilkanaście kilometrów po zamarzniętej rzece Czarysz oraz wypadek samochodowy. Na prostej drodze pojazd wpada w poślizg i przewraca się na bok. Z pomocą dwóch pasażerów innego auta, które akurat przejeżdża, stawiamy go na koła i jedziemy dalej.

Z wioski do jeziora Akkem, stanowiącego następny punkt w drodze na Biełuchę, idzie się w lecie około trzech dni. Nam ta trasa zajmuje trzy i pół doby. Przez ten czas dreptamy przez spokojną tajgę wzdłuż częściowo zamarzniętej górskiej rzeki. Ścieżka jest przetarta, a śniegu niewiele. Mimo to poruszanie się to dosyć duży wysiłek. Plecaki są ciężkie – ważą około 30 kg. Największy ciężar niesie najsilniejsza z nas Ola.

Po drodze mamy okazję skosztować mięsa kozicy górskiej – częstuje nas nim spotkany po drodze ałtajski myśliwy imieniem Pieter. Mieszka w zimojce, czyli małej drewnianej klitce. Spędzamy tam ostatnią noc przed dotarciem nad jezioro Akkem. To bardzo miła odmiana po trzech nocach w namiocie i temperaturze oscylującej po zachodzie słońca w okolicach -30 stopni.

Początek jeziora Akkem, przy którym leży działająca cały rok stacja meteo, to zarazem ostatnie miejsce, gdzie praworządny Ałtajczyk może dojść. Dalej rozpoczyna się strefa sacrum, zamieszkiwana przez kobiecego ducha Ak Umai związanego w lokalnych wierzeniach z Biełuchą. Ucz Sumer, jak mieszkańcy ją nazywają, to siedziba ducha i zarazem najświętsza góra Ałtaju.

Nad jeziorem na dwa dni zamieszkujemy w drewnianej turbazie. W zimie jest zamknięta,

Nasz namiot na lodowcu Miensu. W tle przełęcz Bierelskoje Siedło (3520 m n.p.m.).

ale nasza obecność zbiega się w czasie z wizytą pilnującego ją stróża. Byczymy się łóżkach, grzejemy przy piecu i bezwstydnie wyjadamy poczciwemu człowiekowi miód i dżem ze słoików. Cierpimy na głód smaków, który stanowi chyba przejaw oddalenia od wszechobecnych supermarketów.

W turbazie niespodziewanie dogania nas Siergiej. Po odstawieniu do Tiunguru wrócił do domu, spakował swój sprzęt i ruszył w ślad za nami. Zdecydował się towarzyszyć nam do Tomskich Stajanek, położonego na wysokości około 3100 m n.p.m. prowizorycznego schronu. W podróż do biwaku leżącego niedaleko przełęczy Diełane, którą prowadzi droga normalna, wyruszamy 8 lutego. Wieczorem jesteśmy na miejscu.

Tomskie Stajanki to blaszana komórka z dwoma drewnianymi podestami do spania i stołem. Wydaje się, że dzięki temu, iż ściany i dach uszczelnione są kawałkami tektury i sklejki, w zimową noc w środku panuje w miarę stała temperatura -25 stopni. To jej pierwsza zaleta. Druga to widok na liczącą ponad 1000 m ścianę Akkem oraz Koronę Ałtaja (4178 m n.p.m.) z cyrkiem lodowym otoczonym dwoma potężnymi ramionami. Schron posiada całoroczną obsługę założoną z dwóch myszy, które jednak rzadko serwują posiłki, a do gości odnoszą się raczej z rezerwą.

W Tomskich dajemy nieco ciała. Z uwagi na panujące temperatury oraz własną wygodę zdecydowaliśmy jeszcze nad jeziorem Akkem, że kombinezony puchowe zdejmiemy z siebie dopiero, gdy ponownie powrócimy do turbazy. W połączeniu z stosowaniem tatrzańskich i alpejskich nawyków spania w śpiworze daje to słabe rezultaty. Pierwszej nocy worki na ciała zapinamy aż po szyję, co powoduje że cała wilgoć kondensuje się w środku śpiwora, gdzie od razu zamarza. W efekcie śpiwór staje się cięższy, a puch mniej sprężysty. Jego ostateczny kształt – obleczonych w perteks brył lodu, choć łatwy do wyobrażenia, jakoś nam w czasie nocy w Tomskich umyka. Dopiero uwagi Siergieja uświadamiają nam niebezpieczeństwo. Nieodwracalne uszkodzenia zostają jednak poczynione. Jesteśmy już w miejscu, w którym nie da się nic wysuszyć.

Ku przełęczy Diełane (3500 m n.p.m.), którą przebiega rosyjsko-kazachska granica, wychodzimy 9 lutego. Nastroje, które niezbyt nam dopisują – oboje z Olą czujemy się zmęczeni liczącym 1000 m w pionie podejściem znad jeziora Akkem i ciężkimi plecakami – ostatecznie siadają na lodowcu Arbuz. Idziemy samym jego środkiem, niezwiązani. Wydaje się szczelnie przykryty przez dobrze trzymający śnieg. Do tego Siergiej maszeruje kilkaset metrów przed nami, więc mamy jako taką pewność, że na trasie nie ma niebezpiecznych szczelin. Momentami śnieg skrzypi bardzo nieprzyjemnie, wchodząc w wysokie tony, a wówczas pewność co do tego, czy pod nim znajduje się 20-centymetrowa, czy 20-metrowa komora nieco się zmniejsza.

W połowie decydujemy się związać. Idzie to powoli. Nasz brak sprawności potęguje mój niepokój. Ola też rozgląda się nerwowo na boki. W końcu decydujemy się wracać do Tomskich i gruntownie powtórzyć sobie zasady poruszania się po lodowcu i przypomnieć warianty działania, w razie wpadnięcia w szczelinę, które ćwiczyliśmy w Tatrach i o których wielokrotnie rozmawialiśmy. Reszta dnia mija na metodzie U, flaszencugach, zabawach z rolką, t-blockiem i dziabaniu czoła lodowca.

Następny ranek jest nasz. Pogoda wciąż jest stabilna. Cały czas zimno i błękitne niebo. Podejście pod przełęcz i oszpejenie odbywa się szybko i sprawnie. Do pokonania mamy jakieś 300 m w pionie w terenie o nachyleniu 30–45 stopni. Z ciężkimi plecakami, z nartami „na huzara" i na lotnej zajmuje nam to aż trzy godziny. Początkowo prowadzi Tomek, ale na linę przed przełęczą zmienia go Ola. Jesteśmy na granicy. Tutaj kończy się w miarę bezpieczny teren. Wkraczamy do Kazachstanu, na lodowiec Miensu.

O liedniku Miensu nasłuchaliśmy się przed wyjazdem mnóstwo mrożących krew w żyłach historii. Nieckowaty kształt, dochodzące do 200 m głębokości i 10 m szerokości szczeliny rozchodzące się w wielu kierunkach. Wszystko to przykryte mostkami śnieżnymi o nieznanej wytrzymałości. Duże trudności orientacyjne w wypadku załamania pogody. Niemożliwy do przejścia wschodni lodospad. I tak dalej. W rzeczywistości, w zastanych przez nas warunkach Miensu to najłatwiejsza część trasy. Ciągnięte za sobą od Tiunguru narty okazują się zupełnie zbędne.

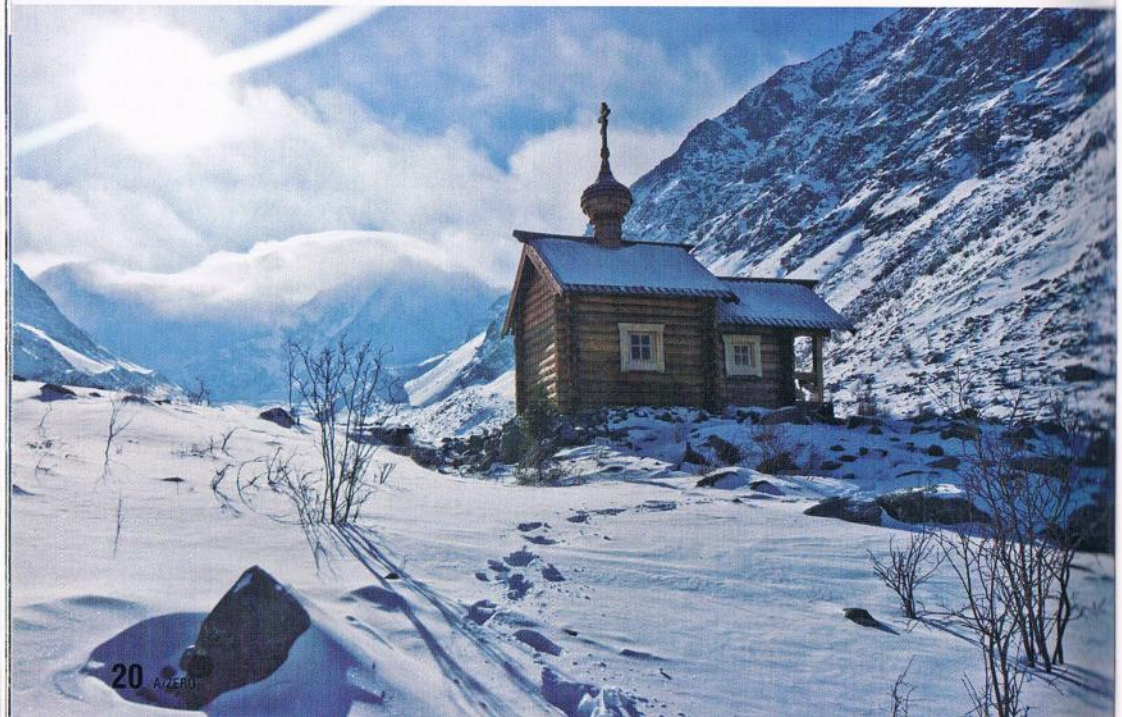

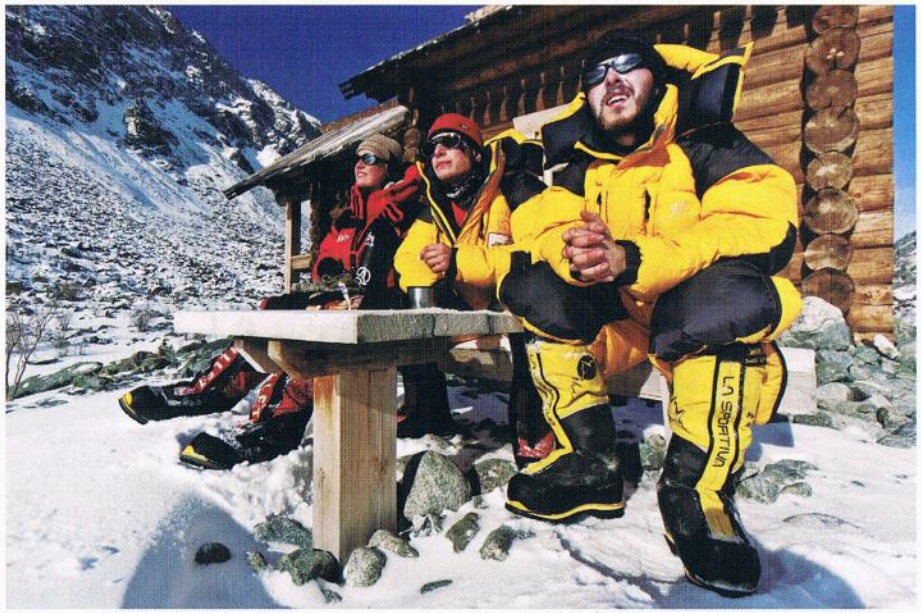

Malutka cerkierw położona u stóp lodowca Akkem. Ponoć liczba śmiertelnych ofiar Biełuchy znacznie spadła po jej wybudowaniu. Na zdjęciu powyżej nasza ekipa w dzień wyjścia w góry. Od lewej Ola, Tomek i Bartek.

Ola i Tomek na przełęczy Dielane (3500 m n.p.m.).

Na lodowiec wchodzimy około godziny 13. Na wypadek załamania pogody co kilkaset metrów oznaczamy ścieżkę traserami zrobionymi z kolorowej taśmy i brzozowych gałązek. Trzy godziny później, na potężnym wypłaszczeniu w centrum lodowca rozbijamy obóz. Przed rozstawieniem namiotu sprawdzamy teren czekanami, wbijając styliska aż po groty, żeby mieć jakąś pewność, że nie śpimy na wątłym mostku śnieżnym. Plan na kolejne trzy dni zapowiada się następująco: podejście na Bieluchińską Przełęcz (około 4100 m n.p.m.), następnie atak szczytowy i zejście na lodowiec Miensu, a trzeciego dnia powrót na rosyjską stronę i zejście do turbazy nad jeziorem Akkem. Pogoda wciąż sprzyja.

Noc z 10 lutego na 11 lutego jest zimna, a dzień, który nadchodzi, też nie należy do ciepłych. Z namiotu wychodzimy dopiero koło 13, kiedy promienie słońca wyciągają nas z cienia. Wcześniej było za zimno, żeby przebywać poza śpiworem dłużej niż kilka minut. Przeszywające zimno od razu atakowało całe ciało, pojawiały się problemy z zachowaniem czucia w dłoniach i stopach.

Po zwinięciu namiotu i pozostawieniu na miejscu nart, rozpoczynamy podejście na Bierelskoje Siedło (3520 m n.p.m.). Jest zupełnie łatwo. Trzy małe, zasypane śniegiem szczeliny i niewielkie nachylenie zbocza. Nieprzyjemny jest tylko wiatr i wiszące po obu stronach podejścia na przełęcz seraki, z których, jak świadczy podłoże ściany, jeden co jakiś czas spada.

Na przełęczy mocno wieje. Dalsza droga prowadzi śnieżnym skłonem, który przechodzi w wąską grań kończącą się śnieżno-skalnym wierzchołkiem. Gdzieś za nim leży Bieluszyńska Przełęcz, na której chcemy nocować. Z powodu późnej pory nie mamy szans dotarcia tam przed zmrokiem. Nie jest to jednak dużym problemem, bo możemy przespać się na płaskim Bierelskim Siedle. Szczególnie moją, a po części i Oli niechęć budzi grań. Nikt z nas nie pamięta, czy po jej drugiej stronie widzieliśmy jakieś nawisy, czy nie. Zakładamy więc, że tam są. Wobec tego musimy trawersować poniżej ostrza grani liczący jakieś 300 m odcinek. Przednie zęby raków, ciężkie plecaki, brak możliwości asekuracji (szable śnieżne nie budzą niczyjego zaufania) i związana z tym konieczność poruszania się na żywca sprawiają, że wolę zawrócić niż ryzykować. Ola długo się waha, ale w końcu z dużym bólem serca, przychyla się do mojej decyzji. Tylko Tomek chce napierać dalej, ale w związku z tym, że zostaje przegłosowany daje za wygraną. Schodzimy.

Atak szczytowy załamuje się w miejscu pozbawionym większych trudności. Na lodowcu Miensu nastroje są minorowe. Noc jest ciężka. Śpiwory, z którymi niewłaściwie obeszliśmy się w Tomskich Stajankach, wyglądają fatalnie. Ich stan szczególnie mocno pogorszył się po ostatnim noclegu, kiedy wnętrze namiotu w trakcie topienia śniegu przypominało mokrą saunę. Na parę wodną nie pomogło nawet otwarcie obu przedsionków. W efekcie puch, który „napił się" wody, to teraz lodowe bryły. Jeszcze tego nie wiem, ale następnej nocy śpiwory nie będą już zupełnie nadawać się do spania.

12 lutego znów wychodzimy o 13. Przed postawieniem pierwszego kroku Tomek pluje i stwierdza, że ślina zamarzła nim dotarła do ziemi. To na podstawie literatury łagrowej ma świadczyć, że temperatura oscyluje w okolicach -50, w związku z czym za dawnych lat więźniowie nie musieli wychodzić do „pracy". Nie wydaje mi się jednak, by było aż tak zimno. Jak na moje oko nawet w nocy temperatura nie spada poniżej -40 stopni.

O Białowodziu

W XVII wieku w prawosławnej obrzędowości za sprawą patriarchy Nikona miały miejsce drobne zmiany. Część wiernych uznała je jednak za herezję i odłączyła się od cerkwi. Byli to staroobrzędowcy. Prześladowani przez władze tułali się po świecie w poszukiwaniu miejsca dla siebie. Dotarli na wschodnie rubieże ówczesnej Rzeczypospolitej, dotarli także na Ałtaj.

Niektórych staroobrzędowców gnał do przodu pewien mit – mit o Białowodziu. Niedostępnej krainie, położonej hen za górami, lasami i wartkimi rzekami. Miejscu powszechnej szczęśliwości, spokoju i dobrobytu, do którego dotrą tylko najwytrwalsi i najbardziej bogobojni. Kto z nas nigdy o takiej utopii nie marzył?

Dla tych, którzy osiedli we wsi Wierchnij Ujmon, Białowodziem były okolice Biełuchy. Znajdujące się nieopodal szczytu jezioro, wypływający z niego strumień oraz jego dolina w tureckim języku rdzennych mieszkańców oznaczały właśnie Białą, Spienioną i Wartką Wodę (Ak-kem), co dodatkowo utwierdziło starowierców o prawidłowym wyborze miejsca osiedlenia. Wedle podań mieszkańcy tej wsi oddalonej o ok. 75 km w linii prostej od góry nigdy nie zdołali dotrzeć do serca raju. Zadowolili się wobec tego życiem w urodzajnej dolinie Ujmon nad brzegami Katuni, gdzie niektórzy z nich odnaleźli swe Białowodzie.

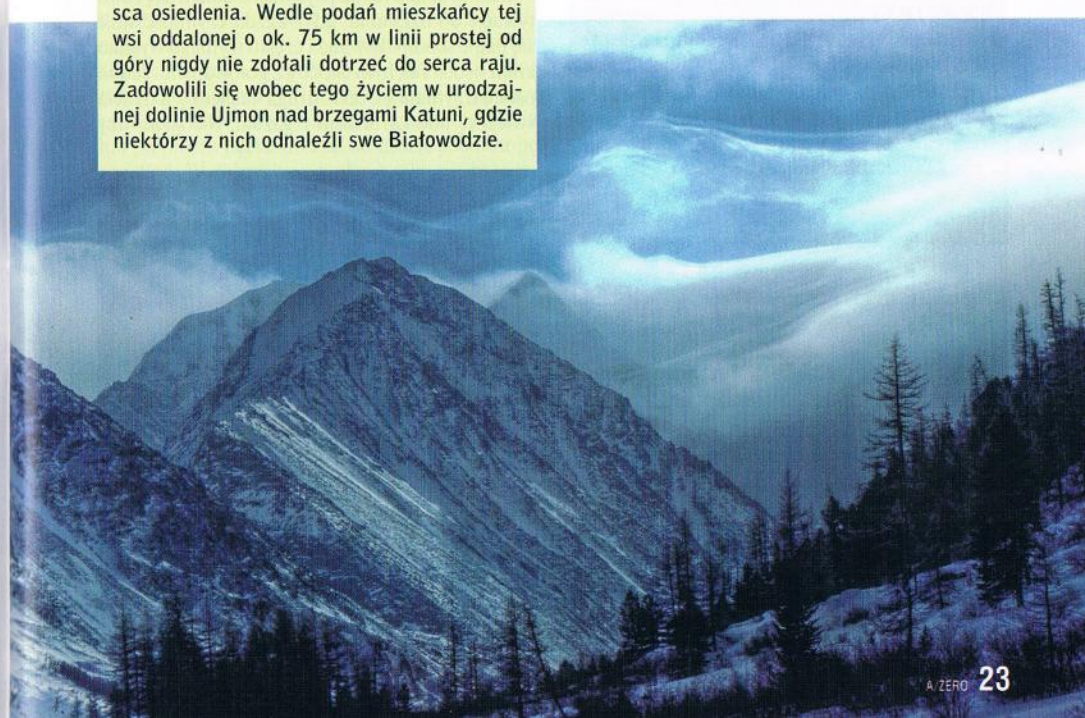

Biełucha smagana chmurami i wiatrem. Widok z podejścia pod jezioro Akkem.

O Ałtajczykach

Mimo iż nie do końca wiadomo kim jest Ałtajczyk (od momentu rozpadu ZSRR w wielu republikach Rosji trwają próby stworzenia jednolitych grup o charakterze narodowym z czegoś, co w prawie w żadnym wymiarze nie jest jednolite), w Kraju Ałtajskim i Republice Ałtaju żyje ich, według spisu powszechnego z 2002 roku, około 70–100 tysięcy.

To lud turecki wyznający rozmaite religie – szamanizm, prawosławie (najczęściej przybierające formę zewnętrznej otoczki, pod którą tkwią szamańskie wierzenia), burchanizm, a ostatnio także i buddyzm.

Większość Ałtajczyków żyje we wsiach (w Republice Ałtaju istnieje zresztą tylko jedno miasto) i zajmuje się rolnictwem, wypasem zwierząt (w tym pięknych syberyjskich jeleni – marali), polowaniem, a także w coraz większym wymiarze turystyką. Ałtaj to bowiem coraz bardziej popularny cel wakacyjny wielu Rosjan, można tam nie tylko pochodzić po górach, pojeździć konno czy zapolować na niedźwiedzia, lecz także spłynąć wartką, górską rzeką.

Dla niektórych Ałtajczyków fakt, że szerokorozumiane okolice Ałtaju były spichlerzem wojsk Czyngis Chana jest do dziś powodem do dumy.

Dwa dni później docieramy nad jezioro Akkem. Niespodzianek po drodze nie było żadnych, zjazdy przebiegały sprawnie, lodowiec zmienił się jedynie nieznacznie, ujawniając drobne pęknięcia w okolicy uprzednio przykrytych szczelin. Tym razem lokujemy sie w beczkach przypominających te spod Elbrusa. W lecie zajmują je ratownicy. W zimie przebywa tam tylko jeden człowiek – Wołodia. Opiekuje się bazą pod nieobecność służb, a że Siergiej nawiązał z nim serdeczne stosunki, mamy nowe miejsce na nocleg.

Zimno jest podstępne. W suchym klimacie, z jakim mieliśmy do czynienia, niskie temperatury stopniowo osłabiają ciało. Pojawia się długotrwałe zmęczenie i wychłodzenie, którego w warunkach namiotowych trudno się pozbyć. Chwyt staje się znacznie słabszy. Ciepło w zmarzniętych kończynach wraca coraz wolniej lub w ogóle przestaje wracać. Z każdym dniem opada się nieco z sił, gdyż nie ma możliwości regeneracji. Nawet dobry śpiwór nie jest w stanie całkowicie powstrzymać utraty ciepła. Najgorzej jest, gdy wieje. Nieosłonięte części ciała wychładzają się w ciągu kilkunastu sekund. W takich warunkach, na wietrze, nawet defekacja to po prostu ból.

Zimno działa też na psychikę. Odbiera siłę i motywację do działania, gdyż każda czynność staje się nagle skomplikowana i często wymaga wysiłku kilku osób. Tak było choćby z gotowaniem. Jedna osoba trzymała garczek, druga kuchenkę, a trzecia świeczkę pod kartuszem z gazem. Nieogrzewany

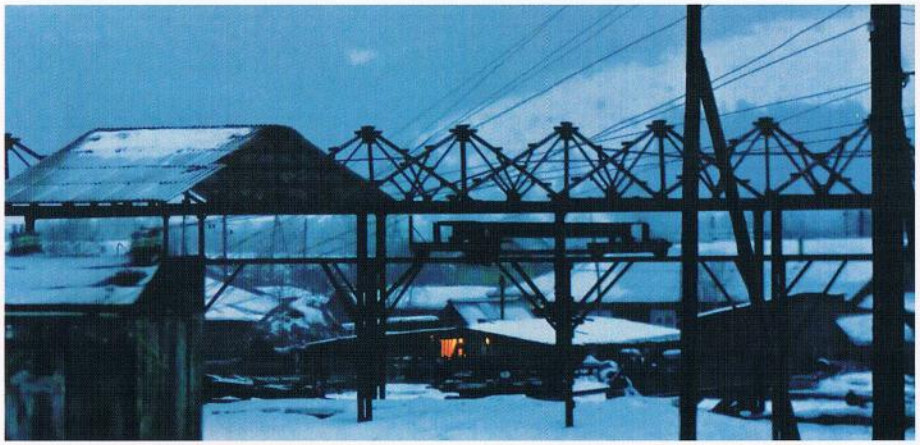

Postindustrialna rzeczywistość wioski Krasny Partizan w Kraju Ałtajskim.

Wnętrze schronu na Tomskich Stajankach (ok. 3100 m n.p.m.). Od lewej Tomek, Ola i Siergiej.

gaz miał zbyt niską sprężystość, by przecisnąć się przez zawór. Tę operację podczas gotowania jednego litra wody trzeba było powtarzać kilka lub kilkanaście razy. Nieprzyjemna była też świadomość odcięcia od cywilizacji i wszelkiej pomocy oraz fakt, że przez zwykłą nieuwagę, zaniedbanie lub po prostu pecha można odmrozić sobie stopę czy dłoń. W dobrych warunkach góra nie była łatwym celem, baliśmy się więc czy starczyłoby nam sił i umiejętności na powrót, gdyby pogoda nagle się załamała.

U Wołodii stopniowo odzyskujemy siły. Pomaga ciepłe łóżko, temperatura oscylująca w nocy, gdy wygaśnie już piec, w okolicach 0 stopni i pieczone przez gospodarza lepioszki. Regeneracja idzie na tyle szybko, że po dwóch dniach od powrotu Tomek i Ola decydują się ponownie zaatakować szczyt. Zamiast mnie ma im towarzyszyć Siergiej, któremu pożyczam cały swój sprzęt.

Nowa ekipa wyrusza 16 lutego. Ich plecaki są znacznie lepsze, duże odcinki trasy chcą pokonać w nocy i całość, znad jeziora Akkem na szczyt i z powrotem planują na cztery dni. Te modyfikacje taktyki to zasługa Siergieja, którego zahartowanie budzi podziw nas wszystkich, łącznie z Wołodią.

Mój czas płynie leniwie i bardzo spokojnie. Spaceruję i patrzę jak „śnieg topnieje". Biełucha jest tak bardzo odcięta w zimie od cywilizacji, że wszystkie troski życia codziennego, przeszłość i przyszłość stają się zupełnie nieważne. Patrzę na siebie i swoje życie, unosząc się 100 km nad ziemią, myślą ogarniając czas od początku do końca wszechświata, a czasem i dalej. Z takiego punktu widzenia rzeczy zyskują właściwe proporcje, a wszelkie problemy stają się błahe i proste do rozwiązania.

Dużo rozmawiam z Wołodią. Jest przekonany, że tym razem Oli i Tomkowi uda się wejść na szczyt. Ma to być zasługa Siergieja, który w psychice Wołodii zajmuje pozycję podobną stalkerowi z filmu Tarkowskiego. Siergiej to człowiek, który potrafi wejść w strefę największego natężenia sacrum, w tym wypadku na szczyt, a także bezpiecznie stamtąd powrócić. Wołodia wierzy w świętość Biełuchy. Góra to dla niego probierz czystości ducha alpinisty. Prawy zdobędzie wierzchołek, a uzurpator albo pokornie odejdzie

sam albo góra strzepnie go lawiną lub zamknie na zawsze w lodowej celi. Pogoda zdaje się podzielać poglądy Wołodii, gdyż chmury, które w dzień wyjścia Siergieja, Oli i Tomka zalegały w całej dolinie, drugiego dnia znikają. Ponownie zaczęna wiać z północy, a to pewny zwiastun nadejścia wyżu, zimna i dobrej widoczności.

Rosjanin myli się. Dwa dni po wyjściu, 18 lutego, cała trójka powraca do beczek. Wspinali się szybko i sprawnie, mieli dobre tempo, ale na lodowcu Miensu natknęli się na trudności, które ich przerosły. Wiatr zwalał z nóg. Kilka razy turlali się w kierunku nie do końca przysypanych szczelin. Unoszony w powietrze śnieg, mimo błękitu nieba, ograniczał widoczność do kilkunastu metrów. Dodatkowo Oli odnowiły się odmrożenia twarzy.

Na kolejną próbę nie starczy już czasu. 27 lutego mamy lot powrotny do Kaliningradu, a następnego dnia kończą się nam rosyjskie wizy. W pogarszającej się pogodzie schodzimy na dół. Po kilku dniach pobytu na nizinach, u barwnego polskiego księdza z Bijska, odlatujemy na zachód.

Biełucha (4505 m n.p.m.), najwyższy szczyt Ałtaju i Syberii wciąż czeka na pierwszych polskich zimowych zdobywców.

Tu zaczyna się trzydniowy trek pod Biełuchę. Okolice wioski Tiungur o poranku.

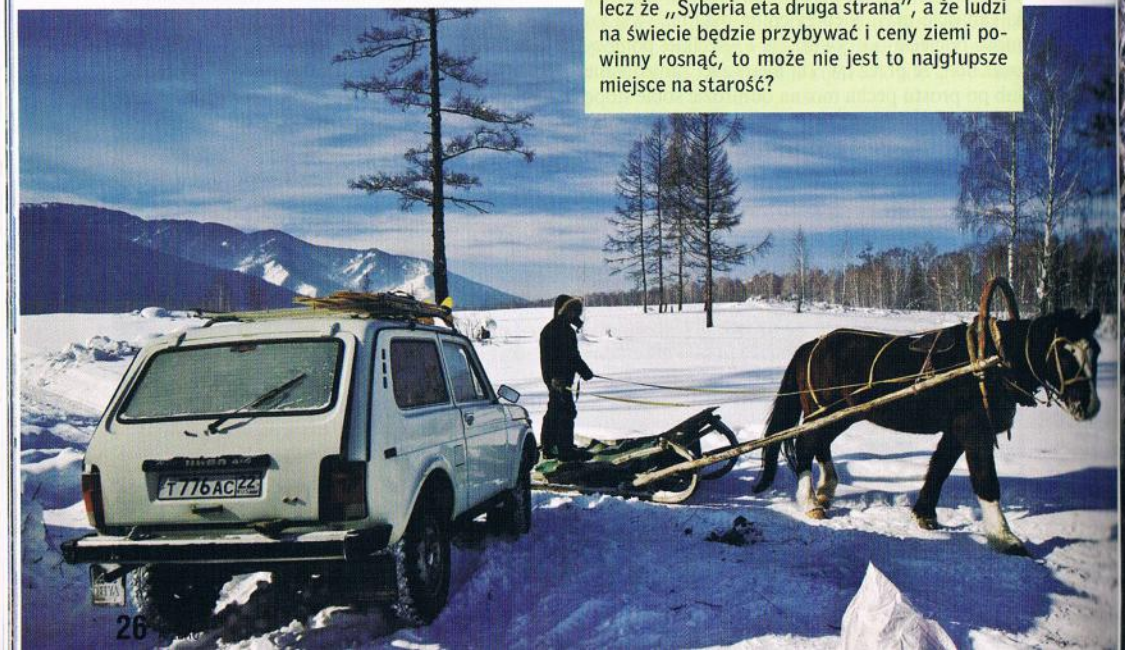

Z innej beczki

Szukacie dobrej inwestycji? Nie macie gdzie wyjechać na długi weekend? Ałtaj to coś dla was!

Hektar ziemi na ałtajskim pogórzu w Kraju Ałtajskim, w dolinie rzeki, na uboczu małej wsi kosztuje jakieś 2 tysiące złotych. Drewniany dom, nie za duży, jednopiętrowy, o dwóch pokojach i łącznej powierzchni około 40 mkw. można wybudować (i wyposażyć w okna, meble i piec) za jakieś 7–9 tysięcy złotych. Jakby tego było mało Na większości obszarów lato jest ciepłe (w dzień temperatura waha się pomiędzy 20 a 30 stopni C), a komarów brak. Do tego zawsze można skoczyć przez zieloną granicę do Kazachstanu czy Mongolii, a zimą włóczyć się na nartach do woli.

Można też otworzyć maralnik i jak za dawnych czasów sprzedawać Chińczykom sproszkowane rogi jelenia (tzw. panty) za równowartość wagi w złocie. A jakby i tego było mało, jeśli jeden dom komuś nie wystarcza i ma ochotę na chatkę w lesie to musi tylko pójść do leśniczego i powiedzieć, gdzie w głuszy chce sobie domek postawić i gotowe. Wszystko w majestacie prawa.

Ałtajczycy mówią, że u nich wciąż można czuć się wolnym człowiekiem, że to nie Rosja, lecz że „Syberia eta druga strana", a że ludzi na świecie będzie przybywać i ceny ziemi powinny rosnąć, to może nie jest to najgłupsze miejsce na starość?

aim higher SALEWA
LISTA SKLEPÓW DOSTĘPNA NA
www.salewa.com

Alpejskie manto

Tekst i zdjęcia: **Tomasz Klimczak**

Wreszcie udaje mi się zsynchronizować z Jackiem Kierzkowskim termin wypadu w Alpy. Jest 14 kwietnia 2010 r. Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, radośnie mkniemy samochodem w stronę granicy. Celem jest wspinaczka w rejonie Chamonix. Ani Jacek, ani ja nie wspinaliśmy się tam wcześniej zimą.

Koło południa kolejnego dnia parkujemy wehikuł w słynnym kurorcie. Kupujemy polecane przez kolegów przewodniki i gnamy co sił do Office de Haute Montagne, aby zasięgnąć informacji o warunkach w górach. Tam szczęśliwym trafem spotykamy sympatycznego Szwajcara, który rzetelnie nakreśla polecane w okolicy drogi wspinaczkowe.

Zdecydowaliśmy się podziałać w rejonie lodowca Argentiere ze względu na obfitość północnych ścian, takich jak Les Droites, Les Courtes czy Pre de Bar. Jak myślimy, tak robimy i kilkanaście minut później kupujemy już bilety do kolejki na Grandes Montet (3295 m), skąd zamierzamy zejść do schroniska Argentiere. Szybki posiłek na parkingu i w drogę. Na górną stację kolejki wjeżdżamy ostatnim wagonikiem. Zachodzi mgła, zapada wieczór i robi się dotkliwie zimno. Na siodełku ratownicy odstrzeliwują przy nas lawinę. Po chwili jest już bezpiecznie i ruszamy w dół. Przy pierwszym kroku w zapadającym śniegu zstępuje na nas objawienie: trzeba było wziąć narty. W ślad za nim zstępuje objawienie drugie: jesteśmy po całonocnej jeździe i w ciągu 24 godzin teleportowaliśmy się z poziomu Warszawy na ponad 3000 m n.p.m. Zmęczenie i kompletny brak aklimatyzacji zaczynają być wyraźnie odczuwalne. Dodatkowo wory, wypakowane po brzegi żarłem na tydzień, nie pomagają się poruszać. Złazimy zboczem na lodowiec, którym ledwo doczłapujemy się do schroniska Argentiere. Wewnątrz panuje pedantyczny wręcz porządek, pomimo tłumu przetaczających się skiturowców.

O godz. 7 rano okazuje się, że jesteśmy największymi śpiochami w dolinie i w ramach nagrody zostajemy wyproszeni z pokoju, który trzeba profilaktycznie wysprzątać. Dzień spędzamy na spacerze pod ścianą Pre de Bar. Bolą nas głowy i szybko się męczymy. Cóż, pierwszy dzień w górach. Pod ścianę nie dochodzimy, bo nie ma co marnować głupio sił. Jutro wszak wielki dzień: idziemy na drogę „Petit Viking" na Pointe du Domino.

Plany na lato?

Na lodowcu Argentiere po zejściu z Grande Montet.

O godz. 1 rano (w nocy?) pobudka. Śniadanie, kawka i... no nie, Kierzu wpadł na pomysł zmiany ostrzy w dziabkach.

Koło godziny drugiej kruchy chrzęst śniegu pod rakami świadczy o dobrze zmrożonej powierzchni lodowca. Trochę się zapadamy, ale w sumie idzie się nieźle. Odcinek robiony dnia poprzedniego, bez worów, pokonujemy w dwukrotnie szybszym tempie. Zmieniamy się co 15 minut na torowaniu, poklepując się przy tym z zadowolenia po ramieniu. W mdłym świetle poranka zaczynamy podchodzić już bardziej stromymi polami śnieżnymi pod właściwą ścianę. Tutaj zaczynają się problemy.

Śnieg urasta nam do pach i uniemożliwia poruszanie się do góry. Psia kość, bez nart nie da rady. Daleko na lodowcu za nami pojawiają się sylwetki dwóch ludzi i szybko zaczynają rosnąć. Z wielkim trudem pniemy się do góry, zmieniając się co chwila na torowaniu. Serducho wali jak tramwaj na wybojach, ale nic to. Odcinek 300 m do szczeliny brzeżnej pokonujemy w trzy godziny! W międzyczasie Francuzi na nartkach wyprzedzają nas i wbijają się w drogę. Widząc to, zaklinamy na czym świat stoi, że już nigdy, przenigdy nie przyjedziemy tu bez nart.

Pod szczeliną szybko się szpeimy i jeszcze wściekli atakujemy drogę. Po pierwszym solidnym wyciągu lodowym grymas na twarzach przyjmuje jednak kształt banana. Warunki są cudowne. Stromy lód trzyma jak magnes, pogoda fantastyczna, a widoki jak z obrazka. Droga dobrze wydziabana, mimo stromości, nie nastręcza większych trudności technicznych. Przeloty robimy rzadko. Czujemy się pewnie. Szkoda tylko, że tyle sił i czasu zmarnowaliśmy na podejściu. Z góry sypią się regularnie pyłówki z kawałkami lodu, zrzucane niewątpliwie przez zespół nad nami. Kilkadziesiąt metrów od przełęczy kończącej drogę, teren się wypłaszcza. Napięcie trochę spada i nagle dopada mnie fala zmęczenia. Mam ochotę zjechać, napić się, odpocząć. Decydujemy się na odwrót. Do szczytu wszak i tak nie zdążymy przed nocą, a najfajniejsze wspinanie już za nami.

Zakładamy zjazdy i niebawem przekraczamy z powrotem szczelinę brzeżną. Kierz, jako drugi, ściąga za sobą 120 m sznura z ostatniego zjazdu. Jak na złość lina wpada do szczeliny i się w niej knebluje na amen. Ciągniemy we dwóch, ale skubana ani drgnie. Nie ma rady. Przypinam koniec liny do uprzęży i usadawiam się głęboko w śniegu. Jacek zjeżdża do szczeliny. Po dłuższym czasie dolatują mnie z dołu dziwne pochrząkiwania i z czeluści wyłania się śnieżna postać. Na pytanie o samopoczucie Kierz splunął tylko, przysiadł i już standardowo odpalił papieroska.

Po zaspokojeniu głównych potrzeb w schronisku, nagle uświadamiam sobie, że właściwie od dawna nie czułem dużych palców stóp. Po zdjęciu skarpetek ze zgrozą stwierdzam, iż paluchy są ciemne pod paznokciami i ogólnie drętwe. Masowanie i ogrzewanie natychmiast owocuje potwornym bólem, który będzie mnie męczył calutką noc. Skręcając się i postękując na pryczy, sukcesywnie zażywam cztery ibupromy bez popitki (bo wodę trzeba było sobie wpierw stopić). Kiedy również żołądek odmawia mi posłuszeństwa, wygrzebuję się koło północy do przedsionka i dalej na dwór po lód do stopienia wody. Oczekując na zbawienny płyn w jetboilu, zaznajamiam się z sympatycznymi Czechami, idącymi na legendarną drogę „Ginat" na les Droites.

Pogoda idealna, stromy lód trzyma pewnie, a widoki jak z obrazka.

Rano schodzimy z Jackiem na dół. Moje palce wyglądają kiepsko i bardzo bolą. W Chamonix decydujemy się wracać do kraju. Wszak bez nart daleko i tak nie zajdziemy. Jak ktoś tam znany mawia: it is all about small logistics.

Udało się, nareszcie jesteśmy w ścianie!

ONSIGHT
Centrum Wspinaczkowe
Hala Sportowa Koło
Warszawa, ul. Obozowa 60
zapraszamy codziennie od 10⁰⁰ do 22⁰⁰
dojazd z Centrum tramwajami: 1, 12, 13, 20, 23, 24
przystanek: Magistracka

Trzech panów w Chamonix, nie licząc nart

Tekst: **Mateusz Zabłocki**
Zdjęcia: **Sławomir Skrzeczyński**

Wyjazd do Chamonix planowaliśmy z wielkim zapałem – szukanie patronów medialnych, sponsorów, tanich opcji na transport. Może trochę to na wyrost jak na wyjazd do Francji, ale co tam, taki mieliśmy pomysł i chcieliśmy go zrealizować.

Kilka tygodni przed wyjazdem dołączył do nas (do Jerzego Rostafińskiego i mnie) Sławek Skrzeczyński, który został naszym fotografem. Ekipa była w komplecie. Pozostawało dokończyć przygotowania, sprawdzić prognozę i ruszyć.

Wieczorem 15 kwietnia znaleźliśmy się na miejscu. Noc w centrum miasta pod gołym niebem, trochę bardziej mroźna niż się spodziewaliśmy. Następnego dnia trzeba było dowiedzieć się, jaka ma być pogoda przez najbliższe dni (okazało się, że bardzo dobra), wydać po 40 euro na kolejkę na Aiguille du Midi, rozbić namiot na Col du Midi, pójść spać. Jak zaplanowaliśmy, tak zrobiliśmy. Tylko jakoś dziwnie Jerzego i Sławka głowy bolały, gdy kładliśmy się spać. A ja czułem się jak młody bóg – jeszcze bym coś porobił przed snem. Szkoda, że nie było co robić...

Szósta rano, budzik, wstaliśmy, stopiliśmy śnieg, a ja poczułem, że coś nie za bardzo z tym moim dobrym samopoczuciem. I jakoś tak położyć się trzeba było, bo stać coraz ciężej. Za to chłopaki w dobrej formie, śniadanie zrobili, wszystko cacy.

*

O dziewiątej ruszyliśmy w kierunku Kuluaru Gervasuttiego. Okazało się, że jest zalodzony, a nad nim wiszą seraki. Czyli warunków nie było. Strasznie się ucieszyłem, bo wyglądało to dla mnie dość przerażająco, a jestem jeszcze bardzo młody i mam wiele planów :). Dlatego poszliśmy dalej, usiedliśmy pod czymś, co wyglądało jak duży Mnich i zastanawialiśmy się, gdzie też podział się Couloir du Diable. Siedzieliśmy i myśleliśmy, aż Jerzy wymyślił, że ten Mnich, to dokładnie Kapucyn, i to Wielki. Podeszliśmy żlebem na Breche du Carabinier i zjechaliśmy sobie wesoło, tak jakeśmy weszli. Około 40 stopni, czyli przyjemnie, bezpiecznie i bezstresowo. Został powrót do namiotu, topienie, gotowanie, picie, jedzenie i wizyta w Cosmiques.

Nazajutrz mgła była pieruńska, więc o niczym poważnym nie było mowy. Bardzo żałowaliśmy oczywiście, ale nie mogliśmy nic poradzić. Weszliśmy więc wszyscy do górnej stacji kolejki na Midi i pomstując na pogodę, która tak bardzo w końcu utrudniła nam życie, zjedliśmy obiad. Sławek zapakował się z cięższą częścią szpeju do kolejki, a my z Jerzym ruszyliśmy w gęstej mgle w kierunku Montenvers. Zrobiliśmy najładniejszy (podobno) widokowo zjazd off-piste w Europie nic nie widząc. Było trochę zabawy z odszukiwaniem właściwej drogi, ale jak zwykle skończyło się dobrze i przyjemnie. Nie chcieliśmy wydawać pieniędzy na kolejkę do Chamonix, w związku z czym musieliśmy przedzierać się z plecakami i nartami przez las.

Następnego dnia miał być rest, ale znowu pogoda nie była po naszej myśli – tym razem słońce... No to cóż było robić, znów wjechaliśmy na Midi, a tam, ku uciesze gawiedzi, czując się przez to niezwykle bohatersko, zjechaliśmy z kładki w mroczne otchłanie Kuluaru Cunninghama. Po czterech długościach liny mogliśmy przypiąć narty. Zjechaliśmy sobie szparko do Glacier Rond, potem zeszliśmy po

Mateusz w zjeździe z Breche du Carabiner.

Podejście pod kuluar Gigorda.

skałach do kuluaru wyjściowego (bardzo to nieprzyjemne było, bo krucho i stromo), a nim pomknęliśmy na dół do Glacier des Bossons i dalej, lodowcem aż do lasu i korytem rzeki do ścieżki, którą doszliśmy do tunelu pod Mont Blanc. Tam czekał na nas Sławek, który tego dnia został na dole, by przejrzeć zdjęcia i zrobić z nimi to wszystko, co robi się ze zdjęciami, a na czym ja się nie znam. Wesoła to była wycieczka, a szczególnie podobał nam się powrót przez lodowiec w upale piekielnym...

Kolejny dzień to odpoczynek, lansowanie się na mieście, spanie i uzupełnianie zaległości medialnych – wysyłanie zdjęć, notatek i takich tam. No i planowanie kolejnego wyjścia w góry – tym razem Aiguille Verte, zjazd Kuluarem Whympera.

Wjechaliśmy do Montenvers, podeszliśmy kawałek Mer de Glace, a potem w lewo do schroniska Couvercle. Siedziało tam kilku prawdziwych alpinistów z różnych krajów, wszyscy topili śnieg i wyglądali bardzo profesjonalnie. Widok z okna na Żorasy dodawał uroku temu czasoprzestrzennemu punktowi. Martwiła jedynie perspektywa pobudki o trzeciej rano i zjazdu długim przecież i stromym żlebem, na którym zdecydowanie lepiej się nie przewracać...

*

Budzik zadzwonił o trzeciej, potem o 3:30, a potem o czwartej. Wtedy uznaliśmy, że trzeba wstawać. Po godzinie byliśmy już na dworze, a po kolejnych dwóch i pół pod ścianą. Wydawało się, że do przełęczy jest blisko i wierzyć się nie chciało, że podejście może potrwać dłużej niż dwie godziny. No, ale czasami się nie chce, a okoliczności tak się jakoś układają, że trzeba uwierzyć. Stanąłem zatem na przełęczy o 12:15, zmęczony bardzo i zdziwiony tą późną porą. Jerzy zaniemógł kilkadziesiąt metrów niżej i stwierdził, że nie ma sensu iść dalej. Spotkał sympatycznego Francuza, z którym rozpoczął zjazdy na linie. Ja zaś, mobilizując w sobie mocno nadwyrężone podejściem siły, zacząłem zjazd w jego stronę. Co kilka skrętów się zatrzymywałem, bo bardzo nie chciałem się przewrócić – mogłoby się to skończyć nadspodziewanie szybkim osiągnięciem podstawy żlebu. Jerzy po czwartym zjeździe, czując się coraz lepiej wraz ze spadkiem wysokości, przypiął narty i już razem poszusowaliśmy dalej, w kierunku bocznego kuluaru, do którego należało około 15 m zjechać na linie. Zanim to zrobiliśmy, lina przydała się jeszcze do wybawienia mnie z bardzo niepokojącej sytuacji – znalazłem się odrobinę za blisko uskoku, ponad którym jechaliśmy, co poskutkowało nagłym i zdecydowanym żądaniem z mojej strony, by podana mi została lina. Tak też się stało, i cali i zdrowi znaleźliśmy się w sąsiednim żlebie, który prowadził już do szczeliny brzeżnej. Jerzy w pięknym stylu poszusował w jej stronę, podczas gdy ja i moja nadwyrężona psycha ześlizgiwaliśmy się, godnie hamując dziabą, gdy tylko prędkość stawała się nieznośnie szybsza od prędkości pieszego. Po przekroczeniu szczeliny brzeżnej czym prędzej pojechaliśmy w stronę kolejki w Montenvers, która juz o tej godzinie nie jeździła. Po raz kolejny musieliśmy do Chamonix dotrzeć o własnych siłach.

Mateusz po zjeździe.

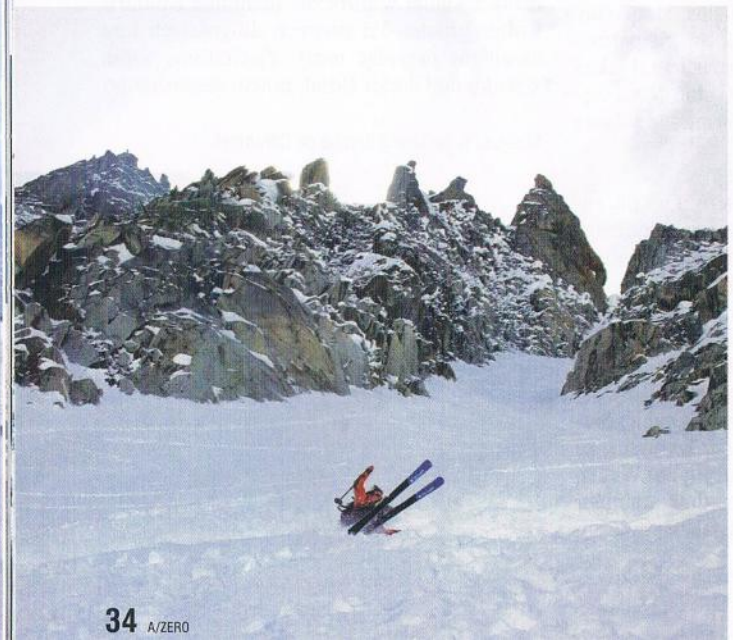

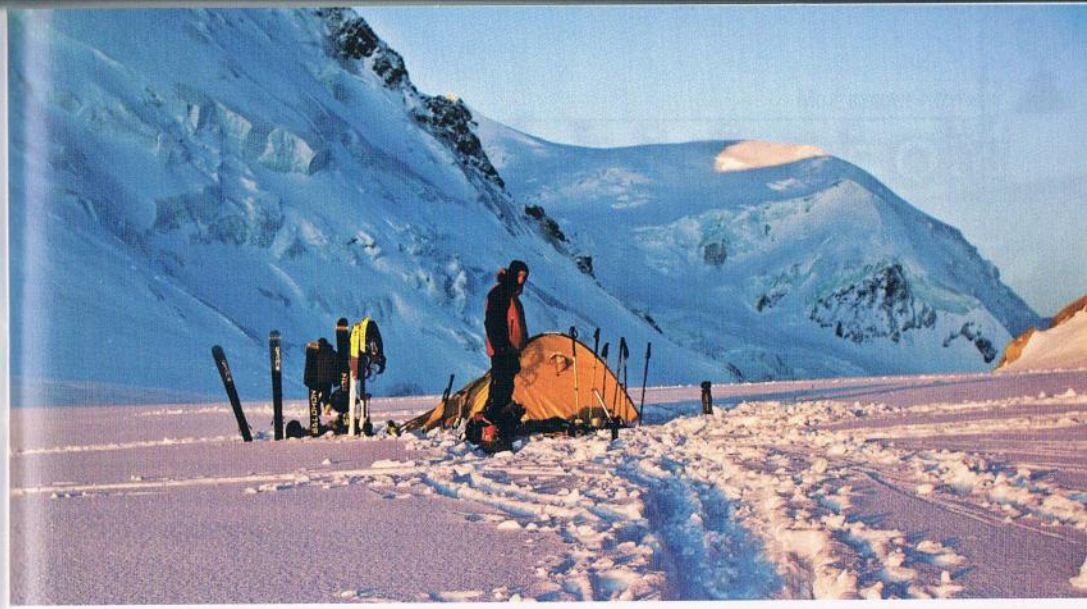

Obóz na Col du Midi.

*

Po kolejnym dniu lansu w mieście nadszedł czas na ostatnie juz wyjście w góry (cóż, pogoda wciąż była doskonała...). Tym razem celem stał się kuluar Gigord, opadający na lodowiec Argentiere. Maksymalnie 55 stopni, za to tylko 300 m i żadnych przepaści po drodze. Podchodziliśmy ponad dwie godziny (choć znów wydawało się, że znacznie krócej), a jazda była wyśmienita. Nareszcie dobry śnieg, stromo, dość szeroko. Kończyliśmy efektownym skokiem nad szczeliną brzeżną – i Jerzy, i ja wykonaliśmy piękne lądowanie twarzą w śniegu, co po mistrzowsku udało się uwiecznić Sławkowi. Zadowoleni z takiego obrotu spraw pojechaliśmy niespiesznie szukać miejsca na namiot. Po drodze robiliśmy zdjęcia, a Jerzy i ja poskakaliśmy z nawisów, których wysokość dochodziła do jednego metra. Potężna dawka emocji!

Później były już tylko zdjęcia, jazda po łagodnych polach śnieżnych, jakieś próby skakania. No i zjazd do samochodu, uzupełnianie medialnych zaległości, życie miejskie. A kolejnego dnia powrót, 24 godziny w białej strzale, aż do domu.

We Francji świetnieśmy się bawili. Udało się pokonać kilka trudnych linii, zrobić dużo dobrych zdjęć i nareszczcie zobaczyć te wszystkie słynne góry. To pyszna spawa, taki wyjazd do Chamonix!

Pyszna, dlatego tym bardziej dziękujemy naszym sponsorom – firmie Milo za ubrania, które sprawdzały się w każdej sytuacji, firmie Brubeck za ciepłą i wygodną odzież termiczną oraz sklepowi Multan Extreme za wsparcie sprzętowe.

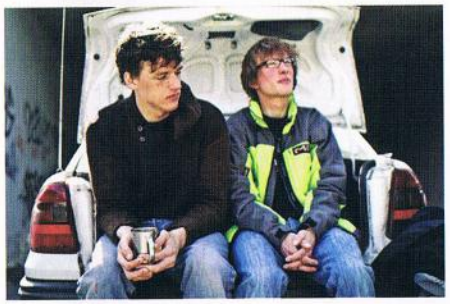

Śniadanie na parkingu pod kolejką na Aiguille du Midi.

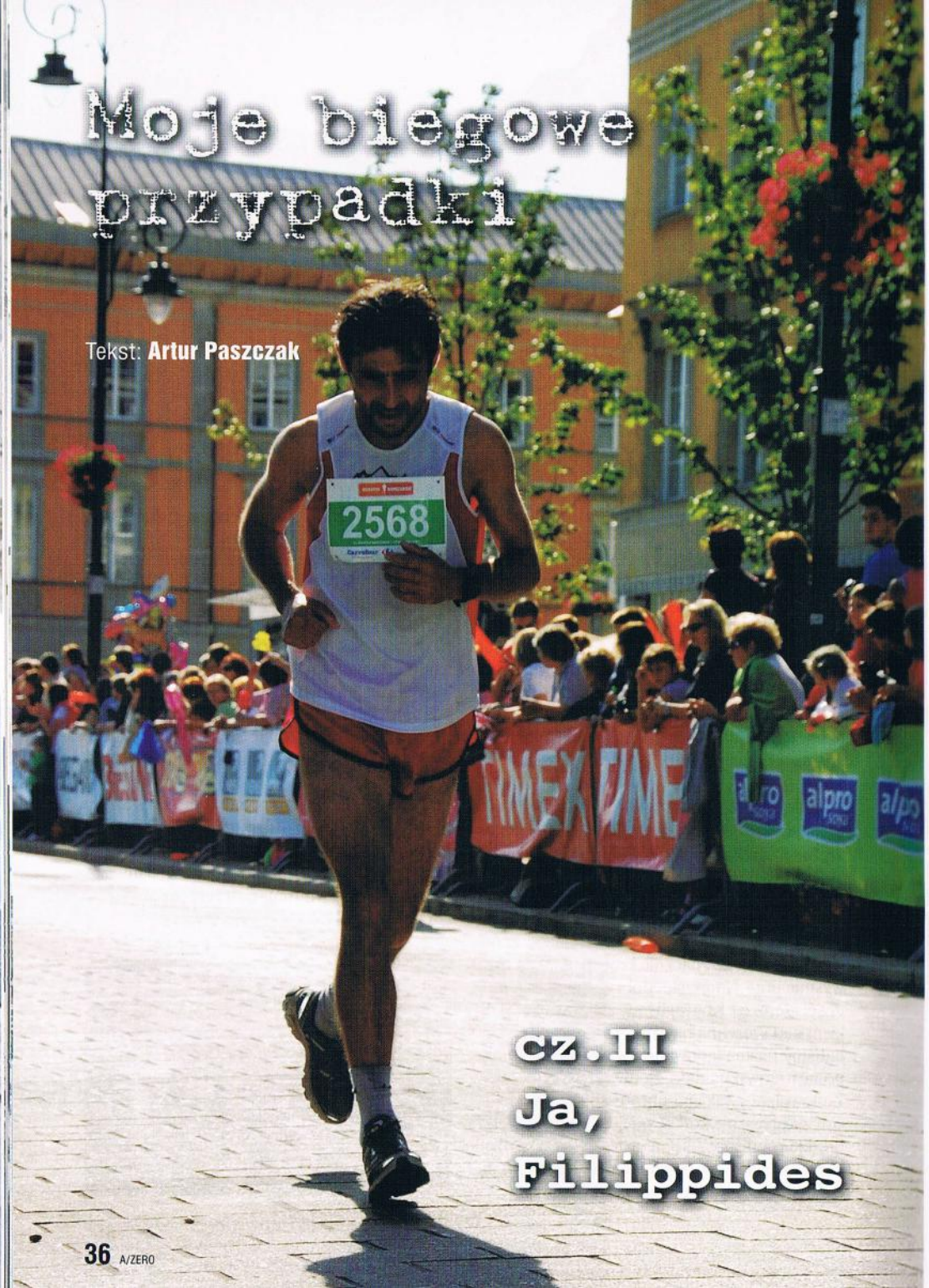

Moje biegowe przypadki

Tekst: **Artur Paszczak**

cz. II Ja, Filippides

W ostatnią niedzielę przed maratonem, masz babo placek, dopadła mnie franca. Padłem jak kłoda. Gardło paliło żywym ogniem, kości i mięśnie bolały jak diabli. Babsko oczywiście zamiast się ulitować, tylko się naśmiewało. W nadzwyczaj ponurym nastroju oddałem się chorobie. Po trzeciej porcji baniek zacząłem się czuć lepiej, ale jeszcze w sobotę nie byłem pewien swego. Na całe moje szczęście po południu przyjechał kolega Tadek z Neumarktu i to wlało we mnie czarę optymizmu, szczególnie że Basia, żona Tadzia, jako kobieta pochodząca z tych kręgów naszego społeczeństwa, gdzie jeszcze ceni się tradycyjne cnoty kobiece jak np. dbałość o męża, przywiozła trochę różnych garmażerek i nawet zrobiła mi herbatę. Podniosłem się jak feniks z popiołów, choć niektórzy postawili już na mnie kreskę. Babsko oczywiście cały wieczór gotowało się jak szybkowar i wprowadzało nerwowy nastrój. Ja natomiast koncentrowałem się psychicznie, bo wiedziałem jedno – nie mogę z nią przegrać. W razie czego – kombinowałem – zejdę z trasy…

W maratoński poranek wstałem sprężony i w poczuciu zdrowia. Zaczynało się. Nadchodziła godzina prawdy.

Na starcie byliśmy godzinę wcześniej, bo oczywiście babsko panikowało, że nie zdążymy itd. Wyszło więc, że czekaliśmy z godzinę, no ale spotkaliśmy przynajmniej masę znajomych. Był Krzysiek, byli koledzy z klubu, z Fundacji Kukuczki, był nawet ojciec dziecka ze szkoły, do której chodzi moja córka. Moje babsko zrobiło mi jeszcze awanturę, że niby źle ją zapisałem („miałam startować z Gimnazjonu, a nie z Klubu Wysokogórskiego!!!"), ale dali jej w końcu tę gimnazjonową koszulkę i się uspokoiła. Energia wyraźnie ją roznosiła, co napawało mnie ponurymi przewidywaniami. Co rusz ktoś pytał mnie, ile dziesiątek kilometrów biegałem tygodniowo w ramach przygotowań, co tylko powiększało moje przygnębienie. Wreszcie poszliśmy na start i ruszyliśmy. Po przebiegnięciu pierwszego kilometra razem z grupą gimnazjonową doznałem olśnienia. Jeśli będę z nimi biegł, to na pewno babsko na finiszu mi dołoży, a przed samą metą nie będę mógł zasymulować kontuzji i przegram sromotnie na oczach wszystkich, a tam podobno nawet filmy kręcą! Jedynym wyjściem było urwać się babsku i liczyć na to, że mnie nie dogoni.

Ha! Oczywiście babsko przestrzegało mnie przed tym, że niby tempa nie umiem utrzymać i się zarżnę. Niech się martwi o swoje tempo, ja sobie dam radę. I tak, nie oglądając się za siebie, oddaliłem się żwawo. Tętno było OK, ale 3. kilometr już był za szybko. Zwolniłem – wtedy 4. wyszedł za wolno. Trochę się bujałem z tym tempem, ale nieoczekiwanie, gdzieś na 6. kilometrze, nadarzyła się ciekawa okazja. W pewnym momencie zauważyłem biegnącego przede mną gościa, z napisem „senacka grupa biegaczy" czy jakoś tak. Ciekawe, co to za jeden, pomyślałem, ale po chwili spostrzegłem, że to nie „senacka" a „sanocka"… No i miał na koszulce napisane: „Jurek". Biegł równo i żwawo, ale był w wieku, mówiąc wprost, kiedy sukcesy ma się już za sobą. No – jednym słowem, był to dziadek, tak pod sześć dych.

Pot lał się z niego strumieniem, toteż pomyślałem sobie „oj, Jurek, ty to już długo nie pociągniesz". I tak biegnąc za nim zdałem sobie sprawę, że ma bardzo równy, żwawy krok i chyba generalnie dobrze trzyma tempo. Przyczepiłem się więc do niego, bo sprytnie skalkulowałem, że choć niewątpliwie wkrótce padnie, to przynajmniej przez pierwszą fazę będę miał zająca. Nie upłynęła chwila, a przyczepił się do nas „Trykocik" – wielki facet z walkmanem na uszach, ubrany w śmieszny, archaicznie wyglądający kombinezonik, coś a'la zapaśnicy z lat trzydziestych. Trykocik, pomimo metra dziewięćdziesiąt wzrostu, biegł sprężystym krokiem, od czasu do czasu obijając pięty o pośladki, ani chybi dla kurażu. I tak we trójkę sunęliśmy sobie w milczeniu.

Na jednym z wirażów, a Jurek miał zwyczaj ścinać zakręty wystawiając przy tym rękę i wołając „wolna!", o mało go nie zgubiłem, bo wyobraźcie sobie, przed hotelem na placu Piłsudskiego stała sobie przedstawicielka najstarszego zawodu świata, która dopingowała zawodników eksponując swoje profesjonalne atuty, wzbudzając podziw i aplauz męskiej części tłumu, a kto wie, może też i pewnej części żeńskiej. W każdym razie musiałem Jurka nieźle gonić, ale potem trzymałem się go blisko i od razu tempo się wyrównało. Po kilku kilometrach Jurek zszedł poniżej pięciu i ciągnął około 4.50.

„Nie szalej Jurek, nie szalej", strofowałem go w myślach. „Za długo już tak nie pohasasz". Martwiłem się, że mi się zaraz Jurek wykończy

Ostatnie kroki Filippidesa – za chwię padnie z okrzykiem „zwycięstwo!". Fot.: www.fotomaraton.pl.

Coś koło półmetka, „Trykocik" jeszcze trzyma się dzielnie. Fot.: www.fotomaraton.pl.

i znowu będę musiał biec sam, co najwyżej z Trykocikiem klepiącym piętami o tyłek. Moje obawy powiększał fakt, że na każdym punkcie odżywczym Jurek wlewał w siebie spore ilości płynów, bo najwyraźniej go suszyło. Ja natomiast zachowywałem spokój zawodowca – do 10. kilometra w ogóle nie piłem, bo mi się nie chciało („wsłuchaj się we własny organizm"), potem brałem delikatnie po łyczku. Bałem się, że mnie kolka złapie, zresztą nigdy w życiu nie piłem podczas biegu. Pamiętam, że raz na takim Biegu Świstaka po górach w Zakopcu, gdy kolega dał mi w połowie trasy łyczka herbaty, to od razu pawia puściłem na parę metrów. Nie chcąc się w ten sposób zdyskredytować w oczach kolegów biegaczy, ograniczyłem picie do minimum. Ściskałem natomiast w łapie power żel na czarną godzinę i w końcu zacząłem go wolniutko spożywać, delikatnie spłukując wodą. Czułem się świetnie, nogi niosły same. Jakoś tak koło pierwszej godziny dołączył do nas Niebieski – gość mniej więcej w moim wieku, i zgraną czwórką gnaliśmy sobie dalej. Około 15. kilometra Jurek przyspieszył do 4.45. Musiał już ciągnąć ostatkiem sił i zaczynałem się o niego poważnie martwić. Tymczasem na Wybrzeżu Gdyńskim była agrafka i wkrótce po zawinięciu, niebezpiecznie blisko, dostrzegłem moje babsko w tym jej rytmie tup-tup-tup, który nie zapowiadał nic dobrego...

– Jak?! – krzyknęła.

Podniosłem kciuk do góry, bo czułem się dobrze, jednak to, że jest tak blisko, nieco mnie zdenerwowało. Sytuację pogarszać zaczął fakt, że po 20. kilometrze Jurek kompletnie już stracił poczucie rzeczywistości (ja nie wiem, czy ci ludzie nie potrafią realnie ocenić własnych możliwości!?) i zaczął napierać 4.40. Obawiałem się, że to trochę za szybko nawet jak dla mnie, choć biegło mi się świetnie. W końcu uznałem, że skoro już prawie dwie godziny działamy razem, to można chyba zagadać.

– Coś szybko biegniemy – zagaiłem do Trykocika.

A ten ani be, ani me. Może przez tego walkmana nie słyszy?

Pytam jeszcze raz, a ten patrzy i nic. Potem okazało się, że to był Niemiec... Tak sobie po Warszawie z nami biegał, turystycznie. Pewnie mu dziadek opowiadał...

W takiej sytuacji, zagajam to samo do Niebieskiego.

– Może trochę za szybko – odsapnął niepewnie.

– Bo wiesz – kontynuowałem zachęcony. – Ja to jeszcze tyle nie biegłem, w ogóle maraton pierwszy raz, teraz to już dla mnie terra icognita...

– Będzie dobrze – pocieszył Niebieski.

– No i moje babsko za mną biegnie, rozumiesz...

– Aaa – chwycił w lot. – To masz motywację.

Ano mam, niewątpliwie, tylko co z tego?

W tym momencie, imaginujcie sobie, Jurek chwycił mijaną zawodniczkę za tyłek.

– Jestem szybszy! – krzyknął, rechocząc radośnie.

„O, co za wesoły gość", pomyślałem, odkrywając w ten sposób ciekawy maratoński obyczaj. Wyobraziłem sobie jak fajnie może mieć taki Haile Gebrselassie – startuje na przykład, tak dla treningu, gdzieś z samego końca, a potem łapie za tyłek wszystkie dziewczyny w maratonie, w takim berlińskim to by było dobrze ponad tysiąc... A to ci dopiero facecja! Ciekawe, czy by wszystkie łapał, czy sobie wybierał te lepsze?

Tymczasem tempo znowu wzrosło, Jurek wyraźnie postanowił się zarżnąć, byle tylko dogonić jeszcze jakąś dziewczynę.

– Jurek! – zaczepiłem go. – Ostatni kilometr 4.36, nie za szybko?

Spojrzał na mnie z ukosa:

– Jak nie spróbujemy, to się nie dowiemy.

Na następnym punkcie Jurek złapał butelkę picia. Pociągnął trochę i podał Niebieskiemu, ten z kolei podał mi. Wypiłem trochę i chciałem zgrabnie wyrzucić na pobocze, niestety zrobiłem to tak niefortunnie, że rzucona silnie butla wpadła w nogi Jurka, który omal nie wyrżnął orła.

– O, przepraszam – wydusiłem tylko ze wstydem i schowałem się za jego plecami.

Dobiegaliśmy wówczas do mostu Świętokrzyskiego i wtedy nasz zespół zaczął się sypać, aczkolwiek nie według scenariusza, którego oczekiwałem.

Najpierw odpadł Trykocik. Zwalniał, odpływał powoli, aż w końcu zniknął mi z pola widzenia. Potem, jeszcze przed trzydziestką, odpuścił Niebieski.

– Za szybko – rzucił i zwolnił.

A Jurek ciągnął, pewnikiem już na ostatnich dopalaczach, więc trzymałem się go twardo. Niestety, w okolicach 30. kilometra zaczęło się dziać coś niedobrego. Nogi zaczęły mi ciążyć, oddech rwać, a w gardle pojawiło się nieznośne pragnienie. Rzuciłem się na punkt, wypiłem ze trzy szklanki, ale pomogło tylko na chwilę. Jurek niestety nie zwalniał, staruch zajadły, i szybko zaczął znikać mi z oczu. Ja zaś, krok za krokiem, zacząłem tracić tempo. Najpierw spadłem na 5.05, potem na 5.10, aż wreszcie wybiegliśmy na Wisłostradę, gdzie zaczął się prawdziwy dramat. Słońce prażyło niemiłosiernie, pragnienie było nie do wytrzymania, a stawy i mięśnie opanował potworny ból. Strasznie dokuczały mi też połamane w górach kostki. Jednym słowem pojawiło się to, o czym wszyscy mówią – kryzys.

Przez następne kilometry biegłem już 5.35 i ledwo się wlokłem. Na 36. spotkałem kolegę alpinistę – Darka. Szedł. Zatrzymałem się przy nim i też zacząłem iść.

– Strasznie mnie biodra bolą – poskarżył się Darek. – Wziąłem już trzeci Ibuprom i nic. Nie dam już chyba rady.

– Ja też wymiękam – westchnąłem. – Mam już dość.

– Kurde, ja już wolę na te wyprawy jeździć...

– Ja też – przytaknąłem, choć na wyprawie chyba z dziesięć lat już nie byłem.

Nagle Darek klepnął mnie w plecy:

– Nie stawaj, biegnij, zmobilizuj się!

Jakoś mnie tym zmotywował i zebrałem się. Pomyślałem, że jak dociągnę do 38., to potem przyspieszę. Popatrzyłem na czas – ciągle mia-

A tu nie daleko stała ta pani, co nas dopingowała. Fot.: www.fotomaraton.pl.

łem szansę na poniżej 3.30, ale musiałem się zebrać, inaczej babsko mnie dopadnie i cały wysiłek na nic. Ona ma dobry finisz, pewnie teraz przyspieszała i była gdzieś niedaleko. Rany, tylko się nie dać...

Wreszcie zaczął się 38. kilometr. Odliczałem, byle do 40., potem te ostatnie dwa to już jakoś wyrzężę. Zesram się, a nie dam się. Mięśnie i stawy bolały coraz bardziej, ale powtarzałem sobie: „to tylko ból, to tylko ból" – i biegłem, a raczej człapałem dalej. Zmusiłem się do lekkiego przyspieszenia, ale właśnie wtedy minął mnie Niebieski i to mnie załamało. 38. kilometr biegłem już 5.39, a krótki zryw na 39. zakończył się klęską na morderczym podbiegu. Słowo daję, myślałem, że się wykończę. Czas – 5.48. Traciłem właśnie szanse na czas poniżej 3.30 i zaczynałem się nerwowo oglądać za siebie. Okrutnie mnie suszyło i nagle zdałem sobie sprawę, że po prostu jestem odwodniony. Cholera – jak mogło do tego dojść, przecież ja się nigdy nie odwadniam?! Picie po kilka szklanek nic nie dawało, co gorsza, raz wlewając w siebie zbyt łapczywie wypłułem całą zawartość powerade na biedną wolontariuszkę, co pokazuje, że jest to jednak praca wymagająca poświęcenia. Wreszcie wbiegliśmy na Stare Miasto i poczułem zapach mety. Ludzie siedzieli przy stolikach i żłopali piwsko – rany, miałem ochotę zatrzymać się i wyrwać im kufel, pewnie by nawet nie protestowali, bo w większości byli to z natury grzeczni Japończycy. Czułem też siódmym zmysłem, że babsko jest blisko, coraz bliżej. Skądś dobyłem resztkę energii i na czterdziestym pierwszym wycisnąłem z siebie 5.09. Jakieś 800 m przed metą, gdy już słaniałem się na nogach, minęła mnie pędząca grupa z balonikiem 3.30. „A więc jeszcze jest szansa!".

Rzuciłem się za nimi w szaleńczym finiszu. Ach, gdybyście mnie widzieli! Zacisnąłem zęby i pędziłem jak wicher. Dałem z siebie wszystko! Jednak, jakieś sto metrów przed metą, zegarek zapikał – spojrzałem, mijało właśnie 3.30! Rozpacz podcięła mi nogi, zwolniłem, poczułem śmiertelne znużenie, krańcowe wprost wyczerpanie... Do mety prawie doszedłem, minąłem ją, wcisnęli mi medal, narzucili jakiś plastik na grzbiet, po czym z jękiem ulgi padłem pod siatką z napisem „tu nie siadać".

– Artur, Artur! – usłyszałem głos Baśki i zobaczyłem, że robi mi zdjęcia. Wyglądałem chyba nieciekawie, ale nawet nie miałem siły się podnieść. Na domiar złego dobiegł mnie głos spikera:

– Mała dziewczynka, czerwona koszulka Gimnazjonu, co za finisz!

Co? Już? Tak szybko? No nie! – spojrzałem na zegarek – półtorej minuty po mnie...

Close shave, jak mówią w Albionie. Miałem nadzieję, że będzie więcej, ze trzy, albo pięć, a to tylko półtorej minuty! Raptem 300 metrów...

Wpadła rozradowana, z błyszczącymi oczami, podbiegła do mnie, nawet nie wyglądała na zmęczoną:

– No jak, podobało ci się?!

O nie, nie wytrzymam tego, co, cholera, miało mi się podobać – ta jatka? Wstałem z godnością, wolontariuszka zapytała:

– Wody?

Spojrzałem na nią z politowaniem:

– Oglądała pani „Co mi zrobisz jak mnie złapiesz?"?

Mała, całkiem z siebie zadowolona dziewczynka. Fot.: B. Grzegorzewska.

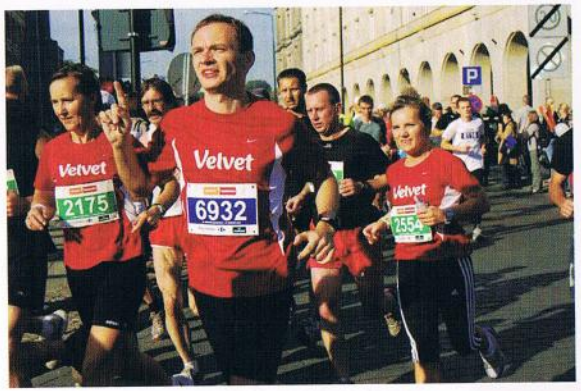

Biegła, w tym jej tempie tup-tup-tup, które nie wróżyło nic dobrego... Fot.: www.fotomaraton.pl.

Pewnie nie, za młoda. Więc wyjaśniłem:

– Kochana, idę na piwo. Bo piwo to nasze paliwo – dodałem.

I dziarskim krokiem, przez Starówkę, pomaszerowałem do pubu.

W pubie za barem stał murzyn, a widząc mój strój i medal zapytał:

– Jaki ciaś?

– 3.30.26 – odparłem – i piwo poproszę.

– Nieźlie – kiwnął głową i polał mi pół litra najlepszego napoju izotonicznego pod słońcem. Sączyłem go wolno, z rozkoszą, i zaczynałem czuć, że jednak dałem radę. Wypiłem drugie i stwierdziłem, że nie było tak źle.

Potem sprawdziłem moich towarzyszy biegu. Trykocik dobiegł razem z Alicją, na 3.32. Niebieski musiał zejść poniżej 3.30, ale nie zapamiętałem jego numeru. Jurek natomiast wykręcił, czego się należało spodziewać, 3.21...

I gdy tak wpatrywałem się w jego wynik, przypomniała mi się historia z pewnego rajdu przygodowego w Chorwacji, którą opowiedziała mi Alicja. Otóż gdzieś tak trzeciego dnia zespół, w którym był nasz klubowy kolega Bakteria, mijał właśnie inny polski team, a w nim jednego z rajdowych weteranów. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Kolega Bakterii spojrzał na niego i konfidencjonalnym szeptem skomentował:

– Uuuu, ten gość to już długo nie pociągnie. Widzieliście, jak wyglądał?

Ale jakoś nikt go w tym przypuszczeniu nie poparł. Zamiast tego Bakteria spojrzał na niego z politowaniem:

– Ty się lepiej martw o siebie – skwitował – ten gość jeszcze przez trzy następne dni będzie wyglądał dokładnie tak samo!

Nie muszę dodawać, że tak faktycznie było. I że oczywiście – na mecie był sporo przed nimi!

PS. Żarty – lepsze lub gorsze – teraz na bok. Dziękuję mojej wspaniałej żonie za całą motywację i pomoc. Dziękuję za wbicie mi do opornej głowy paru prostych zasad biegowych, dzięki którym mogłem pokonać maraton i nie zrobić sobie wstydu. Za rok postaram się o lepiej. Kto wie, może nawet utrzymam się za Jurkiem!

Po maratonie w Dębnie jesienią 2010, Alicja i jej siostra z Jerzym Skarżyńskim, gratulującym im zejścia poniżej 3.30. I jak tu się nie załamać... Fot. Aleksandra Ogłoza.

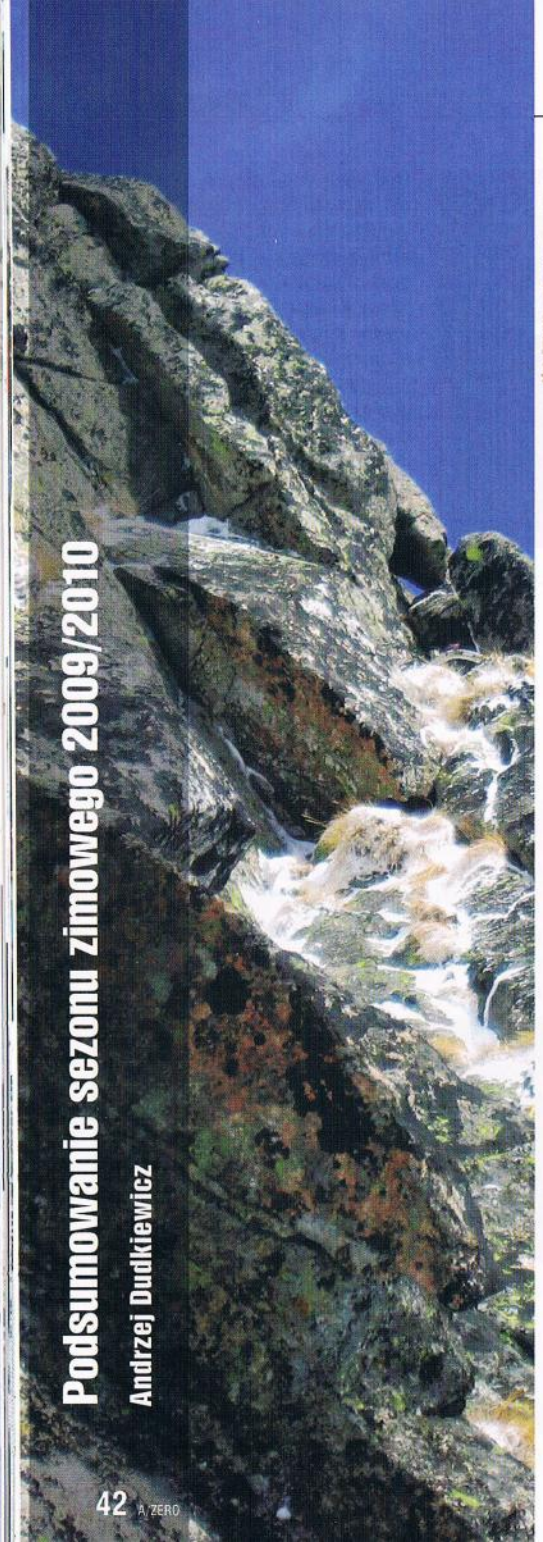

Podsumowanie sezonu zimowego 2009/2010

Andrzej Dudkiewicz

Okiem Dudusia

Sezon zimowy 2009/2010 w Morskim Oku (na podstawie książki wyjść)

Początek, a w zasadzie przedsezon (tj. od 1 grudnia 2009 do początku kalendarzowej zimy) zapowiadał się bardzo obiecująco:

5.12.2009, *Schody do Nieba i Świerz* na wsch. Mięgusza. M. Księżak, J. Kuczera. Niestety wycof po 3 wyc. *Świerza*

5.12.2009, *Orzeł z Epiru*, Maciej B., T. Ostasz

6 12 2009, *Inominata*, cztery wyciągi OS, potem wycof. Maciej B., T. Ostasz

7.12.2009, *Direttissima* Płn MSW, M. Księżak, J. Kuczera

13.12.2009, *Długosz–Popko*, A. Barszczewski, M. Grądzki, 7 h OS

15.12.2009, *Parada Jedynek*, M. i K. Nowak

Potem było coraz mniej obiecująco:

29.12.2009, *Jagiełło–Roj*, A. Bielecki i 2 tow.

15.01.2010, *Orzeł z Epiru*, M. Księżak

16.01.2010, *Filar Kopy Spadowej* (wejście zacięciem Kunickiego), K. Gościkiewicz, J. Radziejowski

06.02.2010, *Filar Wołowego Grzbietu*, A. Elwirska, A. Świerzkowski

19.02.2010, *Jagiełło–Roj*, M. Piszczar, J. Kantyka

20.03.2010, *Długosz–Popko,* A. Życzkowski, M.Badura

Było parę przejść dróg na Kotle między *Skłodowskim* a *Długoszem–Popką*.

Reszta działała na Buli pod Bańdziochem i na Plecach Mnichowych (tam rzadziej, bo dalej). Zastanawiające są liczne próby i przejścia drogi *Korosadowicza* na Kazalnicy – czyżby chęć „zaliczenia" ściany ścian?

Było parę prób ataków na standardy zimowe lat 70. – tj. *Ła-Pę* na Kazalnicy, *Filar Mięgusza*, *Płn Mięgusza/Diretę* , *Trawiatę*, *Klasyczną* – niestety bez powodzenia.

Reszta ścian i dróg czekała na swoich zdobywców. A przecież w Moku są jeszcze inne możliwości: północne ściany ŻTM i Wołowej, wsch. Mięgusza, płn. Pośredniego Mięgusza, drogi na głównym spiętrzeniu Kazalnicy, Niżnie Rysy.

Proponuję zmienić trochę repertuar: klasyczne, piękne linie i trudne drogi czekają na swoich zimowych zdobywców.

Nie tylko młodzieży dotyczy zmiana percepcji widzenia tatrzańskich, zimowych trudności.

Np: *Droga Korosadowicza*, Kazalnica (cytat z książki wyjść): „zrobione OS wariantem 5- (wg przew. Głazka), ten wyciąg ma na pewno więcej".

Droga Malczyka, Bula pod Bańdziochem (inny cytat z książki wyjść): „wycena komina Malczyka 6 była wyssana z palca. Trudności jakie napotkaliśmy to 6 A2+".

Na koniec nowości:

Nowa droga: Bula pod Bańdziochem, *Ganja*, 8+ W5, T. Ostasz, Maciej B.

Pierwsze przejście zimowe i najprawdopodobniej pierwsze powtórzenie *Komina Malczyka* na Buli pod Bańdziochem, 6 A2+, J. Muskat, Z. Skierski, J. Jania.

Sporządził, na podstawie książki wyjść w Moku, stały rezydent KW Warszawa w Zakopanem.

Andrzej Dutkiewicz

Ps. Maciej B. to najprawdopodobniej Maciej Bedejczuk, ale bardzo niewyraźnie pisze, a ja go nie znam.

Fot.: Magdalena Nowak.

Nowe plany i realizacje Pawła Jackovica

Niezmordowany tytan wspinaczkowy, jakim jest bez wątpienia autor przewodnika po północnej ścianie Małego Kieżmarskiego (przypomnijmy – zrobił tam wszystkie 109 dróg dorzucając ponad dwadzieścia swoich) przerzucił się obecnie w masyw Sławkowskiego Szczytu, który w zamierzeniach chce również „skatalogować".

Oczywiście, jak można się było spodziewać, wskutek jego działalności liczba dróg w rejonie zaczęła przyrastać. Przedstawiamy Wam dziś 3 autorskie schematy dróg Pawła, z których jedna nosi magiczną wycenę A4. Mowa o drodze „*Atrium*" leżącej akurat nie w masywie Sławkowskiego, ale w tzw. Zimnowodzkiej grani odchodzącej od Pośredniej Grani. Mało to znane przez nas ściany, ale tuż obok można znaleźć, jak widać, droge *Popki i Mikołajczyka,* a zatem: hakomistrze do roboty!

Opracowanie Artur Paszczak.

Fot.: Maciej Ostrowski.

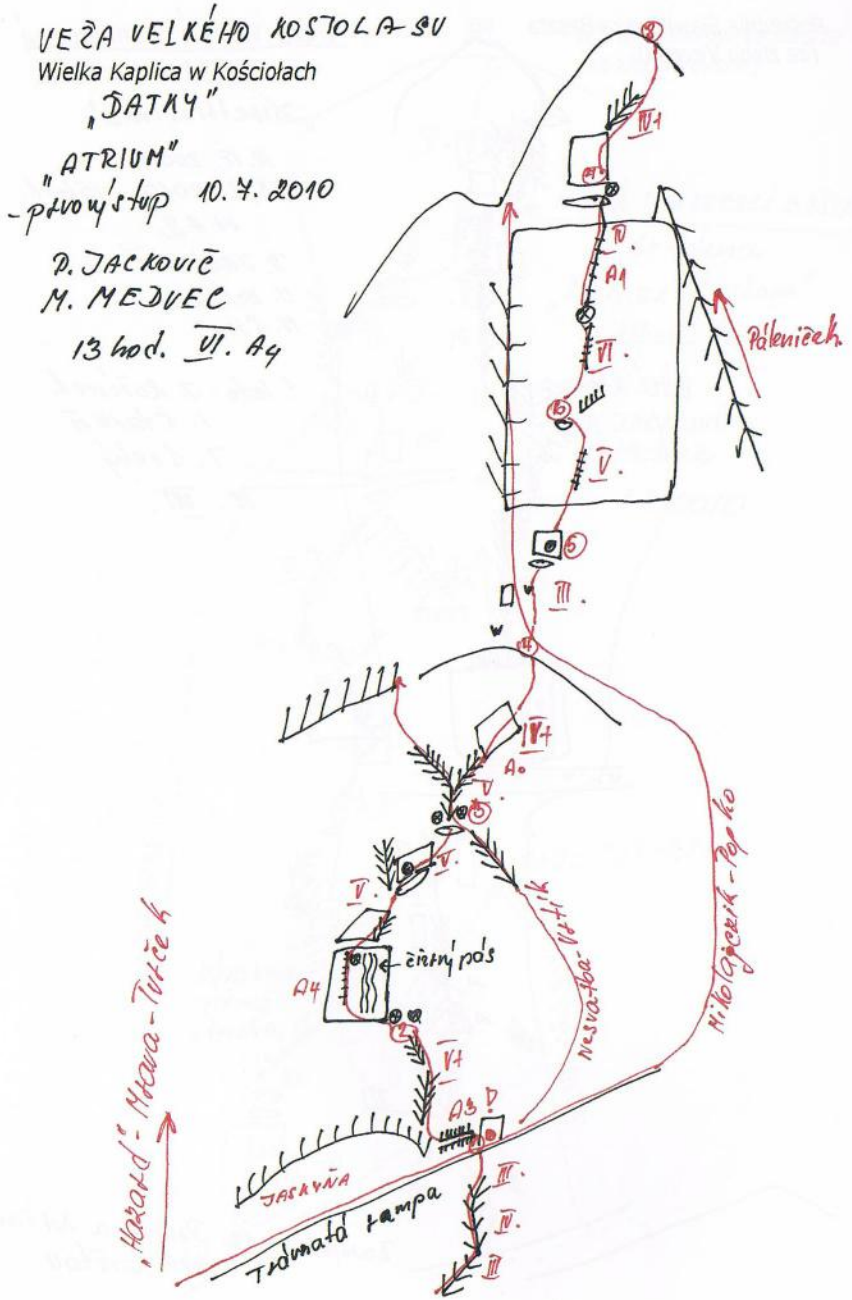

Pośrednia Sławkowska Baszta
(ze żlebu Veverki)

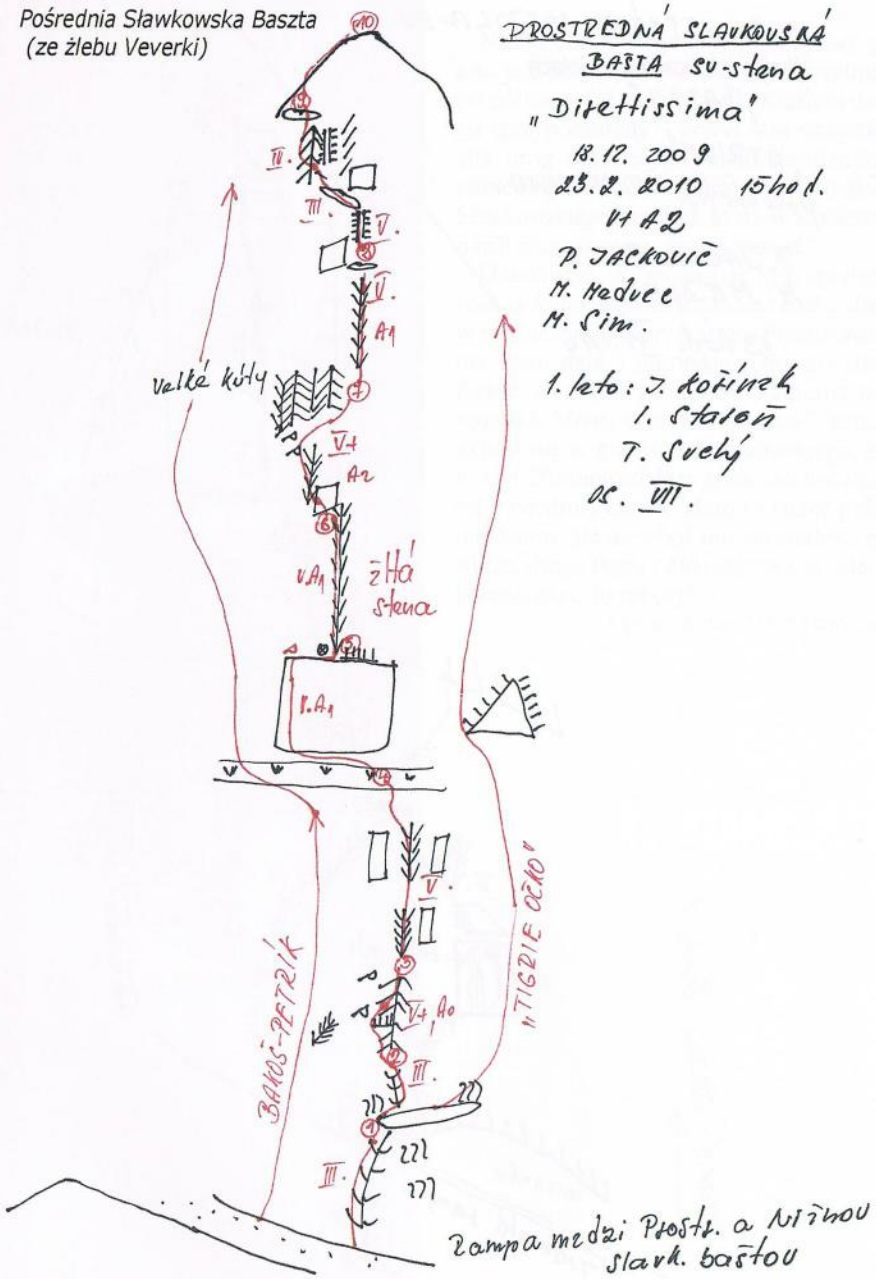

Rampa medzi Prostr. a Nižnou Slavk. baštou

Niżnia Sławkowska Baszta
(ze żlebu Veverki)

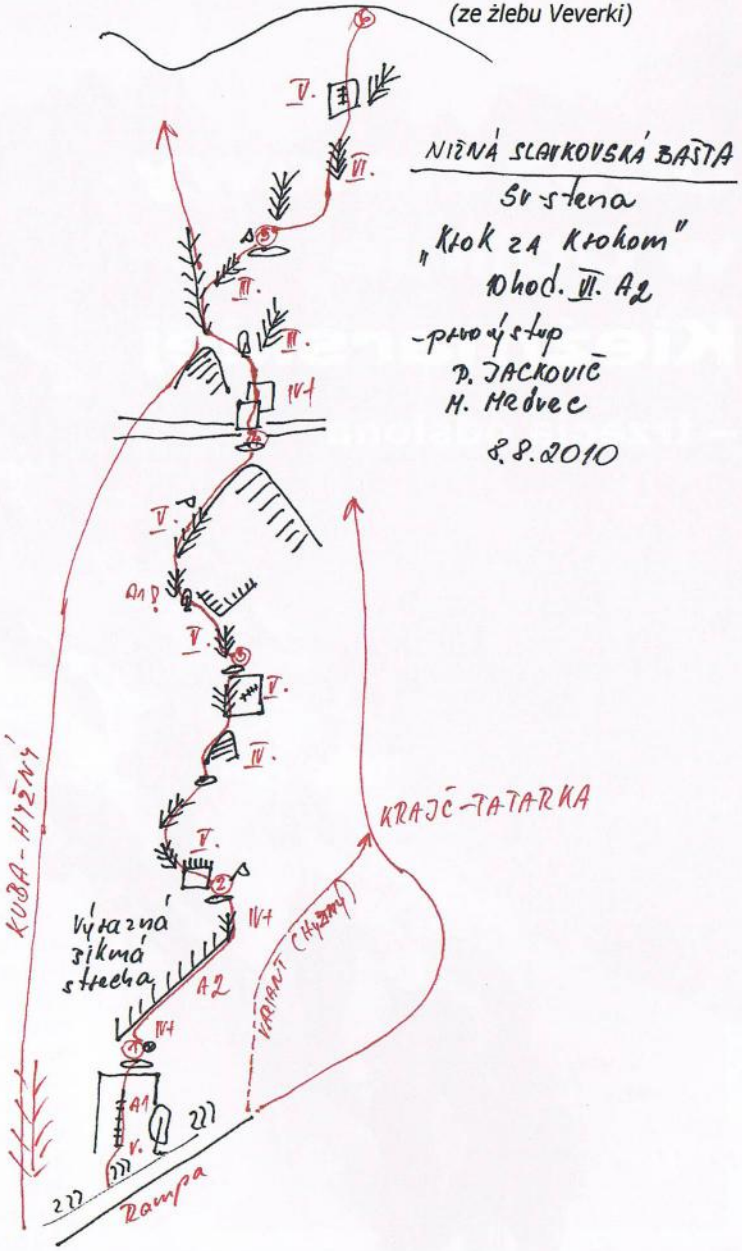

Obóz zimowy w Dolinie Kieżmarskiej

– trzecia odsłona

Tekst: **Artur Paszczak**

Denisa, Dana i gość z kotłowni. Arch. A. Paszczak.

Co tu dużo gadać – schronisko w Dolinie Kieżmarskiej stało się w ostatnich latach miejscem kultowym i jedynym w swoim rodzaju – miejscem, gdzie wspinacz czuje się jak u siebie, gdzie jest witany z radością i żegnany zaproszeniem na przyszłość. To miejsce, gdzie chce się jeszcze przyjeżdżać, bo to nie tłum turystyczny dyktuje tam swoje warunki, lecz tłum wspinaczy jest zawsze w przewadze i to wspinacze (lub szerzej – ludzie gór) nadają temu schronisku rytm i ton. Schronisko to, bez żadnej przesady, żyje wspinaniem, pulsuje nim od rana do wieczora, przenika je zapach suszonego szpeju (i innych rzeczy też), a ton rozmowom nadają plany na dzień następny i zawsze obecne narzekania na pogodę i warunki.

Wszystko to dzięki kilkorgu niezwykłych osób, których ciężka praca i zawsze przyjazny uśmiech stanowią o zaletach tego miejsca. Trudno zrozumieć, w jaki sposób te cztery osoby, w tym dwie kochane dziewczyny (Dana i Denisa), dają sobie radę z obsługą całego schroniska, zaopatrzeniem, gotowaniem, sprzątaniem, a potem znajdują jeszcze czas, aby usiąść z nami przy stole. Wydaje się to niepojęte, i za to chcemy wam, drodzy przyjaciele, serdecznie podziękować.

Spędziliśmy w Kieżmarskiej Chacie dwa wspaniałe tygodnie – pogoda i warunki nie były być może z tych najlepszych, ale przecież wspinać się dało i obozowicze dokonali kilku naprawdę fajnych przejść, szczególnie na Złotej Kazalnicy. Jak zazwyczaj, trwało koleżeńskie doszkalanie, i to aż w dziesięciu grupach. Odbywały się zajęcia z obsługi „dekoderów", wykłady ze sprzętu i lawinoznawstwa. No i wspomnieć trzeba o ustanowieniu nie lada wyniku – przez obóz przewinęły się aż 62 osoby! Sam już nie pamiętam, czy to jest rekord, ale z pewnością jest to jeden z lepszych rezultatów.

Schronisko żegnaliśmy z autentycznym żalem. Ci, którzy odwiedzili je po raz pierwszy, wracali z mocnym postanowieniem szybkiego powrotu. Ci, którzy już tam kiedyś byli, nic nie postanawiali, bo dobrze wiedzieli, że do Kieżmarskiej nie wrócić się po prostu nie da.

Na zakłócających spokój albo narzekaczy czeka Vladimir ze swoją szuflą. Arch. A. Paszczak.

Fot.: Mysia Perć Team/Piotr Kaleta.

Obóz zimowy w Dolinie Kieżmarskiej

– przez pryzmat wrażeń osobistych

Tekst: **Paulina Janczar**

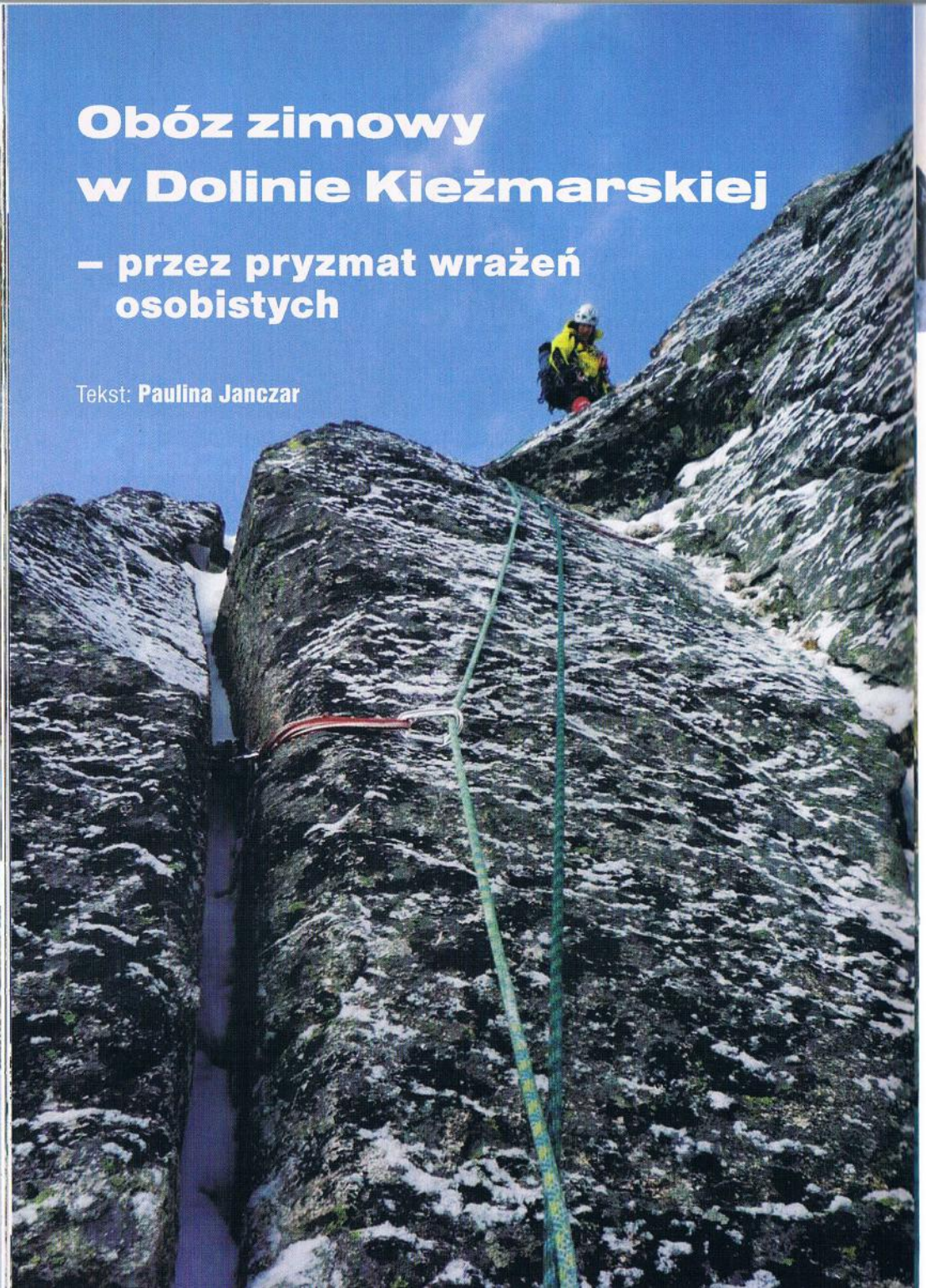

Fot. Maciej Ostrowski.

Brnę przez śnieżne pole. Mam wrażenie, że lina, którą ciągnę, waży kilkadziesiąt kilogramów. Leży w tym śniegu i mnie wkurza. Co jakiś czas próbuję ją wyrwać, ale oczywiście to nic nie daje. Magdy nie słyszę, więc na czuja próbuję określić dystans do końca wyciągu. Dojdę to tej skałki na siodełku? Byłoby fajnie, bo będzie szybciej, a tu już popołudnie, co prawda słoneczne, ale zimne i dość późne. Właściwie chętnie uznam pipanta za koniec drogi, ciekawe co na to Magda? Partnerstwo na linie chyba właśnie dało o sobie znać, bo lina napięła się i ani drgnie. No teraz się skończyła? Jak mi dwa metry zostały?

Mam taki prywatny ranking „ulubionych" komend w górach. Pierwsza na liście wyraźnie pobudza ducha w prowadzącym, kiedy ów słyszy: „Wygodnie stoisz? Bo mi się tu lina schłamiła i muszę cię na chwilę wypiąć". Druga komenda akurat teraz miałaby idealne zastosowanie i jest odpowiedzią na wykrzyczane przez asekurującego „koniec liny", a brzmi „to wypnij się i podejdź". Ale nie ma co krzyczeć, i tak nikt mnie nie usłyszy. Rozglądam się za możliwością założenia czegoś niżej. Ale co to? Ejże... Lina delikatnie i powoli zwalnia napięcie i spokojnie docieram do skały. To się nazywa dobry partner. Ha, bombowa jest ta Magda!

Wyłażę na siodełko i a tu niespodziewane: „Cześć dziewczyny, czekamy na was". Przed chwilą martwiłam się, że późno, zimno, a teraz wielki uśmiech! To Gelo kończy sąsiednią drogę. Zakładam stanowisko i gadam wesoło z jego ekipą. Góry w jednej chwili stały się tak cudownie oswojone. Niedługo później przychodzi Magda, za moment docieramy do przełączki chłopaków, gdzie rzucili już liny do zjazdu. Jest naprawdę zimno, a chłopcy trochę na nas czekali, ale i tak proponują, żebyśmy zjechały pierwsze. Z wdzięcznością przyjmujemy ten miły gest. W żlebie zejściowym spotykamy jeszcze Piotrka i Łukasza. Robi się piknikowo, szczególnie po wyjściu ze żlebu. Piotrek rzuca kilka uwag żartem, śmiejemy

Niczym Wędrowiec przed morzem mgły... Fot.: Maciej Ostrowski.

Na jednej linie z prezesem. Fot.: Maciej Ostrowski.

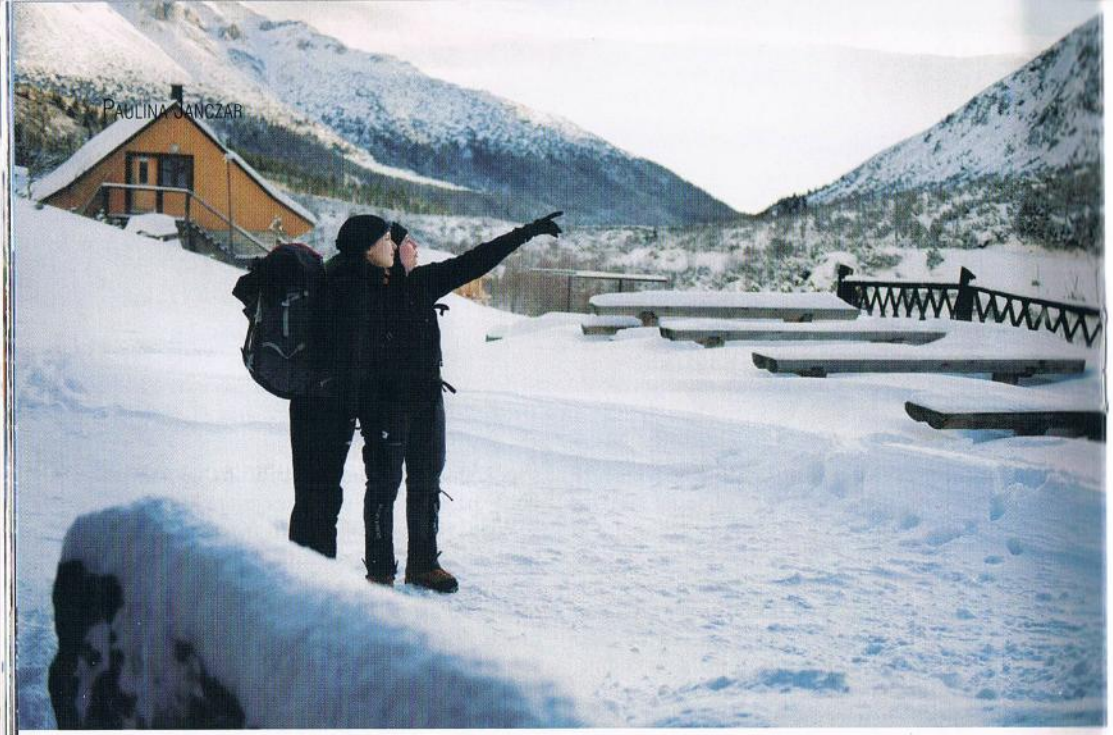

Razem z Magdą wybieramy cel następnej wspinaczki. Fot.: Mysia Perć Team/Piotr Kaleta.

się, ale z tyłu głowy je sobie notuję, bo są cenne. Powoli zachodzi słońce, upał zdecydowanie zelżał, więc nie ma co się ociągać, trzeba pędzić na dół, bo schron, bo kolacja...

Chata pri Zelenom Plese w Dolinie Kieżmarskiej jest świetnym schroniskiem. Bez dwóch zdań. Dzięki obsłudze, świetnej górskiej atmosferze, pewnej kameralności, widokom na północną Kieżmarskiego wprost z jadalni i również dlatego, że do kolacji jest jedno piwo gratis. Potem zajęcia w podgrupach, plany, opowieści, dyskusje, które potrafią się przerodzić w ogólną debatę dotyczącą szans na zorganizowanie klubowej wyprawy w Himalaje. Lubię sobie wieczorem wyskoczyć na schody przed schron, zapalić papieroska (podziękowania dla nieocenionych kolegów) i popatrzeć na gwiazdy – jeśli je widać. Pogapić na oświetlone ciepłym światłem okna, posłuchać dobiegającego z wnętrza gwaru rozmów. Cieszę się, że wewnątrz kipi życie, w jednej z najbardziej ulubionych przeze mnie form. Wiem też, dlaczego całą zimę czekam na obóz, co kilka dni sprawdzam uaktualniane listy uczestników, żeby wiedzieć, kto już się zapisał, dzwonię do znajomych i ponaglam albo ponaglać się daję. To spotkanie różnych ludzi połączonych wspólną pasją jest niezwykle inspirujące. To nie tylko szansa na zdobycie nowej wiedzy na wykładach w dni niepogody czy z opowieści bardziej doświadczonych kolegów z klubu. Uczą też chwile. Przez taką jedną stoję na stanowisku z Pastorem. „Używasz daisy?", pyta patrząc na moje auto. Ano, nie da się ukryć. „Wiesz co, lepiej go nie używaj. Możesz mi to obiecać?". Następnego dnia zmieniam daisy na zwykłą taśmę. I cieszę się, montując stan według nowego patentu nauczonego od Gela, w przejściu między łóżkami w pokoju, między myciem zębów a pakowaniem plecaka. Inspiracje obozowe znacznie wykraczają poza czystą wiedzę i doświadczenie, bowiem relacje z letnich i zimowych wyjazdów innych obozowiczów wydłużają moją prywatną listę miejsc, w które koniecznie trzeba pojechać i z kim. Wiem, że jeszcze parę miesięcy obóz będzie mnie nakręcał, jakoś się uda dotrwać do lata i czasu ciepłej skały.

Jastrzębia Turnia w słońcu. Fot.: Mysia Perć Team/Piotr Kaleta.

Wojtka przez kilka lat namawiałam na udział w zimowym zgrupowaniu klubu, ale był odporny, wymawiał się, wykręcał, że to nie dla niego, że nie lubi spędów, że właściwie to woli gdzieś indziej i bardziej kameralnie. W zeszłym roku nastąpił przełom i pojechał pierwszy raz na tydzień – był zachwycony, więc w tym roku jedzie już na dwa (jedyna słuszna decyzja). W drugim tygodniu wspinamy się razem. To nasz debiut razem zimą w górach. Wybieramy więc łatwą drogę na Kozią Kopkę, wychodzimy wcześnie i już koło godz. 10 jesteśmy na szczycie. W potokach słońca, niezmęczeni, do schronu blisko, urządzamy obfity popas z chwilą dla reportera. Potem jeszcze radośnie wdrapujemy się na Kozią Turnię. Jesteśmy dumni i bladzi z odniesionego sukcesu. Euforia trwa przez chwilę, aż widzimy Młodego z podopiecznymi na górującym nad nami Jagnięcym. Nasz sukces nie jest jednak aż tak spektakularny, jak nam się zdawało, bo zawsze jest ktoś, kto nam dołoży. Wracamy do schronu naprawdę wcześnie i patrzymy na tłumnie oblegane przez naszych Rzeżuchowe Turnie. Ile tu narodu! Niesamowicie wyglądają te wszystkie zespoły w ścianie. Wołamy do nich, oni do nas, słonko świeci, pijemy herbatę z termosu. Układamy chytry plan na następny dzień.

A następny dzień jest bardzo długi, bo zaczyna się wcześnie rano śniadaniem, które bezskutecznie próbuje się cofnąć. Potem

Gdy pogoda nie pozwalała na zajęcia praktyczne, doskonaliliśmy teorię. Fot.: Mysia Perć Team/Piotr Kaleta.

wlokące się godziny wspinania w nieznane. Nieznane mnie trochę onieśmiela i niepokoi, szczególnie zimą. Stoimy w śniegach po pas i rozważamy alternatywne możliwości: czy do góry czy na dół, kiedy z niedalekiej odległości słychać głosy. To na pewno Rysio z Andrzejem, którzy mieli pójść na drogę Lavy Y. Widocznie już nas doganiają. No to będzie wstyd, jak zobaczą, że wymiękamy bez wyraźnej przyczyny. Wstępuje w nas nowy duch i postanawiamy dać jeszcze jedną szansę zalanym glazurą połogim kamolom. Jakoś się udaje i brniemy mozolnie po polach śnieżnych, których ciąg zdaje się nie mieć końca. Dlatego kiedy koło godz. 16 nieoczekiwanie staję na grani i okazuje się, że to koniec drogi, wrzeszczę, ile mam sił: „Wojtek, znalazłam grań", a on bezbłędnie i wesoło odpowiada „To super, Joe". Co za genialny i oczytany partner!

Schodzimy do schronu omawiając różne aspekty mijającego dnia, teraz już żartując z sytuacji, w których niekoniecznie było nam do śmiechu, i coraz bardziej pewni, że zdążymy na kolację i piwo. Wracam i padam na łóżko w moim babskim pokoju (cały jeden ośmioosobowy pokój zajmują tylko dziewczyny, nie wiem, ale chyba jeszcze tak nie było, co?) i słucham ich opowieści o wspinaniu.

Drugi turnus powoli się kończy, podobnie jak w miarę dobra pogoda, a dopiero co się wszystko zaczynało i na parkingu na Słowacji witałam się z dawno niewidzianymi znajomymi. Dopiero co poznawałam nowych ludzi, dopiero co ogarniałam schronisko, a tu już trzeba wracać, wszystko już było, i wspinanie i turystyka, przejścia i wycofy, przygody, dyskusje i świętowanie. Piwo wypite, plecaki zapakowane na skuter, a my mkniemy na dół. Po drodze mija nas Michael na nartach, co jak zwykle, gdy on się pojawia, stwarza wesołe okoliczności. Dalej parking, ściskanie łapek, bus i siedem godzin jazdy do domu.

Obóz wraca na zdjęciach, w anegdotach, które sobie nawzajem przypominamy po powrocie. A czas oczywiście pędzi jak szalony. Zaraz jest połowa czerwca i myję z Gelem okna. „Wiesz", mówi, „nawet jakbym się nie wspinał, to chyba też bym przyjeżdżał na obóz". Kiwam głową w zamyśleniu. Coś w tym jest.

Nie mogę się powstrzymać: Czy już wiadomo, dokąd jedziemy na obóz w przyszłym roku?

Fot. Maciej Ostrowski.

yeti®
producent najwyższej jakości śpiworów, odzieży i akcesoriów puchowych
botki puchowe
kamizelka Superlight
kurtka dziecięca
śpiwór puchowy
rękawice puchowe
YETI R. Krawczyk Sp. J., ul. Wojnicka 2, 03-774 Warszawa tel. +48 22 618 48 68
www.yeti.com.pl

A/ZERO TOPO

Gawęda o pięknej wspinaczce i starych dobrych wzorcach

czyli droga WHP 3735 Niżnią Jastrzębią Drabiną na Niżnią Jastrzębią Kazalnicę, skąd zapewne kombinacją kilku wariantów drogi WHP 3728 na Wyżnią Jastrzębią Kazalnicę i sam wierzchołek Jastrzębiej Turni (2139 m).

Tekst i zdjęcia: **Artur Paszczak**

Jastrzębia Turnia
Widok ogólny drogi przez NJK

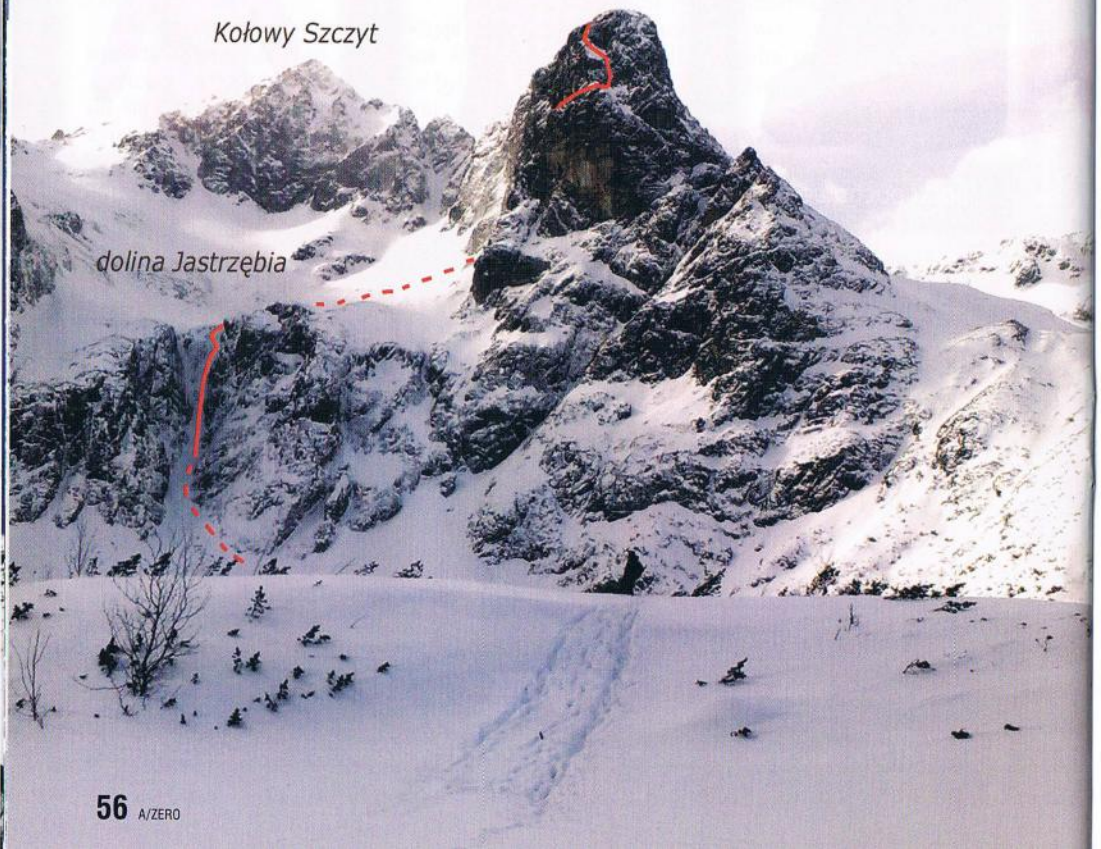

Dawno temu, a było to w czasach, kiedy w Tatry jeździł jeszcze sam guru wspinaczki zimowej Konrad Arnold Ćwik (dziś, jak wiadomo, robiący w sztuce, czyli mówiąc po naszemu fotografujący gołe baby, ostatnio na planie „Top model"), wybraliśmy się na zakończenie obozu na Jastrzębią Turnię. Wybraliśmy się we trójkę – Alicja, Wiesio Madejczyk i ja, zachęceni porażką odniesioną przez bodajże Iżiego Brennejzena i Tomka Kopysia (choć być może był to Ziomek Wirski). Jak wiadomo, nic tak nie motywuje jak porażka kolegów, a Iżi dodatkowo podpuszczał i prowokował, niechybnie licząc na to, że i my damy ciała. Po dwóch uczciwie przepracowanych tygodniach uznaliśmy jednakowoż, że nam też należy się trochę słońca, i udaliśmy się, zgodnie z życzeniem Iżiego, na słoneczną stronę doliny, z daleka od cienia, chłodu, znoju i grozy północnej ściany Kieżmarskiego. Nie przypuszczaliśmy nawet, że przejdziemy drogę, która tak zapadnie nam w pamięć, że przez całe lata będziemy się do niej odnosić jako do wzorca urody i przyjemności zimowej, do antytezy wspinaczki cierpiętniczej, i że w końcu, po kilkunastu latach, zdecyduję się nawet pójść na nią jeszcze raz. Podczas tegorocznego właśnie obozu poszliśmy z Robertem „Kajmanem" na Jastrzębią i pomimo diametralnie odmiennych warunków, pogody może również nienajlepszej, droga znów wydała mi się wspaniała i godna największego rozgłosu. Liczne zastępy naśladowców (czy raczej może pośladowców), które przebyły ją po nas zgodnie chyba uznały, że drogi nie przereklamowałem.

Nie jest to wszakże droga dla łowców numerków. W wu-ha-pe ledwo III, w zasadzie nie jest jasne czy droga ta – w takim

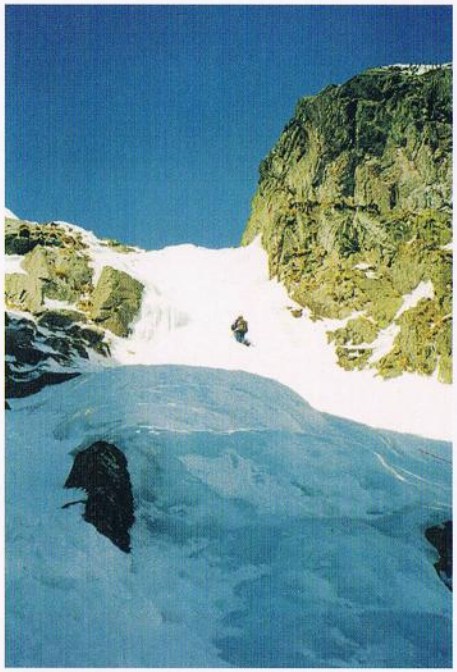

Pierwszy wyciąg lodospadu – Wiesio w akcji.

Po wyjściu do Doliny Jastrzębiej stajemy przejęci ogromem północnej ściany Kieżmarskiego – Wiesio i Alicja zmierzają pod drogę.

Jastrzębia Turnia
górna część drogi
przez Niżnią Jastrzębią Kazalnicę

Jastrzębia Turnia
ściana pd-zach
WHP 3735-3728
zimą ok IV+/V, 6 godz.

rys. A. Paszczak

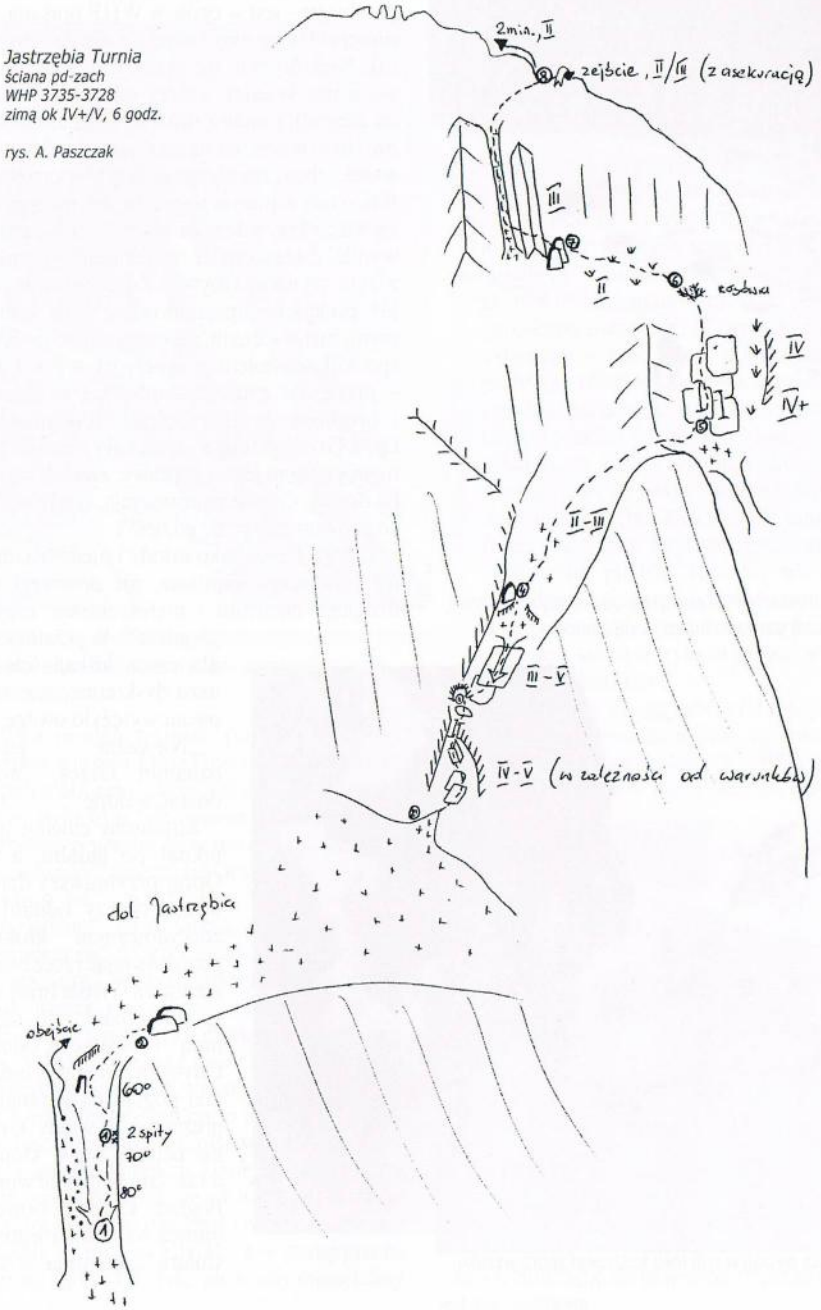

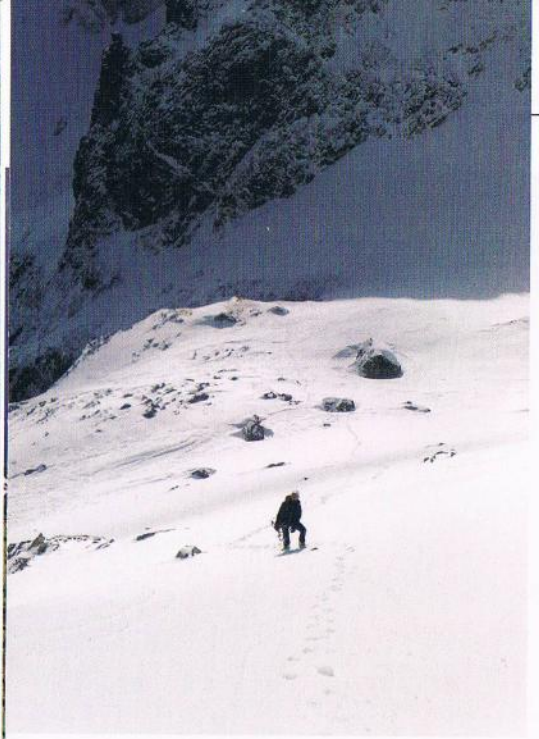

Nieco melancholijne podejście pod drugą część drogi zazwyczaj pozwala nacieszyć się słońcem.

przebiegu – jest w ogóle w WHP opisana, niemniej cyfry na niej zrobić się nie da – to pewnik. Niektórym to nie przeszkadza, ale znajdą się u nas koledzy, którzy taką drogę uznają za niegodną swego mistrzostwa. Jak wiadomo, tu i ówdzie na numer napiąć się wypada, wszak, chcąc nie chcąc, jesteśmy sportowcami (tak o nas w prawie napisali), niemniej zawsze się nieco krzywiłem na zbytnie nadymanie na wynik. Zwłaszcza że w rezultacie różnie to z tym wynikiem bywa. Zdecydowanie wolę już podejście zaprezentowane – na tym samym, historycznym, pierwszym obozie KWW (po kilkunastoletniej przerwie) w roku 1999 – przez występującego wówczas w dżinsach i ortalionie kolegę Grzesia Sokołowskiego. Otóż Grześ, piłujący swoje raki z namaszczeniem godnym lepszej sprawy, zwrócił się chyba do kol. Goraja z propozycją, o tyle nęcącą, co groźną: „Choćmy gdzieś!".

Kolega Goraj, jako młody i niedoświadczony podówczas wspinacz, nie dostrzegł tego drugiego elementu i niefrasobliwie zapytał: „A gdzie?". W jadalni zapadła cisza, kilkanaście par uszu dyskretnie, acz w napięciu wytężyło uwagę.

„Nieważne gdzie", oznajmił Grześ, „byleby dostać w dupę!".

Stłumiony chichot przemknął po jadalni, a kol. Goraj przybrawszy dziwny wyraz twarzy oddalił się zdecydowanym krokiem, pozostawiając rzecz bez komentarza. Wedle innej wersji powiedział: „To nie ze mną", i również się oddalił. Gdyby był wiedział, biedny, jaki pogląd na wspinaczkę prezentował wtedy Grześ, nie pchałby się w kłopoty, a tak sam był sobie winien. Pogląd Grzesia bowiem, oprócz wspomnianego postulatu „zbierania w d...",

Pierwszy wyciąg w tym roku kosztował sporo wysiłku.

W 1999 r. płyta na drugim wyciągu wymagała, aby się nieco naprężyć...

miał też pewien wymiar, powiedzmy sobie, sportowy właśnie. Otóż Grześ biwakował parę dni przed obozem, chyba z Bakterią, na Korosadzie. Było to o tyle dziwne, że nie ma tam generalnie potrzeby biwakowania. „Ale nam o to chodziło", upierał się Grześ.

„Ale o co?", naciskałem. „No, śpiworów nie wzięliśmy", na to Grześ. „Ale dlaczego?", zdumiałem się. A Grześ na to, uśmiechając się z wyższością: „Sprawdzaliśmy swoją moc...".

No, muszę powiedzieć, że zrobiło to na mnie pewne wrażenie, a nawet wzbudziło podziw. Taki właśnie ciąg na wynik nawet mi się podobał, zwłaszcza że przypomniało mi się, iż sam kiedyś też poszedłem o drugiej po południu bez śpiwora na Stanisławskiego na Mnichu, z kolegą Angolem Dżonem, właśnie po to, aby sprawdzić, jak się śpi w samej płachcie. Oj, głupi był człowiek! Dziś i bez testu zdrowy rozsądek by mi powiedział, że w samej płachcie zimą się nie śpi i tyle, ale wtedy musieliśmy to sprawdzić na własnych organizmach. Oczywiście całą noc padał śnieg, przez co w kółko spadaliśmy z półki, a biedny Dżon, tarabaniąc się na siku, zgubił był rękawiczkę, i w ten sposób rano, zupełnie wykończeni, zjechaliśmy do żlebu i poszliśmy jak niepyszni do schronu.

Tak właśnie zbiera się doświadczenie, a pęd do wyniku jest tego zbierania niezbędnym składnikiem. Problem w tym, że niektórym, mam wrażenie, ten pęd przesłania nieco góry. Ci sponsorzy poustawiani w pięć linijek pod każdą wyprawą, te relacje donoszące o sukcesach pomimo niezałojenia celu, to wszystko są oznaki upadku ducha, który kiedyś przenikał nasze środowisko na wskroś. Dziś można jednak zostać wspinaczkowym autorytetem tylko na zasadzie autopromocji na forum Brytana, gdzie zdezorientowana publika zupełnie nie umie już odróżniać ziaren od plew i owiec od tryków. To jednak temat na inny felieton, tak więc, skoro o trykach mowa, wracamy do naszych baranów.

Jako się rzekło, droga ledwie III. Moje dwa doświadczenia dowodzą jednak, że trudności bardzo zależą od warunków. W 1999 r. głównym problemem była niezalodzona płyta na

... za to w 2010 zachęcała do wspinaczki szczodrze wylanym lodzikiem.

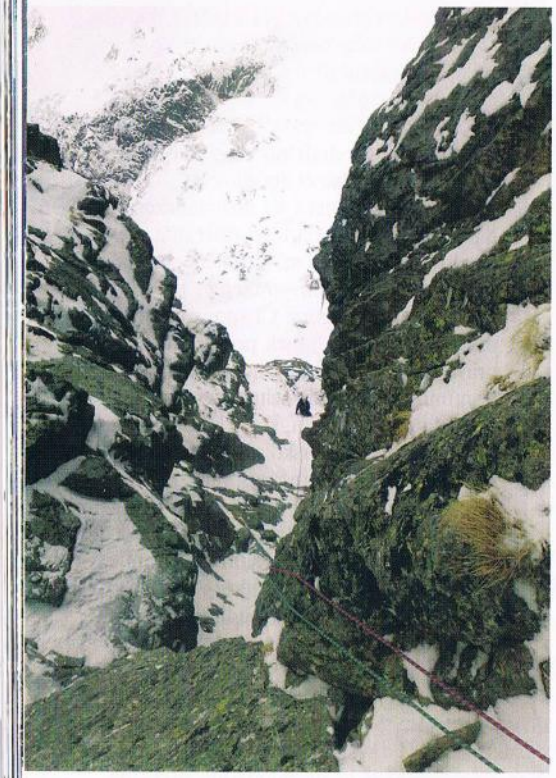

Żleb na trzecim wyciągu wyprowadzający na NJK – nie należy zaniedbywać tu asekuracji, śnieg leżący na płytach może być zdradliwy.

drugim wyciągu – trzeba było delikatnie przemknąć po niej i dobrać się, niezbyt nachalnie, do cienkiej polewki lodu powyżej. Pierwszy wyciąg był natomiast najwyżej czwórkowy, pięknie wylany lodzikiem w rysach ze skałą przyjemnie odsłoniętą przez słońce. W roku 2011 rzecz się miała inaczej – pierwszy wyciąg był dobrze piątkowy, zaszadzony, z miejscami, w których trzeba się było zupełnie nieźle wygiąć, a drugi był całkiem łatwy, bo płyta pokryta była porządną polewą mięsistego lodu.

Droga jest o tyle ciekawa, że oferuje wszystkie gatunki zimowego wspinania. Część dolna jest czysto lodowa, polega na pokonaniu spektakularnego i bardzo estetycznego lodospadu Długiego Jastrzębiego Żlebu wychodzącego do Jastrzębiej Doliny (dwa wyciągi, miejsce 80 st.). Po wyjściu z lodospadu trzeba podejść ok. 100 m łagodnym stokiem do wejścia Niżniej Jastrzębiej Drabiny, gdzie rozpoczyna się część środkowa, klasycznie mikstowa, prowadząca na szczyt Niżniej Jastrzębiej Kazalnicy. Są to trzy wyciągi – pierwszy, nadzwyczajnej wręcz urody, biegnie rysami i płytkami (ale z dobrą asekuracją), drugi – wspomnianą zalodzoną płytą (asekuracja w rysach po lewej), trzeci – śnieżnym żlebem z prożkami. Po przewinięciu z kazalnicy w prawo stajemy pod niemal czysto skalną ścianą szczytową – w 1999 r. zdjąłem tu nawet raki, w tym roku takiej potrzeby nie było, ale wspinanie było nadal głównie skalne, w stopniu ok. IV/IV+, przy czym jest nadzwyczaj piękne, wręcz unikalne. Po jednym wyciągu wchodzimy w znowu mikstowy trawers, po którym wyjście na szczyt następuje nieco wylodzoną, bardzo ładną rynną (III).

Wspomniałem już o urodzie niektórych wyciągów, ale dodać trzeba, że cała droga biegnie bardzo spektakularną formacją w niezwykłym i pięknym otoczeniu. Samo już wyjście do Doliny Jastrzębiej nie pozostawia człowieka obojętnego wobec górskiej scenerii. Potem sama dolinka, zawieszona jak loża honorowa naprzeciw sceny, którą stanowi północna Kieżmara – żaden chyba widok tej ściany nie jest równie przejmujący. Dalej trzy wyciągi na drabinie – pierwszy trudny, zajmujący, drugi spektakularny i nietypowy, trzeci może łatwy, ale w przepięknej scenerii wiszących nad nim przewieszeń. Szczyt kazalnicy jest jedyny w swoim rodzaju, a potem ten naprawdę unikalny wyciąg skalny w ścianie szczytowej – coś klasycznie pięknego, to taki odcinek, który szkoda kończyć. To na takich wyciągach doznaje się właśnie uniesień, o jakich lubi pisywać nasz wiceprezes Siekiera w swoich esejach o wyzwalającej się nadjaźni czy czymśtam, w czym generalnie chodzi o to, że fajnie się łoi.

Trawers w górnej części ściany – przedostatni wyciąg.

Wyjście z finiszowej rynny na szczyt WJK.

No i potem na deser dwa wyciągi wyjściowe – naprawdę ładne i takie wspinaczkowo przyjemne. I przecież nie da się pominąć faktu, że droga wychodzi na szczyt, taki prawdziwy, niedostępny, wyniosły, z którego widok zimowy chyba tylko zatwardziałemu sportowcowi

Rok 1999 – radość z pięknej drogi i fantastycznego obozu.

Rok 2010. Kajmana chwila zadumy przed rozpoczęciem zejścia – z asekuracją!

nie kazałby przysiąść choćby paru minut dla kontemplacji nad kubkiem herbaty. A potem zejście tą jakby specjalnie dla wspinaczy stworzoną półką przecinającą pionową ścianę północną – wprost na bezpieczne śniegi poniżej, którymi seria radosnych dupozjazdów sprowadza do samego schroniska. Z tą radością to może przesadziłem, bo jak pamiętamy w tym właśnie miejscu poszła lawina, która zabrała siedmiu Słowaków, nieźle gruchocząc im kości, ale na całe szczęście był na miejscu kol. Machnik z „dekoderem", którym szybko wypikał Słowaków spod śniegu ratując im – jak się zdaje – ich cenne dupska.

Taki więc morał wypłynął z tej historii na koniec – że uważać trzeba jednak do samego końca i „sawriemiennuju tiechniku" trzeba posiadać, bo jakby co, to głupio byłoby nie mieć i potem żałować. Toteż zapraszam wszystkich, którzy jeszcze nie byli, na drogę na Jastrzębią Turnię przez Jastrzębią Kazalnicę. Choć malkontentów u nas niemało, to jednak nie wierzę, aby każdy, kto tam pójdzie, nie znalazł dla siebie czegoś godnego uwagi.

I taka jest moja wersja i tego się będę trzymał. Horam Zdar!

Opis drogi

Ze schroniska przez staw skosem w kierunku z grubsza zachodnim do wejścia wielkiego żlebu (Długi Jastrzębi Żleb) opadającego z Jastrzębiej Doliny. W górę stromiejącym śniegiem pod pierwsze kaskady lodospadu (niekiedy można go zupełnie bez trudności ominąć po lewej, ale nam nie o to chodzi). Pierwszy wyciąg dość stromy, z miejscami 80 stopni (w zależności od sezonu) biegnie blisko skał po prawej (niekiedy z nich dobra asekuracja) i prowadzi do stanowiska po prawej przy głazie (dwa spity). Dalej w kierunku turniczki po lewej, po czym mniej stromym, ale czasem dudniącym i cienkim lodem w prawo skos na płaski teren ponad ujściem żlebu (stanowisko z głazów). Dalej ok. 150 m podejścia pod pd-zach ścianę Jastrzębiej Turni, do wyraźnego wylotu Niżniej Jastrzębiej Drabiny. Pierwszy wyciąg dość trudny, ale piękny, biegnie zrazu

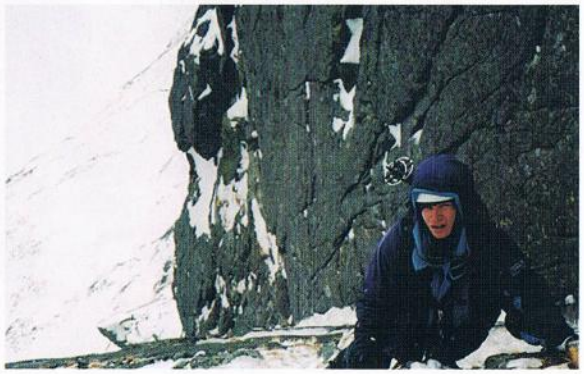

Konrad Arnold w północnej ścianie – spokój, opanowanie, profesjonalizm.

w prawo, potem w lewo i w górę przez finałową przewieszkę do stanowiska w nyży, pod zalodzoną płytą (przydatne friendy, ok. V). Drugi wyciąg płytą po lodzie lub drobnych, ale dobrych chwytach i stopieńkach na śniegi powyżej, którymi kilkanaście metrów na platformę po lewej (IV-V). Trzeci wyciąg po śniegu leżącym na płytach, łatwo, ale uważnie, po czym przez kominek na szczyt Niżniej Jastrzębiej Kazalnicy (II-III), skąd obniżenie kilka kroków na stronę pn-wsch pod pionową, pociętą rysami i żeberkami charakterystyczną ścianę szczytową. Dobre stanowisko u podnóża ściany. Wprost w górę pięknymi rysami, po dobrych chwytach i stopniach (IV/IV+) do kosówek (stanowisko). Teraz długi trawers w lewo do widocznego żebra skalnego, przy którym kolejne stanowisko. Stąd fajne przewinięcie przez filarek do rynny, którą 20 m w górę na wierzchołek Wyżniej Jastrzębiej Kazalnicy. Stąd ok. 20 m głaziastą granią o trudnościach II na szczyt Jastrzębiej Turni.

Zejście

Z wierzchołka WJK, z miejsca wyraźnie oznakowanego kopczykiem, a znajdującego się na linii grani szczytowej, zejście kilka metrów na stronę północną. Tu otwiera się widok na wyraźną półkę przecinającą całą ścianę skosem w dół w lewo i ciągnącą się do samego śniegu. Kilka miejsc III, asekuracja zalecana i niekłopotliwa. Dalej śniegami prosto w dół, z lekkim odchyleniem w lewo, do rozległej Doliny Jagnięcej, po czym łatwo, pod ścianami Koziej Turni i przez próg doliny (bardziej z lewej strony) do schroniska.

Pierwszy, historyczny obóz KWW „nowej generacji". Stoją od lewej: Radek Moszczyński, Przemek Goraj, Grześ Sokołowski, Konrad Ćwik, Alicja Paszczak, Krzysiek Kowalczyk, Artur Paszczak, Ziomek Wirski, Tomek Przybylski, Tomek Kopyś, Wiesio Madejczyk. Klęczą od lewej: Mariusz Wilanowski i Iżi Brennejzen.

Durny i Mały Durny – ściany pn-wsch i wsch. Nowości i zapomniane realizacje

Opracowanie i zdjęcia: Artur Paszczak

Tegoroczny obóz pozwolił nam przyjrzeć się rzadko odwiedzanym ścianom Durnego Szczytu (2625 m) oraz jego sąsiada – Małego Durnego (2592 m). Górują one ponad całą doliną swoimi wyniosłymi sylwetkami („durny" z góralska oznacza „dumny") i przyciągają wzrok każdego wspinacza. Niestety, dość dalekie podejście (szczególnie w zestawieniu z rzutem beretem pod ścianę Kieżmarskiego) zazwyczaj skutecznie zniechęca, toteż trzeba było trzech obozów, abyśmy się tam w końcu znaleźli.

Wybraliśmy się tej zimy na drogę WHP 3039 filarem Małego Durnego, wysokim na ok. 500 m. Filar ten posiada coś w rodzaju ściany czołowej, ciągnącej się w górę doliny i tworzącej w sumie samoistną ścianę północną. Wychodzi się z niej na śnieżny taras, z którego wspinanie do szczytu odbywa się łatwiejszym, dwójkowo-trójkowym terenem, który jednak daje trochę „po kondycji". Droga była bardzo ciekawa, jej letnie trudności (V+) kulminują się w litej płycie na prawo od potrzaskanego komina, która i mi sprawiła spore kłopoty (stąd trochę zagmatwany sposób jej przejścia, wynikający z pierwotnego zapchania się w pozbawiony asekuracji i bardzo kruchy komin). Zimowe trudności płyty leżą zapewne w granicach M6+/7-, ale ograniczyłem się do starego zimowego VI. Wyciąg czwarty, pionowa, potrzaskana płyta, również oferował wymagającą wspinaczkę, ale już z lepszą asekuracją. Sam szczyt jest wspaniały i niedostępny, a zejście z niego stanowi przygodę samą w sobie. Prowadzi ono systemem żlebów, dość stromych, które w jednym miejscu wymagają zjazdu. Wreszcie osiąga się Miedzianą Kotlinę (górne piętro Doliny Dzikiej), z której już bez problemu dostaje się do Zielonego Stawu Kieżmarskiego.

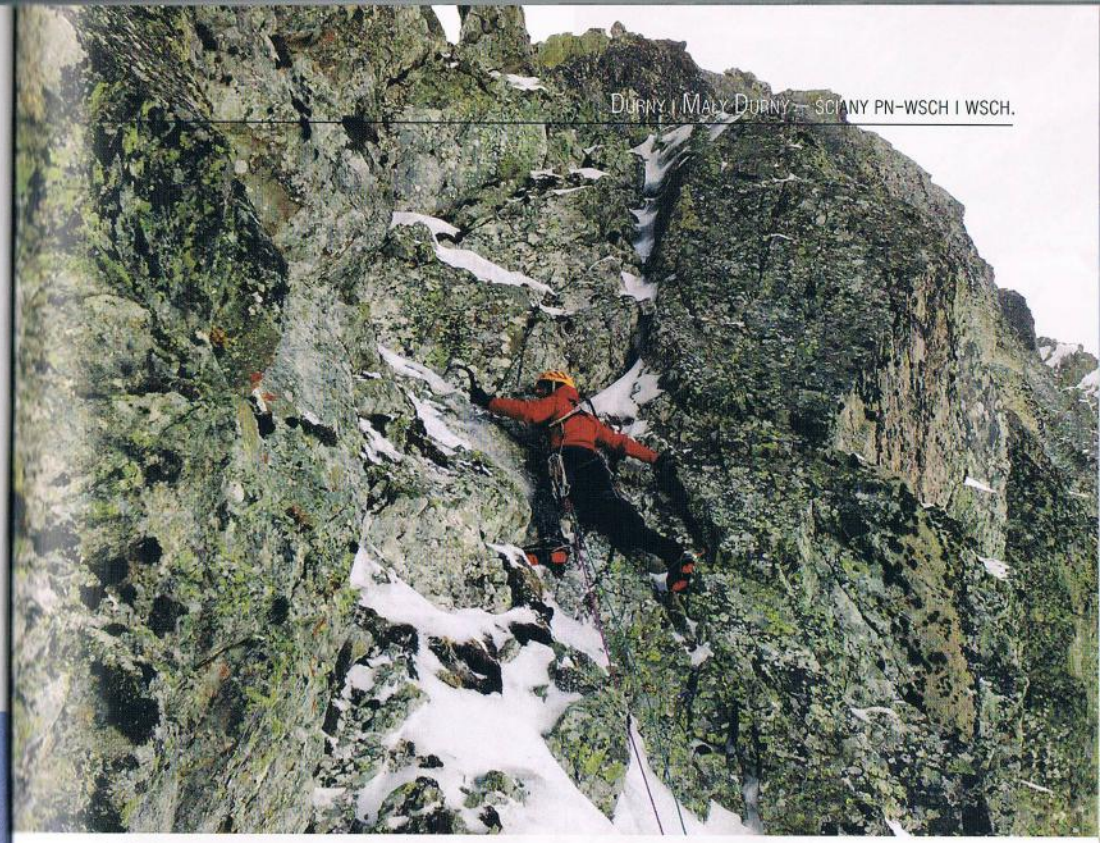

Tadek Grzegorzewski w trudnościach czwartego wyciągu. Fot.: Artur Paszczak.

Po pokonaniu drogi dowiedzieliśmy się od eksperta, jakim niewątpliwie jest Paweł Jackovic, że dokonaliśmy pierwszego przejścia zimowego!

Przy tej okazji Paweł zaprezentował nam swoją drogę z 2007 r. „Bailando", która w tym sezonie uzyskała zimowe przejście klasyczne, ze względu na świetne warunki lodowe. Nie starczyło niestety czasu na sprawdzenie tego w praktyce.

Warto przywrócić pamięci także dwie inne drogi z tego rejonu – po pierwsze „Nowy Filar" duetu Wolf–Mieszkowski – piękną wspinaczkę tuż na lewo od WHP 3039, a także duży wariant zimowy do WHP 3064 z roku 2001, 400-metrowym filarem wschodniej ścia-

ny Durnego Szczytu, autorstwa dwóch Pawłów: Tarnawskiego i Cisowskiego. Obie drogi należą niewątpliwie do poważnych wypraw zimowych i swoją klasą dorównują przejściom na północnej Kieżmarskiego.

Mam nadzieję, że załączone schematy zainspirują was do odwiedzenia tych pięknych i jakże odludnych ścian. Pamiętajmy wszakże, że takie ściany stanowią o pięknie alpinizmu i o tym, czego w nim najbardziej poszukujemy, a co zazwyczaj określamy krótkim słowem „przygoda".

Marcin i Tadek pokonują ostatnie, trójkowe żebro prowadzące na szczyt Małego Durnego.

Artur na tle wyniosłej sylwetki Durnego Szczytu. Teraz już tylko w dół.

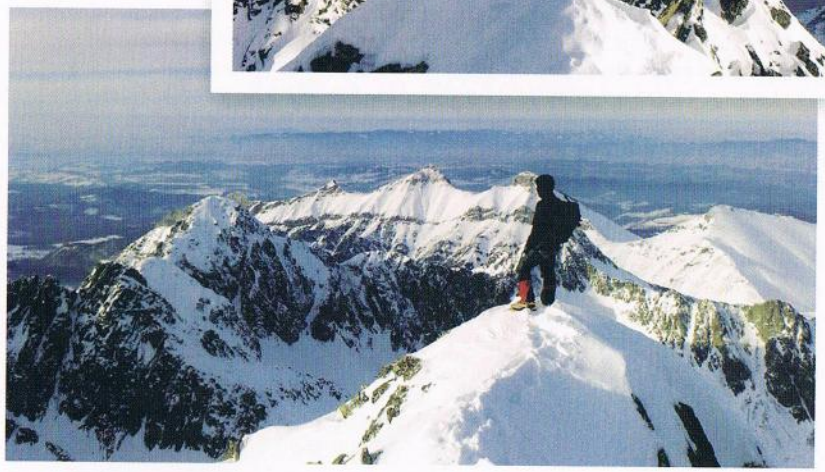

Marcin na szczycie, „wspaniałym i niedostępnym".

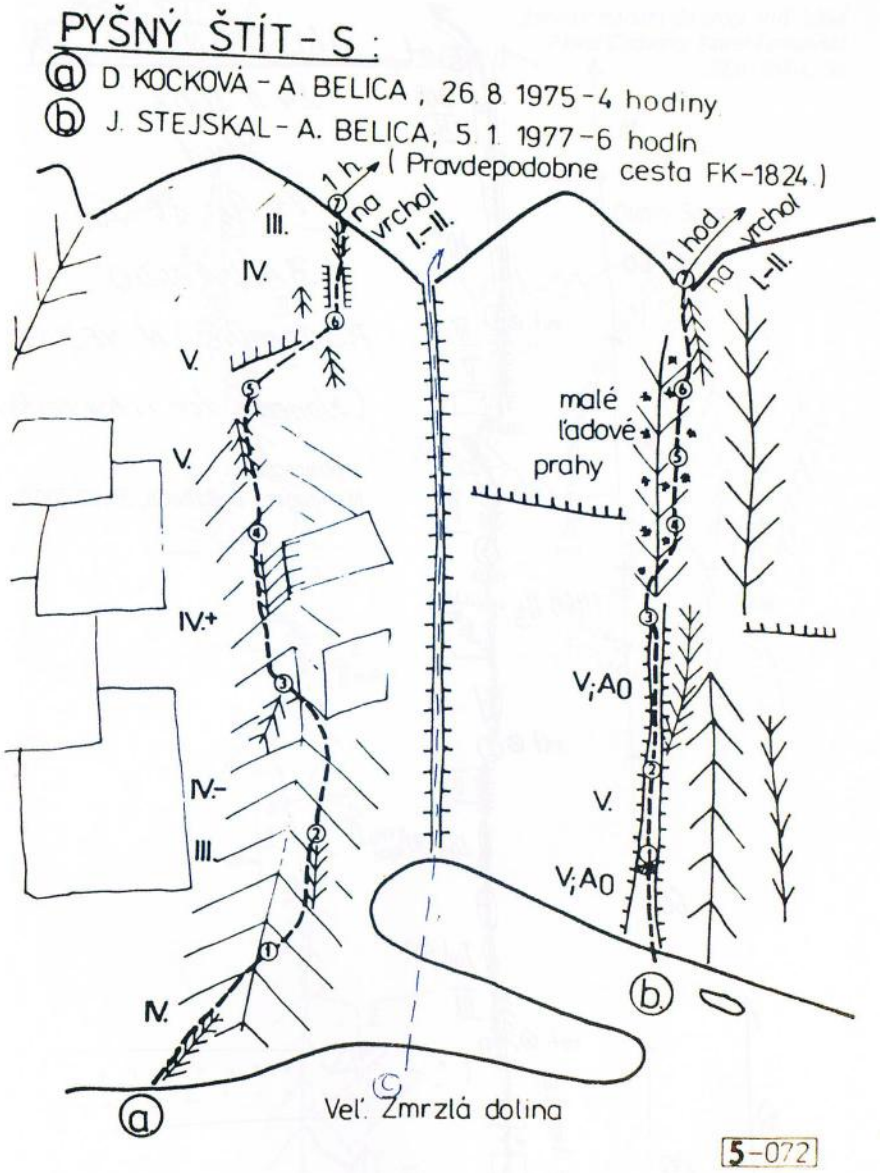

© „BAILANDO" (JACKOVIČ - MENDEL 14.8.2011)

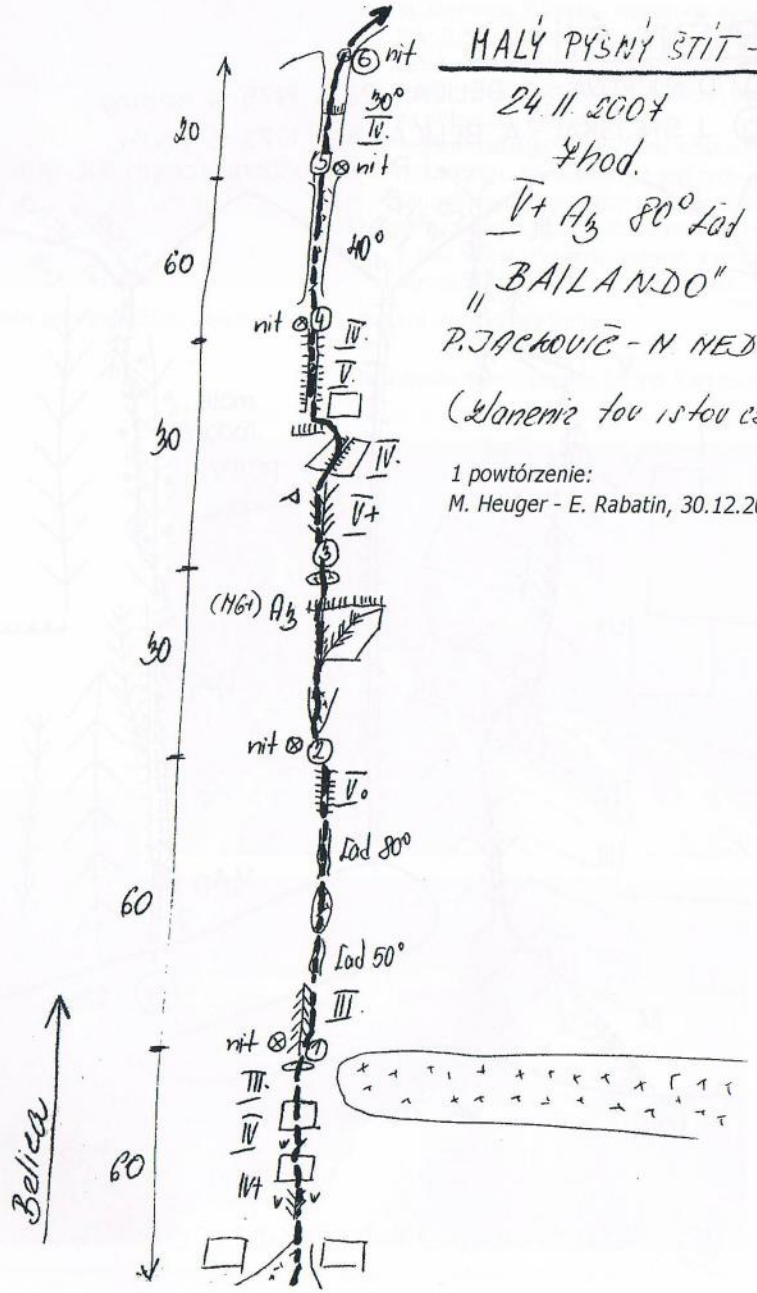

MALÝ PÝŠNÝ ŠTÍT - S

24.11.2007

4 hod.

V+ A3 80° Lod

„BAILANDO"

P. JACKOVIČ - N. NEDIEC

(Ganeniz tov i stov czesto)

1 powtórzenie:
M. Heuger - E. Rabatin, 30.12.2007

PÝŠNY ŠTÍT - E

(Lewy filar wschodniej ściany Durnego szczytu.)

Zimowy wariant do drogi WHP 3064
Paweł Cisowski, Paweł Tarnawski
22,01,2001, 5h

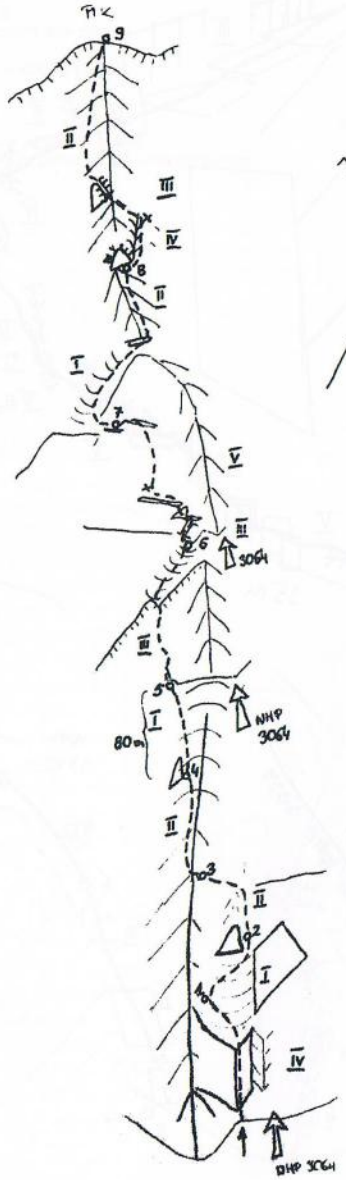

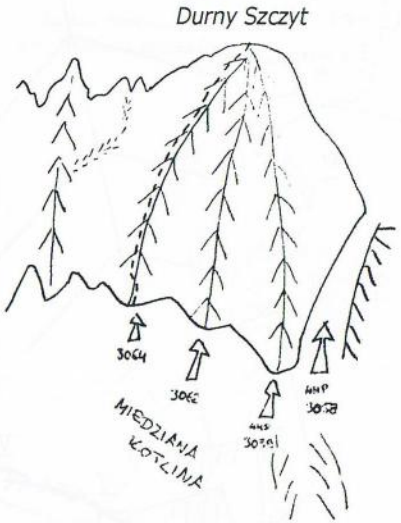

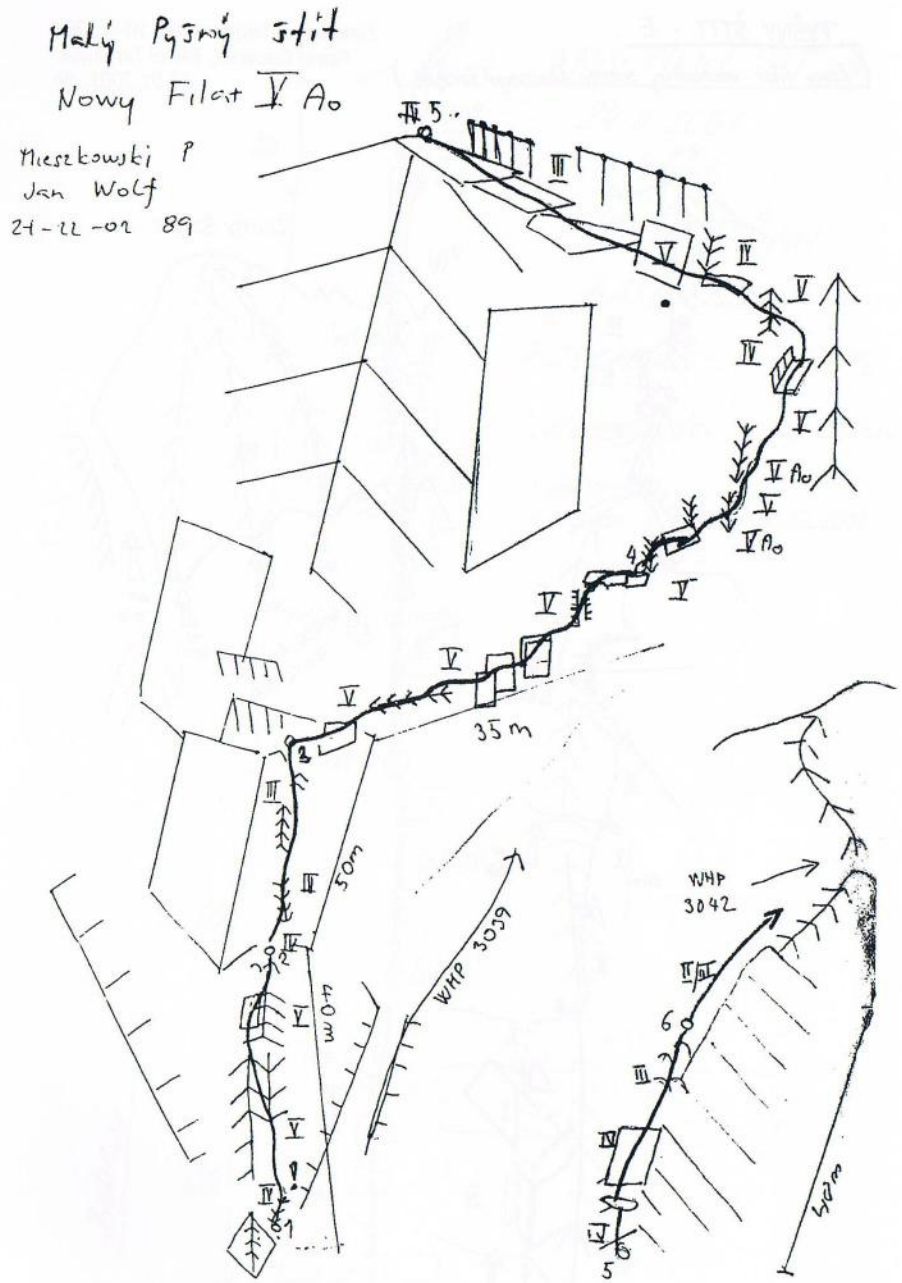

MAŁY DURNY, FILAR PN-WSCH
WHP 3039
T. Grzegorzewski, M. Księżak, A. Paszczak
VI, 5.5 h, OS
marzec 2010
prawd. 1-sze przejście zimowe

wyciągi po ok 60m lub więcej.

(A) - pokonany przez nas wariant trawersem po płycie, ok M7, słaba asekuracja

rys. A. Paszczak

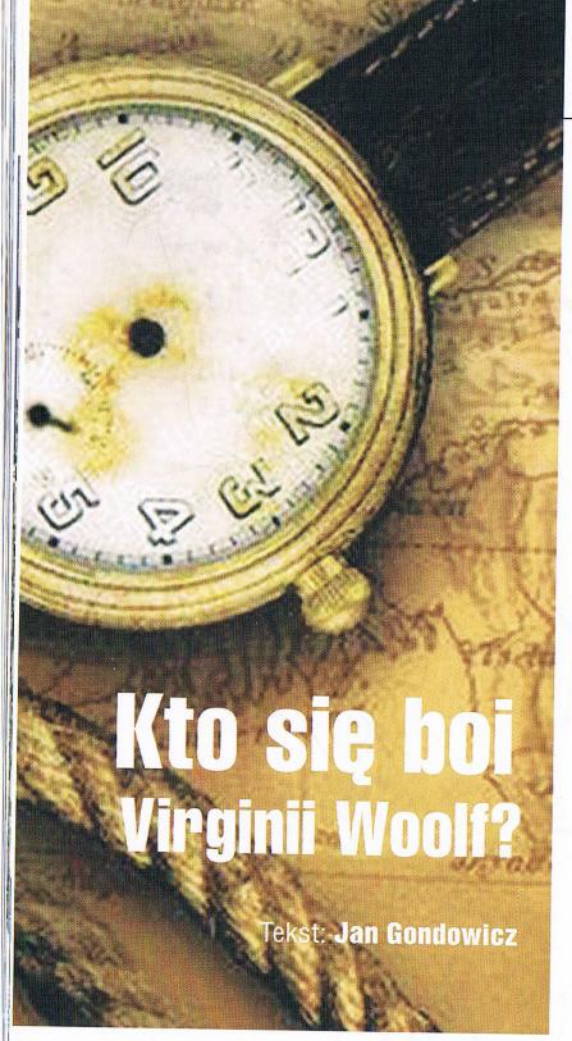

Kto się boi Virginii Woolf?

Tekst: **Jan Gondowicz**

Nadczłowiek ma zawsze pod górę. Tym razem miał wprost z tonącego kutra wspiąć się stumetrowym, mokrym, przewieszonym klifem, zadźgać na górze Niemca, po czym wciągnąć czterech kumpli i pół tony sprzętu. Ułatwić mu to miała „lina asekuracyjna przepleciona drutem" i „sto haków z karabinkami, wetkniętych niedbale za pas". Samego nadczłowieka autor „Dział Nawarony" nie musiał wymyślać. Dla jego czytelników nazwisko Mallory oznaczało „największego alpinistę świata".

Wszystko to jeden bzdet. Linę nadzianą drutem Alistair MacLean widział może w jakiejś stoczni, ale chyba nie próbował zawiązać na niej węzła. Sto przedwojennych haków z karabinkami ważyłoby pół cetnara. A George Leigh Mallory 8 czerwca 1924 roku zaginął na Evereście. Czy był jednak największym alpinistą świata?

Tak i nie. W latach 10. ubiegłego wieku zadziwiał zręcznością w skałach Clogwyn Du'r Arddu i Lake District. W Alpach zrobił parę standardów sprzed ćwierć wieku. Los jednak oszczędził mu konfrontacji z wyczynami genialnych wspinaczy jego pokolenia, jak Angelo Dibona, Emil Solleder, Hans Dülfer, Otto Herzog, Alberto Zanuti, Paul Preuss czy Heinrich Pfannl. Bo też w Anglii nikt o nich nie słyszał.

Największym alpinistą świata stał się na sali odczytowej w Nowym Jorku, gdy w 1923 roku, po powrocie z drugiej wyprawy himalajskiej, na pytanie, co go tak pcha na Everest, odparł bezbłędnie: „Because it's there!". Bo tam jest! Kiedy nie wrócił z trzeciej, w jego niezłomnej woli ujrzano pogoń sir Galahada za świętym Graalem. Dziś, w dziesięć lat po sensacyjnym odnalezieniu jego ciała pod północną granią góry, świętym Graalem stał się leżący gdzieś tam aparat fotograficzny – być może z dokumentacją zwycięstwa.

Tak Mallory awansował do angielskiej mitologii. A dzięki epickim bojom z Everestem kult podjął cały świat. Widać trzeba mu było tego wcielenia ideału bezinteresownych zwycięstw w walce z dziką naturą. Tego dżentelmena bez skazy, który nawet w obliczu klęski nie zmienia przyjętych reguł. Tego reliktu arystokratyzmu ducha, zabłąkanego w XX wiek.

Tak też przedstawia go zeszłoroczna (2009), a zaraz u nas wydana (styczeń 2010) powieść Jeffreya Archera „Ścieżki chwały". Ambitny młodzieniec, syn pastora, studiuje z zapałem historię na Cambridge, zostaje ofiarnym nauczycielem na prowincji, a w wolnych chwilach uprawia alpinizm. Dla żartu wspina się na wieżę Eiffla. Poznaje śliczną pannę i włazi dla niej po ścianie kampanili św. Marka w Wenecji. Jest zawsze na czele dwóch (pierwszą autor dla skrótu połączył z drugą) ekspedycji everestowskich. Żeby nie było za słodko, Archer przeciwstawia go zadufanym członkom Komitetu Everestowskiego i wyposaża w rywala – bezczelnego proletariusza, też postać historyczną, George'a Fincha. Ma się rozumieć, Mallory zawsze pod każdym względem przewyższa wszystkich, a wobec zgorszonych lordów broni wstrętnego Fincha własną piersią. Po czym znika w szczytowej mgle ze swą tajemnicą.

Czym uzupełnić taki portret? Chyba tylko wiszącą w internecie reklamą tej książki: „Prawdziwy dynamit komercyjnej fikcji literackiej".

Rzecz jasna, wszystko to wielki bzdet. Było inaczej i ciekawiej. Ale od czego zacząć? Dajmy na to, od tego, że Mallory nigdy nie wspiął się na wieżę Eiffla. I to nie z braku umiejętności. Faktycznie zrobili to dopiero w 1964 roku René Desmaison i Guido Magnone – ludzie z zachodniej ściany Dru, przez którą nie przebiliby się bez ćwierć tony haków, nitów, wierteł, ławeczek, bloków transportowych i innego żelastwa. Mallory takich rzeczy nie uznawał. Wzór jego pokolenia, Albert Mummery, atakując (rok przed śmiercią na Nanga Parbat) alpejski obelisk Dent du Géant, zostawił w połowie stumetrowej przewieszonej płyty wizytówkę z notatką: „Dalej cywilizowanymi sposobami się nie da". I nie był bynajmniej dziwolągiem. Jego pogląd dzielili Walter Haskett-Smith, Armand Charlet, Hermann Delago oraz wspomniani Preuss i Pfannl – żaden w życiu nie wbił haka.

Czemu to ważne? Bo wyznacza oś sporu, który wybuchł na Evereście. Mallory przyznał w końcu, że choć to nieetyczne, można tam użyć tlenu. Przekonano go, że buty z ćwiekami i wełniane gacie to też sztuczne ułatwienia. Ale czuł, że śliska ścieżka, na którą wkracza, wiedzie w istocie w dół – do dzisiejszych wiertarek akumulatorowych, boltów, skajhuków, repsznurów, zmieniających wspinaczkę w przedsięwzięcie inżynieryjne.

Po urwiskach Snowdonii i Krainy Jezior wspinano się zwykle boso, by nic nie dzieliło człowieka od skały. A czasem robiono to nago. Droga Mallory'ego na Everest zaczęła się bowiem w klubie neopogan z Cambridge, którzy programowo ćwiczyli, biegali i pływali na golasa. Klub powołał do życia starszy od Mallory'ego o lat dziesięć profesor Geoffroy Young, wielki alpinista z przełomu wieków. Nauczał, że ciało pośredniczy między naturą a boskością, a męskie ryzyko pozwala wygnać z siebie wszystko, co skalane i skażone.

Na zdjęciu z lat studiów Mallory, piękny jak młody bóg, siedzi nago na stole twarzą do aparatu, trzymając się za stopy. Arthur Benson, jego tutor w Magdalene College, stawił „rysy nieskazitelne jak japoński drzeworyt". „Niebywale sugestywne oczy Botticellowskiej Madonny" – stękał profesor Graham Irving. A student Lytton Strachey, późniejszy biograf królowej Wiktorii, dostawał na jego widok palpitacji i niemal popadał w omdlenie.

Nic dziwnego, że śliczny, bystry chłopiec stał się ozdobą ekskluzywnego kręgu, który uprawiał kult piękna, a w jego ramach związki miłosne każdego z każdym. Była to sławna w dziejach literatury angielskiej Grupa Bloomsbury, świeżo podówczas zawiązana wokół dwu cór sir Leslie Stephena – pierwszego alpinisty, który odważył się głosić, że wspinanie nie wymaga żadnego naukowego pretekstu, czym wywołał rozłam w Alpine Club. Młodsza z sióstr, Virginia Woolf, nakazała nowy nabytek sportretować – w formie, rzecz jasna, aktu – kochankowi starszej siostry, Vanessy Bell, nazwiskiem Duncan Grant. Dla konkurencyjnego portretu Strachey ściągnął z Francji malarza Simona Bussy'ego. Dzieła sztuki wywarły skutek, bo w Mallorym zakochał się szaleńczo brat Lyttona, James. W piśmiennictwie na temat Grupy Bloomsbury epizod ten nosi nazwę „l'affaire George".

Oczywista, o neopogaństwie, naturyzmie, radykalizmie społecznym i wszelkich w ogóle związkach Mallory'ego z Bloomsbury Archer ani pisnął. Nie, sorry, wzmiankuje, że jego bohater poznał G. B. Shawa. Kompletnie też przemilcza Greek love. Nie, sorry, wzmiankuje, że jego bohater miał w szkole Charterhouse pewnego ucznia. Że jednak ów chłopiec, z którym nie tylko się wspinał, to późniejszy wielki pisarz Robert Graves, biograf nabiera wody w usta.

Dodać można, że Mallory zaznał zwykłego losu zabawek pięknych dam. Zjawił się nowy, dwa lata młodszy cuduś, świetny poeta Rupert Brooke. (Poległ później w czasie operacji dardanelskiej na Skyros, tam gdzie Achilles ukrywał się wśród dziewcząt). „Wcielenie młodego Brytyjczyka w pełni zdrowia i męskiego wigoru – oblizuje się Virginia Woolf. – Zdaje się poganinem wielce świadomym i wyzywającym". Urażony Mallory wyjechał w Alpy, po czym zmienił orientację na rzecz przyszłej żony, Ruth Turner. Miał z nią trójkę dzieci, lecz Archer ani wspomni, że Conrad Anker znalazł na Evereście przy zwłokach listy miłosne do i od Stelli Cobden-Sanderson, poznanej w Stanach rudej sufrażystki.

Na koniec wniosek. Poprawki do biografii Mallory'ego naniosłem na podstawie książki „The Wildest Dream. George L. Mallory, His Life and Conflicting Passions" Petera i Leni Gillmanów, wydanej w Londynie przez The Mountaineers Books w roku 2000. Kto i z jakiej racji zamiast autentycznych wizerunków żywych ludzi wciąż pcha w żłób czytelnikom polskim lipny dynamit „komercyjnej fikcji literackiej"?

Jeffrey Archer, „Ścieżki chwały", przeł. Danuta Sękalska, Rebis, Poznań 2009.

Czekając na Miszę

Tekst: **Łukasz Supergan**

Zdjęcia: **Dominik Cysewski**

Prognoza pogody na weekend była wspaniała i zacząłem szukać wśród znajomych chętnego na wypad w Tatry. W planach miałem kilka krótkich dróg w okolicy Morskiego Oka. Na moje zaproszenie odpowiedział Misza.

Znałem go dotychczas jedynie korespondencyjnie, uzgodniliśmy jednak, że zimowe czwórki w sąsiedztwie Mnicha leżą w możliwościach nas obu. Umówiliśmy się w starym schronie w piątek wieczorem. Na pytanie o sprzęt opowiedziałem tylko „weź sześćdziesiąt metrów połówkowej i jak masz, to kilka cienkich haków".

Wieczorem, zmęczony po długim podejściu z ciężkim worem, doczłapałem do schroniska. Miszy nie było. Przesłał za to SMS, że pociąg z Krakowa nawalił i dotrze dopiero nazajutrz około ósmej. Trudno, poranne wyjście pod ścianę mieliśmy z głowy. Pozostawało cierpliwie czekać.

O ósmej rano Miszy nie było. O dziewiątej też nie. Wparował do schronu po dziesiątej, witając się ze mną radośnie i narzekając, że stracił raki i musiał pożyczyć od znajomych. Od razu przystąpiliśmy do działania. Szybkie pakowanie, podział szpeju i w drogę. Celem były „WC Baba" i „Kuluar Kurtyki" na Progu Mnichowym. Misza wystrzelił jak z armaty. Obciążony tonami żelastwa ledwo nadążałem za jego szybkim krokiem i sapałem jak parowóz. Co jakiś czas mój młodszy partner zatrzymywał się na ścieżce, wskazując na odległych ścianach drogi, jakie robił i nazywał formacje widoczne dokoła. Patrzyłem na niego z szacunkiem – musi być z niego niezły napieracz...

Tuż pod Progiem weszliśmy na duże pole lekkiego śniegu. Kopaliśmy się z mozołem pod ścianą, aż w pewnym momencie Misza, idący w miękkich butach, poślizgnął się i zaczął jechać w dół, celując w głazy leżące poniżej. Patrzyłem na niego bez strachu widząc, że jedzie płynnie i zgrabnie hamuje przed kamieniami. Chwilę później wziąłem z niego przykład i pięć minut później staliśmy u początku drogi. Misza macał bok.

– Boli mnie żebro. Chyba się po nim przejechałem – powiedział.

– Spoko. Miejmy nadzieję, że nie pęknięte. Jakby coś się działo, to mów.

– Zgubiłem też kijek.

– Wracamy po niego?

– Nie, kij z nim – uśmiechnął się.

Wyciągnąłem linę i zacząłem się szpeić. Pierwsze wątpliwości dopadły mnie, gdy zerknąłem na mojego partnera, który wyciągnął z plecaka stare raki i jął je przymierzać. Miękkie, turystyczne buty za nic w świecie nie chciały się do nich dopasować. Dwadzieścia minut później, gotowy do wejścia w drogę ujrzałem, jak Misza, zgrabiałymi na mrozie palcami, cały czas usiłuje ścisnąć paski trzymające jego żelazo. Krytycznie przyjrzałem się im, po czy kilkoma zdecydowanymi ruchami dociągnąłem, by jako tako siedziały na nogach.

To samo zrobiłem z jego uprzężą, która dziwnym trafem przekręcała się na biodrach o 90 stopni. Wziąłem linę mojego partnera. Była dziwna w dotyku i jakoś nie przypominała mojej twardej, dobrze leżącej w dłoni żyły, ale nie zwróciłem na to większej uwagi. Podobnie zresztą jak na fakt, że mój part-

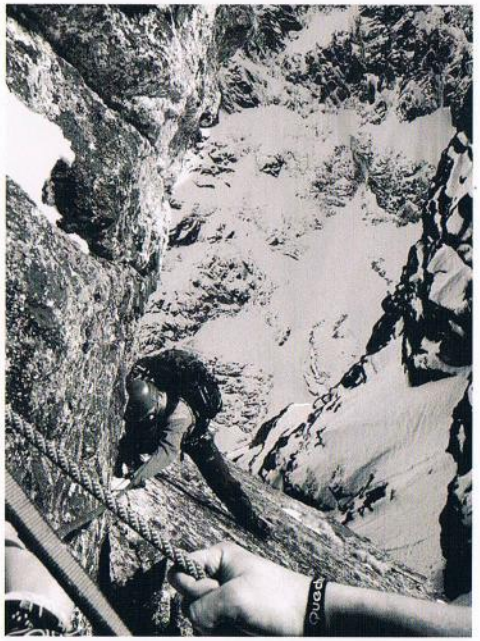

ner przyjechał na skalno-lodowe wspinanie z jednym lekkim, turystycznym czekanem. Misza cały czas rozgrzewał dłonie, musiałem więc zawiązać mu obie liny przy pasie.

– Dobra, wyciągaj przyrząd, będę szedł – mruknąłem.

– Przyrząd? – spytał Misza.

– No, asekuracyjny, wziąłeś przecież jakiś?

– Tak, tak, gdzieś go tu mam... – rzucił się na poszukiwania wewnątrz plecaka. Po chwili wyciągnął ósemkę.

– Nie masz innego? – spytałem.

– Mam, mam, gdzieś brałem... – znowu nerwowe poszukiwania, niestety bez rezultatu. Nie wziął też żadnego HMSa, oddałem mu więc jednego z moich.

– To mogę iść?

– Tak.

– No to może wepnij tę ósemkę w uprząż...

– ???

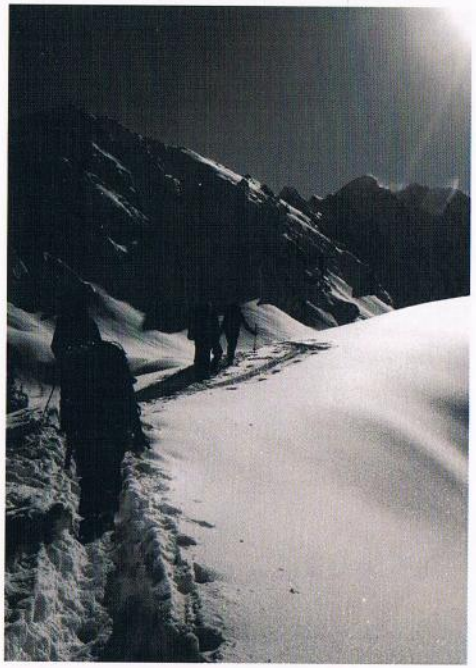

Misza stał pod ścianą, nie potrafiąc przepleść liny przez przyrząd. Szybkim ruchem wyręczyłem go i już miałem iść, gdy ujrzałem mojego partnera, jak zamiast wpiąć ósemkę w uprząż stał, trzymając przyrząd w jednej ręce, a wpięty w nią karabinek w drugiej. Jeśli dotychczasowe wpadki nie dały mi jeszcze powodu do niepokoju, to teraz w mojej głowie zaświeciło się ostrzegawcze światełko. Gdy chwilowa konsternacja minęła i udało nam się dogadać, ruszyłem.

Kilkadziesiąt metrów łatwego terenu puściło w pięć minut. Stanąłem na górnym stanowisku i gdy już miałem krzyknąć „Mam auto!", usłyszałem z dołu głos. Misza chciał, żebym zszedł do niego. Z początku zlekceważyłem wołanie, jednak po chwili się powtórzyło. Naszą wymianę okrzyków między stanowiskami skutecznie głuszył załom skalny, jednak gdzieś pomiędzy potokiem sylab dotarło do mnie, że mój partner się odmroził.

Misza, stojący na dole, pokazał na swoją stopę mówiąc, że nie czuje palców. Podczas niespodziewanego zjazdu, jaki zaliczył na podejściu, śnieg nasypał mu się do cholewki. Zdjąłem but, by stwierdzić, że wewnątrz ma mokre, lodowate bagno. Wspinanie na ten dzień mieliśmy z głowy.

Wieczorem, porządkując sprzęt, rzuciłem okiem na linę mojego partnera. Wspomnienie dzisiejszych wypadków skłoniło mnie do ostrożności. Była zadziwiająco miękka, a jej koszulka ślizgała się po rdzeniu jak po maśle.

– Misza, co to jest za lina?

– No, połówkowa.

– Ale wspinaczkowa?

– No, tak.

– Przecież ona jeździ jak makaron.

W dyskusję włączyli się nasi sąsiedzi z pokoju. Po krótkich oględzinach zgodnie stwierdziliśmy, że mój kolega przywiózł ze sobą 60 m bezrdzeniowego sznura żeglarskiego. Skóra zmierzwiła mi się na karku, gdy pomyślałem o wspinaczce w pionowym lodzie kuluaru z liną, której wytrzymałość na odpadnięcia była bliska zera...

– Misza, skąd masz tę linę?

– To moja lina, wspinaczkowa.

– Ale skąd ją masz?

– Dostałem.

„Spokój, tylko spokój może nas uratować", przemknęło mi przez myśl. „Hare Kriszna, Hare Kriszna, Kriszna Kriszna, Hare Hare...".

Nazajutrz, już mniej raźno niż wczoraj, ale wciąż z nadzieją na dotknięcie choć kawałka skały, udaliśmy się pod Czołówkę. Proponowałem „Błądzące panienki", ale Misza nie palił się do tego pomysłu. Wybór padł na „Się ściemnia". Zgrabnie przeszliśmy przez Morskie Oko, jednak na podejściu pod Bulę Misza znowu zaczął zostawać w tyle. Zdążyłem wygrzebać półkę w śniegu i rozłożyć szpej, a on cały czas stał pode mną i marudził. W końcu nie wytrzymałem.

– Co jest?

– Raki mi się wypinają...

Po kilku próbach, w trakcie których moje oblicze stawało się coraz bardziej ponure, okazało się, że turystyczne buty Miszy są tak miękkie, że wyślizgują się nawet z mocno zaciśniętych, paskowych raków, pamiętających chyba czasy krakowskich Pokutników. Mój towarzysz nie zdecydował się nawet na wejście w skałę i zarządził odwrót. Ja, aby ukoić zszargane nerwy, udałem się na dwugodzinny spacer do Bandziocha.

W schronie zamieniliśmy tylko kilka słów. Nie wiem czy zrozumiał moją sugestię o potrzebie posiadania lepszego sprzętu na zimę. Wracałem do Warszawy lżejszy o dwie stówy, z kilkoma ładnymi zdjęciami i zmarnowanym weekendem.

Tydzień później wróciłem w Tatry z innym towarzyszem, jednak pogoda zepsuła się tuż przed naszym przybyciem i o wspinaniu przez najbliższe tygodnie mogłem już tylko pomarzyć.

Więcej nie wspinałem się z Miszą.

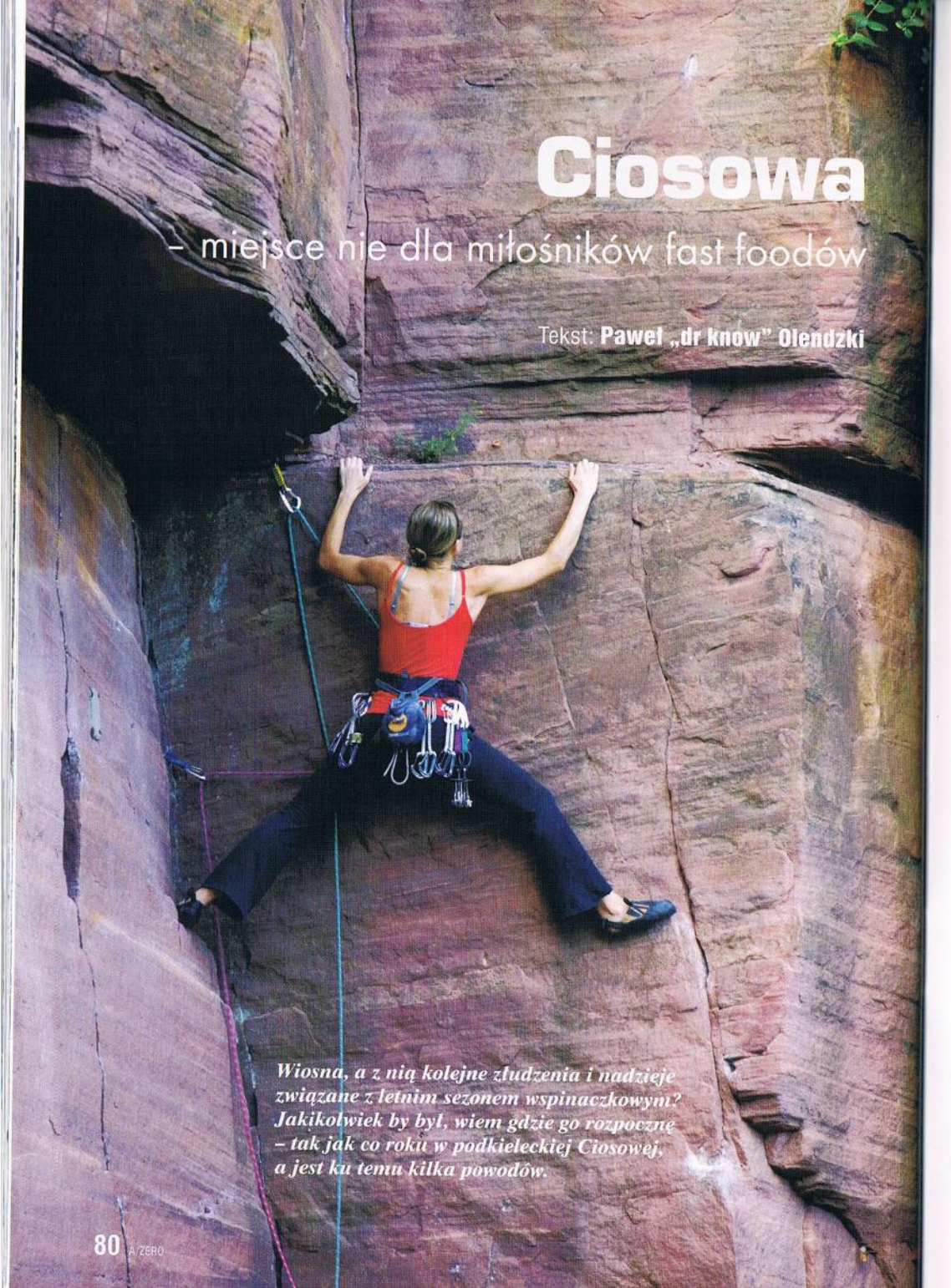

Ciosowa

– miejsce nie dla miłośników fast foodów

Tekst: **Paweł „dr know" Olendzki**

Wiosna, a z nią kolejne złudzenia i nadzieje związane z letnim sezonem wspinaczkowym? Jakikolwiek by był, wiem gdzie go rozpocznę – tak jak co roku w podkieleckiej Ciosowej, a jest ku temu kilka powodów.

Najważniejszy: skała! Owszem, nie powala wysokością, bo drogi mają od 10 do 15 m, ale trójkąt, jaki tworzą nieczynne kamieniołomy w Ciosowej, Wykieniu i Tumlinie, to chyba jedyna taka wyspa czerwonego piaskowca w Polsce. A przynajmniej ja nigdzie w naszym kraju nie spotkałem takiej skały. Ta w Ciosowej jest największa, najładniej położona – wysoko na zboczu góry, z ekspozycją południową, co pozwala cieszyć się klasycznym wspinaniem przez okrągły rok, o ile tylko świeci słońce.

Inny, też bardzo ważny atut – cisza, spokój, brak tłoku. Można w tym momencie zakrzyknąć: paradoks! Miejsce niby wykwintne, do tego łatwo dostępne, a ludzi nie ma. Coś tu nie gra! Nie, nie jest to paradoks – po prostu Ciosowa potwierdza tezę, że gdzie nie ma ułatwień, tam tłok nie występuje. Niestety, brakuje tu brak stałych punktów asekuracyjnych, zarówno przelotowych*, jak i stanowiskowych. To właśnie ta „niedogodność" powoduje, że nie każdy chce i może się tu wspinać. Asekuracja opiera się przede wszystkim na mechanikach i to w secie większym niż utarło się uważać za podstawowy (#.5~#3 BD), który to warto mieć zdublowany. Nie od parady jest posiadać czwórkę be-de, a i piątka też może się przydać. To samo dotyczy dołu skali – często przydają się mikrusy Metolius od 00 do 1 lub ich ekwiwalenty. Owszem, zamiast dublować mechaniki możemy posłużyć się heksami, pamiętajmy jednak, że w okapach i poziomych rysach będą one miały zastosowanie ograniczone. Roksy siadają sporadycznie, większe rozmiary w zasadzie są niepotrzebne. Oczywiście powyższe dywagacje sprzętowe dotyczą zwykłych śmiertelników – osobnicy z zestawem podstawowym ukierunkowanym na „bułę, technikę i moral" mogą sobie takimi drobiazgami głowy nie zaprzątać.

Konfiguracja terenu powoduje, że nawet trywialne założenie wędki się nieco komplikuje – drzewa oddalone są od krawędzi wierzchowiny o kilka metrów, ta na ostatnim metrze lub dwóch jest krucha, co powoduje, że dobrze jest dysponować dodatkowym sznurem długości 20 m. Taka konfiguracja i często zagmatwany przebieg dróg (trawersy, przewinięcia między okapami) powodują, że najkorzystniej jest wspinać się w niemodnym dziś w skałach zespole, prowadząc linę dwutorowo (warto mieć linę połówkową, a gdy taką nie dysponujemy, złożyć linę pojedynczą na pół), a po skończeniu wspinania zejść ścieżką pod skały. Jeśli po przeczytaniu powyższego macie skojarzenia z gritami, to są one jak najbardziej uprawnione, z tym że skała bardziej przypomina Indian Creek.

Niestety muszę wspomnieć o zgrzytach. Pierwszy formalny: Ciosowa to pomnik przyrody nieożywionej, o wciąż nieuregulowanym statusie wspinania. Niemniej moja dziesięcioletnia praktyka pokazuje, że problemu z dostępem do skał nie ma... pod warunkiem traktowania miejsca z należytym szacunkiem, z czym w przeszłości różnie bywało, ale o tym za chwilę. Do tego trwają zaawansowane rozmowy lokalnego środowiska i Inicjatywy NS z odpowiednimi władzami, które w kontekście ostatniego sukcesu, jakim było udostępnienie do wspinania części podkieleckich rezerwatów, pozwalają mieć nadzieje na optymistyczne zakończenie.

Drugi zgrzyt ma charakter estetyczny, nierozerwalnie związany z historią eksploracji rejonu – mowa o kutych tu i ówdzie dziurach, tych pod ringi i tych pod palce. Otóż w latach dziewięćdziesiątych pewien nieokiełznany Maniak Skalny, twórca kultowych już przewodników o takiej właśnie nazwie, uważał, że właśnie „odkrył" miejsce i postanowił urządzić je na swój wzór i podobieństwo. Czyli powbijał ringi nie bacząc, czy robi to w gładkich płytach, czy obok rys, wykuł w miejscach, gdzie nie puszczało mniejsze lub większe dziury (to się elegancko nazywa „zrównoważanie trudności"), do tego dorzucił tuż nad ziemią ciąg klameczek, żeby było się na czym rozgrzewać, a całość głośno zaanonsował w ogólnopolskim czasopiśmie górskim. Na efekty nie trzeba było czekać zbyt długo, a i mało zaskakujące były – konserwator przyrody nakazał usunąć całe żelazo ze ścian i przegonił wspinaczy na cztery wiatry.

Zacięcie, V-, Damski klasyk. Fot.: Andrzej „Makar" Makarczuk.

Zaznaczam, nie chodzi mi tu o dywagacje z zakresu etyki, a jedynie estetyki – wielu z nas, nawet nie wiedząc o tym, ciągnęło w swoim wspinaczkowym żywocie z kutych, a przynajmniej rasowanych dziur jurajskich. Tu niestety każda, nawet najmniejsza wykuta dziura „głośno krzyczy" w gładkiej płycie, budząc niesmak... dlatego uprzedzam.

Aby się tu dużo powspinać w ładnej skale, należy poruszać się swobodnie w stopniu sześć, rzekłbym, bardzo swobodnie – najlepiej pokonywać takie trudności sajtem. Po prostu trzeba mieć zapas na osadzanie asekuracji czy też zdmuchnięcie piasku z klamki przed zadaniem z niej (co na początku sezonu lub po intensywnych deszczach się zdarza). Nie znaczy to, że łatwiejszych dróg nie ma. A owszem są i trójki–czwórki, niektóre bardzo długie 30-metrowe linie, pokonywane czasem dwoma wyciągami, ale, nie oszukujmy się, wiodą one formacjami skały, delikatnie mówiąc, nienajlepszej jakości, a w tym artykule skupiam się na perełkach skoncentrowanych w lewej części.

Zatem otwieram kolekcję:

Okapik (VI-) – absolutny klasyk rejonu z przedziału sześć. Śmiała linia poprowadzona wg prastarych wzorców, czyli klucząca przez najsłabsze punkty ściany – gdy pod nią stoimy, nie dajemy wiary, że ma tylko tyle. Zalecane uważne prowadzenie liny, odpowiednie przedłużanie przelotów oraz koncentracja w kluczowych trudnościach, gdyż ewentualny lot nie będzie przyjemny. Od dwóch lat dzięki pracom czyszczącym kolegi z Łodzi droga przedłużyła się o kilka metrów, ale do zaasekurowania się na tym odcinku będziemy potrzebować małych mechaników. Jeśli nimi nie dysponujemy, możemy śmiało skończyć drogę na wybitnej półce przed ostatnim litym filarkiem.

Okap (VI.2 W) – to poważniejszy klasyk z wyższego przedziału cenowego. Startuje tak jak wyżej opisany Okapik, ale po paru metrach, zamiast odbijać skośnie w prawo, uderzamy wprost w wywieszający się nad głową okap, który pokonujemy na pełnym wyłożeniu okraszonym wyjazdem nóg. Kruks ubezpieczany jest średnią kosteczką zabezpieczoną przed wypadnięciem małym mechanikiem lub dwoma, trzema małymi mechanikami. Jeśli dysponujemy zapasem i przyblok nam niestraszny, to widzimy jak osadzamy, w innym przypadku skazani jesteśmy na metodę Braille'a, a przeloty możemy ocenić ruszywszy w trudności. Zaręczam, że po stanięciu nad krawędzią okapu każdy poczuje się lżejszy.

Krwawa Pięść (VI.1/1+) – nazwa jednoznacznie opisuje charakter drogi. To w zasadzie jedyna linia (dla ludzi) w rejonie, gdzie sklinować się bezwzględnie powinniśmy, w innym przypadku trudności odczujemy jako dużo wyższe. Trudności drogi asekurowane pancernie żółtym camem – widziałem tam loty ponad stukilowych słoni. W górnej części droga biegnie wspólnie z Okapikiem (aczkolwiek istnieje wyjście na wprost poprowadzone przez Makara – tak robiona droga ma wdzięczną nazwę „Dietka" i trudności wyjścia sięgające stopnia VI.2).

Zygzaki (VI- lub VI+) – trudności zależą od tego, czy decydujemy się robić Prawego, czy Lewego – oba oferują kilkumetrowy trawers „na rękach" do wspólnej rysy wyjściowej. Lewy jest nieco trudniejszy, ale lepiej asekurowany. Na Prawym potrzebny duży (#5 BD) mechanik do ubezpieczenia trawersu. Na lewym przydatny #4, ale przy zachowaniu spokoju można się bez niego obejść.

Dzień Świstaka (VI.5+/6 lub VI.4+) – to zeszłoroczna nowość. Stara droga hakowa, znana w kieleckim środowisku pod nazwą „Siedem–Jeden Projekt", biegnąca cieniutką wydupioną ryską, skutecznie powstrzymująca ataki czołówki lokalnej. Padła pod szponem Marcina „Flowera" Poznańskiego, który zagiął na nią parol w ramach swojego projektu „Trad Trip". Prace trwały kilka dni, rozłożone na co najmniej dwa miesiące i, jak wskazuje nazwa, było dość monotonnie. Jak mówił

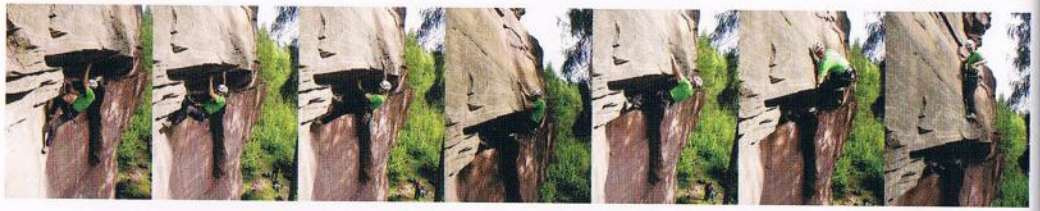

Kluczowy klin na drodze „Krwawa Pięść", VI.1 - kluczowe trudności. Fot.: Andrzej „Makar" Makarczuk. ☞

autor prowadzenia: „Każdy dzień był taki sam: dom – samochód ze 200 km – podejście – wstawka jedna, druga, trzecia – ból w palcu – plaster – znów wstawka jedna, druga, trzecia – znów samochód i dom – a tych dni pięć–sześć...". Rozbieżność wyceny bierze się z parametryczności drogi – otóż kruks to bardzo długie sięgnięcie do słabego sklinowania końców palców w przypadku Marcina (stąd tak duża cyfra), ale już w przypadku Krzysia Rychlika (autora pierwszego powtórzenia) dysponującego dużo mniejszym rozmiarem dłoni, a równie tęgim przypakiem jest to dobre sklinowanie palców. Ostateczną wycenę ustalą kolejne powtórzenia.

Zacięcie (V-) – jedyna z łatwych dróg wiodąca dobrej jakości skałą. Godna polecenia dla początkujących wspinaczy. Lita, bezpieczna, askekurowalna zestawem standardowym.

Powyższe zestawienie nie wyczerpuje potencjału miejsca – ograniczony możliwościami druku skupiłem się jedynie na wizytówkach rejonu. Jest jeszcze kilka godnych polecenia dróg, a i dla perwerantów coś się znajdzie, np. „Kominowa perystaltyka" wiodąca kominem za VI+, już sama nazwa wystarczy... Generalnie zauważyłem pewną prawidłowość: ci, którzy byli w tym miejscu, dzielą się na dwie kategorie – zakochanych w nim i często wracających oraz tych, co zawiedzeni nigdy już nie przyjeżdżają – nie ma tu miejsca na letnie uczucia. A dla tych, którzy zrobią na Ciosowej wszystko co ładne, w nieodległym Tumlinie czekają kolejne perły... Fakt, że w mniejszej ilości, ale jakościowo nie wiem czy nie lepsze.

* gwoli rzetelności – na drodze „Garstka piasku" są dwa ringi, ale to balder w zasadzie, a ringi osadził Herman, gdy był jeszcze malutki, ręcznie. Gdy wierciliśmy otwory, zostawiliśmy je na pamiątkę...

Informacje praktyczne

Dojazd

Z Kielc jedziemy drogą krajową nr 74 w kierunku Piotrkowa Trybunalskiego/Łodzi (jeśli jedziemy z Warszawy lub Krakowa, to należy w odpowiednim miejscu zjechać z obwodnicy). Widząc tablicę „Miedziana Góra", zwalniamy do przepisowej prędkości i kontynuujemy jazdę, już czujnie. Za miejscowością pilnie wypatrujemy zielonego drogowskazu „Ciosowa 0,5" i skręcamy zgodnie z nim w lewo. Po kilkuset metrach (z lewej strony mijamy domy, z prawej las) po prawej pojawi się szutrowa zatoka parkingowa. Tu zostawiamy samochód i udajemy się czerwono oznakowanym szlakiem pod górę.

Sezon

Trwa w zasadzie cały rok. W miesiącach letnich bywa momentami gorąco, ale zawsze znajdzie się jakaś zacieniona droga. Idealnie jest wczesną wiosną i późną jesienią – oczywiście pod warunkiem, że świeci słońce.

Zasady

Nic szczególnego – jak to w skałach, nie używamy młotka. Możemy wędkować, osadzać kości, magnezjować – oczywiście warto po sobie podczyścić zbyt duże białe placki. Należy unikać wspinania bezpośrednio po obfitych opadach. Pamiętajmy, że choć twardy i drobnoziarnisty, to jednak wciąż piaskowiec. Na szczęście wystawa południowa sprzyja szybkiemu schnięciu.

Możliwości

Pomimo znacznego wyeksplorowania, ciągle są możliwości prowadzenia nowych, efektownych dróg. Choć należy powiedzieć, że spod znaku R, a „Dzień Świstaka" wciąż czeka na wyprostowanie dołu. Drugą możliwość stanowi poprowadzenie od nowa dróg Maniaka Skalnego, które od czasu usunięcia ringów robione są tylko TR, i to sporadycznie. Kierunek ten otworzył lokalny wspinacz Krzyś Juszczyk, dając drugie życie drodze „Denaturacja białka" (VI.3+ W/R), poprowadzonej bez użycia kutej chamsko dziury. Na tych drogach również trzeba liczyć się z ryzykiem na pierwszych pięciu–sześciu metrach. Zminimalizować je można, używając krasza, dzięki niemu padła właśnie wyżej wspomniana Denaturacja.

Kruks na Okapiku - absolutnym klasyku Ciosowej. Wątła ryska poniżej wspinacza ☞ to *Dzień Świstaka* za co najmniej VI.5. Fot.: Andrzej „Makar" Makarczuk.

Topo

Najbardziej aktualne (choć niewyczerpujące tematu) znajdziemy pod adresem:
http://www.ska.org.pl/topo/ciosowa.html
Szczegółowych informacji można zasięgnąć u lokalsów, a dla sympatycznych klubowiczów drzwi mojego domu są zawsze otwarte. W miarę możliwości służę towarzystwem, radą czy wsparciem sprzętowym.

Wyznania malkontenta czyli Tajlandia

Tekst: **Maciej Ostrowski**

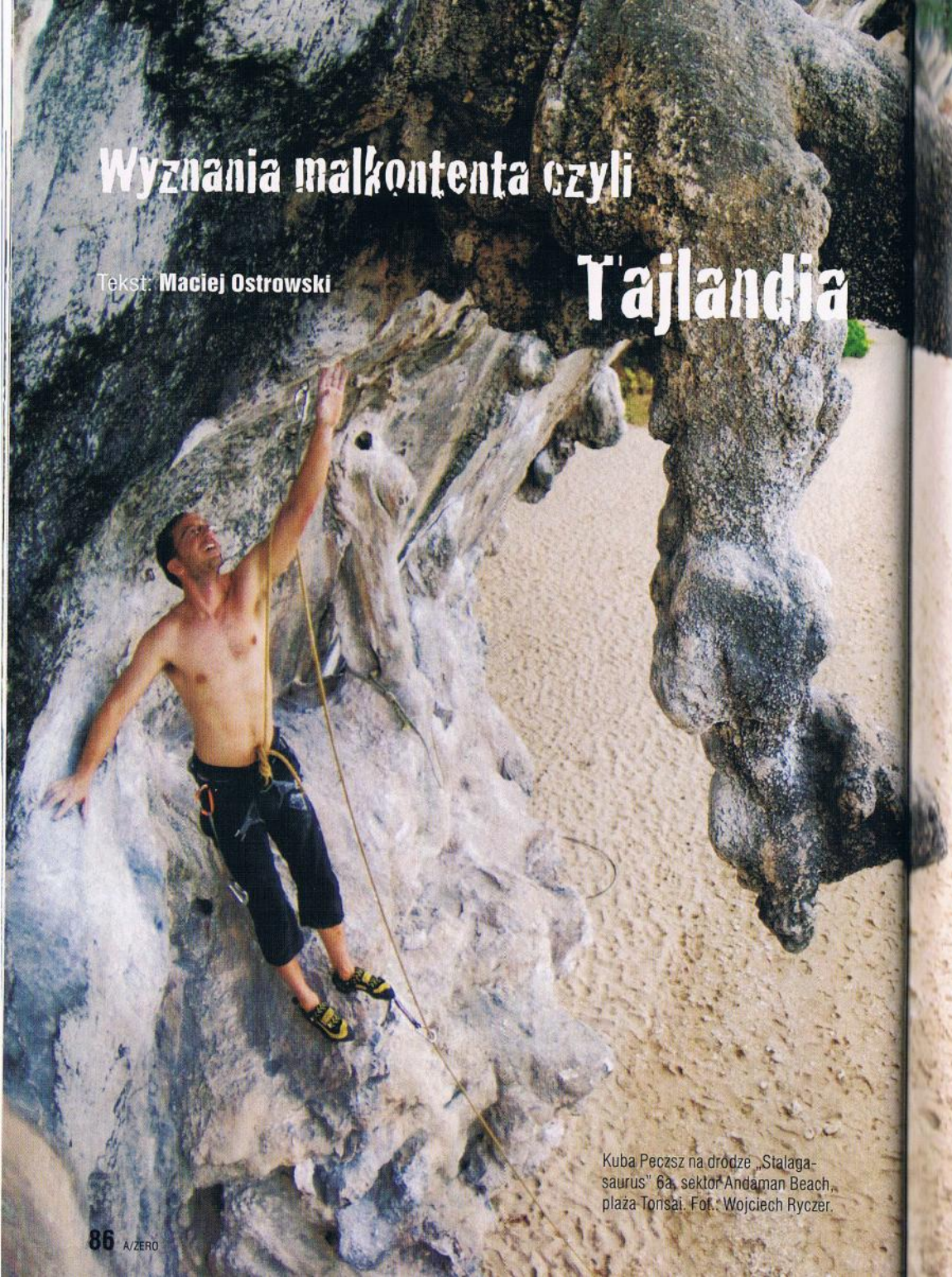

Kuba Peczsz na drodze „Stalagasaurus" 6a, sektor Andaman Beach, plaża Tonsai. Fot. Wojciech Ryczer.

Wiszę w lekkim przewieszeniu, rozpaczliwie próbując utrzymać się na wyślizganych obłościach, które z dołu wydawały się być restowymi klamami. Sięgam jedną ręką do woreczka, ale zamiast suchej magnezji trzymam w dłoni coś, co przywodzi na myśl jedynie lepką kulkę gnoju toczoną przez skarabeusza po pustyni.

Temperatura też jest jak na pustyni. Tylko że wilgotność powietrza wynosi 110 procent, a ten nadmiar pary wodnej spływa strugami po moich plecach niczym dorzecze Amazonki. A może to ze strachu się pocę? Nade mną błyszczy się ring – jedyny na tej drodze. Pozostałe przeloty, w tym ten znajdujący się pół metra pod moimi stopami to po prostu kawałki repa przełożonego przez ucha skalne. Podobno miejscowi wymieniają je raz na jakiś czas, ale jeszcze nie widziałem takich, na których odważyłbym się polecieć (repów, nie miejscowych)... Muszę się wpiąć jak najszybciej! Wyciągam rękę daleko za przełamanie ściany – sięgnięcie ostatniej szansy – i ku mojej radości palce same zaginają się na pancernym odciągu. Wpinam się w ringa, już lekko się trzęsąc, ale zaraz po tym spokojnie wychodzę w łatwiejszy, kładący się teren, który wkrótce doprowadza mnie do stanowiska.

Jest 9 rano, a temperatura nie pozwala już na żadną aktywność fizyczną, nawet w cieniu. A podobno w sezonie jest jeszcze cieplej! Idziemy na najładniejszą z miejscowych plaż – Phra Nang, by przeczekać te koszmarne upały. Kasia kąpie się w morzu, to znów wyleguje się na słońcu i widać że jest w swoim żywiole. Ja siedzę pod drzewem, czytam i ciągle się pocę. Do wody nie wchodzę, bo ma temperaturę zupy, pływają w niej meduzy i przede wszystkim jest słona, a najbliższy prysznic jest w naszym bungalowie, hen na drugim końcu półwyspu. Tak mija cały dzień. Dopiero po 16 można się jeszcze trochę powspinać, ale nie za długo, bo na tej szerokości geograficznej słońce zachodzi przed 19.

Wspinamy się niedaleko Freedom Baru – miejsca, które upodobali sobie wspinacze zjeżdżający na Ton Sai z całego świata. Drogi starują tu prosto z plaży. Ma to niewątpliwie swój urok, ale wiąże się też z uciążliwym otrzepywaniem nóg z piasku przed każdym startem w drogę. Choćbym jednak nie wiem jak skrupulatnie to robił, zawsze zostaje jakieś ziarenko, które daje o sobie znać akurat wtedy, gdy dochodzę do kruksa...

Po zachodzie słońca siadamy przy stoliku nad samym morzem. Wieczorna bryza sprawia, że zapominamy na moment o upale. Jak co wieczór zamawiamy dwa milkszejki i jedno z dań z karty – bez wyjątku pysznych. „Chwilo, trwaj!" – chciałoby się krzyknąć. Ale nie możemy usiedzieć za długo, bo właśnie na żer wyszły małe krwiożercze bestie – moskity, których nie zniechęcają żadne środki zapobiegające ukąszeniom. Czym prędzej uciekamy do naszego bungalowu.

Następnego ranka wybieramy się na jedną z polecanych wielowyciągówek rejonu – drogę o wdzięcznej nazwie „Beauty and the Beast". Staruje ona trzydziestometrowym filarem o skale ostrej jak papier ścierny (Beast). Drugi wyciąg to ciekawe przewinięcia od jednej skalnej dziupli do drugiej (Beauty). Niestety, wrażenia estetyczne psuje widok betonowej drogi, która przechodzi pod skałami.

Gdzieś kiedyś czytałem, że Ton Sai to „dzikie miejsce, rajskie plaże i nieprzebyta dżungla pełna egzotycznej zwierzyny" oraz że będąc tam, „obcuje się z naturą", ale musiał być to jakiś tekst z czasów kapitana Cooka, bo dziś nie ma w tym ani krztyny prawdy. W dżungli walają się sterty śmieci, małpy grzebią w śmietnikach, a nocą dudnią generatory dostarczające prąd. Piękno tego miejsca ulatuje, gdy tylko przyjrzysz mu się dokładniej.

Chociaż ludzie są tu wyjątkowo mili (hasło „Tajlandia to kraj tysiąca uśmiechów" wydaje się być w stu procentach prawdą) to po tygodniu, kiedy nadchodzi czas powrotu do domu, z jakąś wewnętrzną ulgą wsiadam do samolotu...

***

Wspomnienia z Tajlandii ożywają, kiedy siedzę przy ognisku z przyjaciółmi. Za nami widać ciemne zarysy skał Łutowca, jest rześka gwieździsta noc. Cały dzień wspinaliśmy się w letnim słońcu, znalazła się nawet westowa droga w solidnym przewieszeniu po klamach, a komary... oczywiście gryzły, ale jakby mniej dotkliwie.

Czasem się zastanawiam czy nie jestem przypadkiem jednym z tych „ograniczonych wspinaczy", o których kiedyś pisał Dejw, wzbudzając liczne kontrowersje, bo czuję się tu naprawdę dobrze...

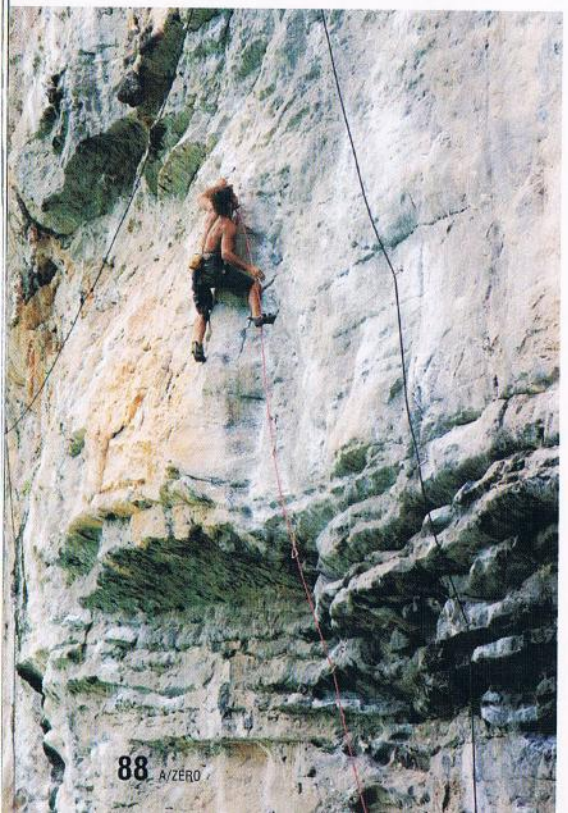

Wspinanie w sektorze Tyrolean Wall.
Fot.: Wojciech Ryczer.

Garść informacji praktycznych

Dojazd

Z Bangkoku należy dostać się do miejscowości Krabi. Można lecieć lokalnymi liniami lotniczymi lub jechać nocnym autobusem. Bus jedzie około 12 godzin, kosztuje 500 batów i odjeżdża z dworca południowego Sai Tai Mai.

W Krabi najlepiej wziąć miejską taksówkę (pickupa z miejscami do siedzenia na pace) do Ao Nang – koszt w zależności od ilości osób około 80 batów.

Na plażę Ton Sai można się dostać tylko łódką, tzw. long tail boat. Koszt kursu to około 600 batów, który dzieli się przez wszystkich pasażerów. Zazwyczaj właściciele łódek sprzedają pojedyncze miejsca i czekają aż zbierze się komplet (8 osób). Należy pamiętać, że Tajowie czasu nie liczą, i uzbroić się w cierpliwość.

Spanie

Na plaży Tona Sai, nieco w głębi lądu znajdują się tak zwane resorty – ośrodki z bungalowami do wynajęcia. Koszt wynajęcia dwuosobowego domku może być różny, w zależności od standardu i pory roku. My spaliśmy w Mountain View Resort za 200 batów za dobę, bardzo tanio, bo byliśmy tam poza sezonem. W domku warunki spartańskie, ale czysto, prysznic z wodą o idealnej temperaturze, wiatrak. Śpiwór w Tajlandii jest całkowicie zbędny, ale warto mieć coś cienkiego do przykrycia.

Spać można również na sąsiednich plażach – Railay West oraz Phra Nang, ale jest tam znacznie drożej niż na Ton Sai.

Jedzenie

Na Ton Sai jest mnóstwo barów i barków, w których można dobrze zjeść. Dominuje kurczak z ryżem na kilka sposobów, owoce morza i różnego rodzaju sałatki. Większość rzeczy jest ostra nawet jak się poprosi o „not spicy". Na śniadanie można dostać jajecznicę z tostami, naleśnika z miodem, muesli ze świeżymi owocami itp. Wszędzie też są dostępne pyszne milkszejki z różnymi owocami. Generalnie jest tanio. W okresie, w którym byliśmy, syty obiad dla dwóch osób kosztował około 300 batów. W dużych miastach jest jeszcze taniej, a na Railay oczywiście drożej.

Wspinanie

Na całym półwyspie znajduje się około 40 sektorów wspinaczkowych, niektóre dostępne są tylko w czasie odpływu. Wapień jest pomarańczowy, a przewieszenia znaczne. Na miejscu za 800 batów można kupić całkiem porządny przewodnik. Piękne drogi zaczynają się już od 7a. My w związku z tym, że nie zahaczamy o ten stopień nawet na wędkę, wspinaliśmy się tylko po brzydkich i wyślizganych :)

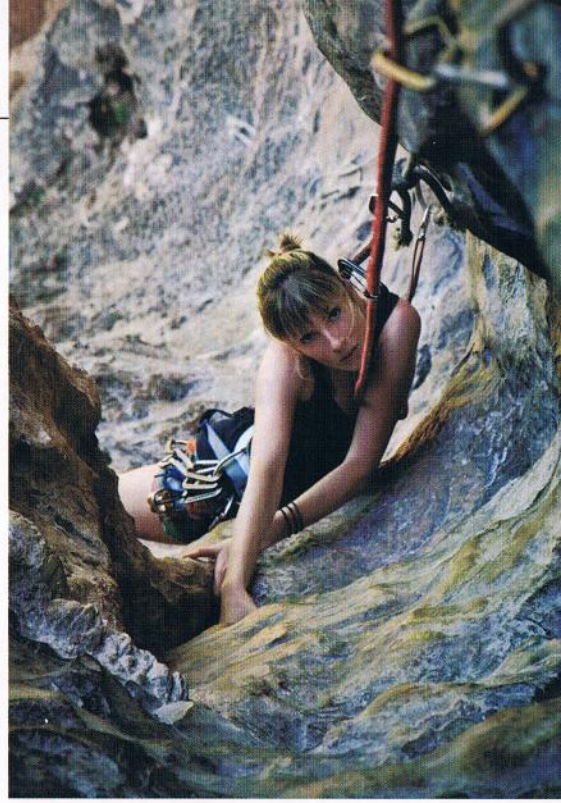

Kasia na jednym z miejscowych wyślizganych klasyków, „The Groove Tube". Fot.: Maciej Ostrowski.

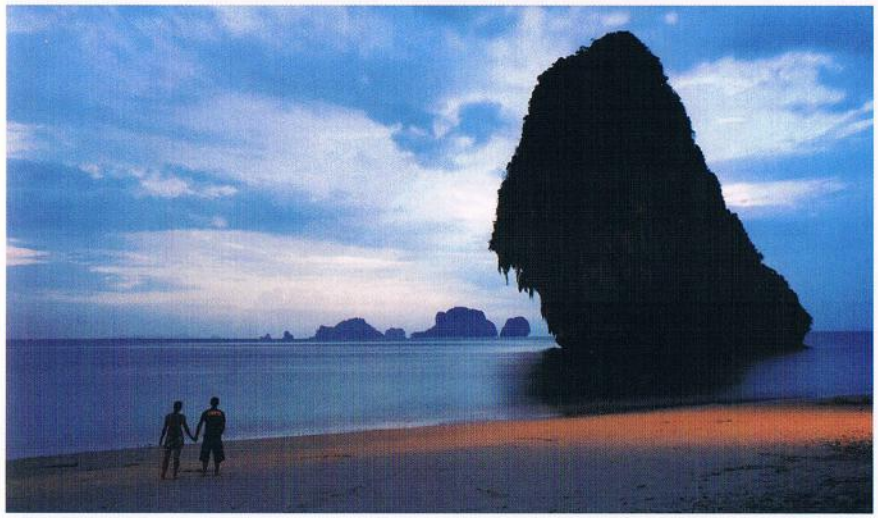

Zachód słońca na plaży Phra Nang. Fot.: Wojciech Ryczer.

Jeśli nie Viper to co?

Czyli wszystko, co chcieliście wiedzieć o dziabach, ale baliście się zapytać

Tekst: **Adam Latusek**

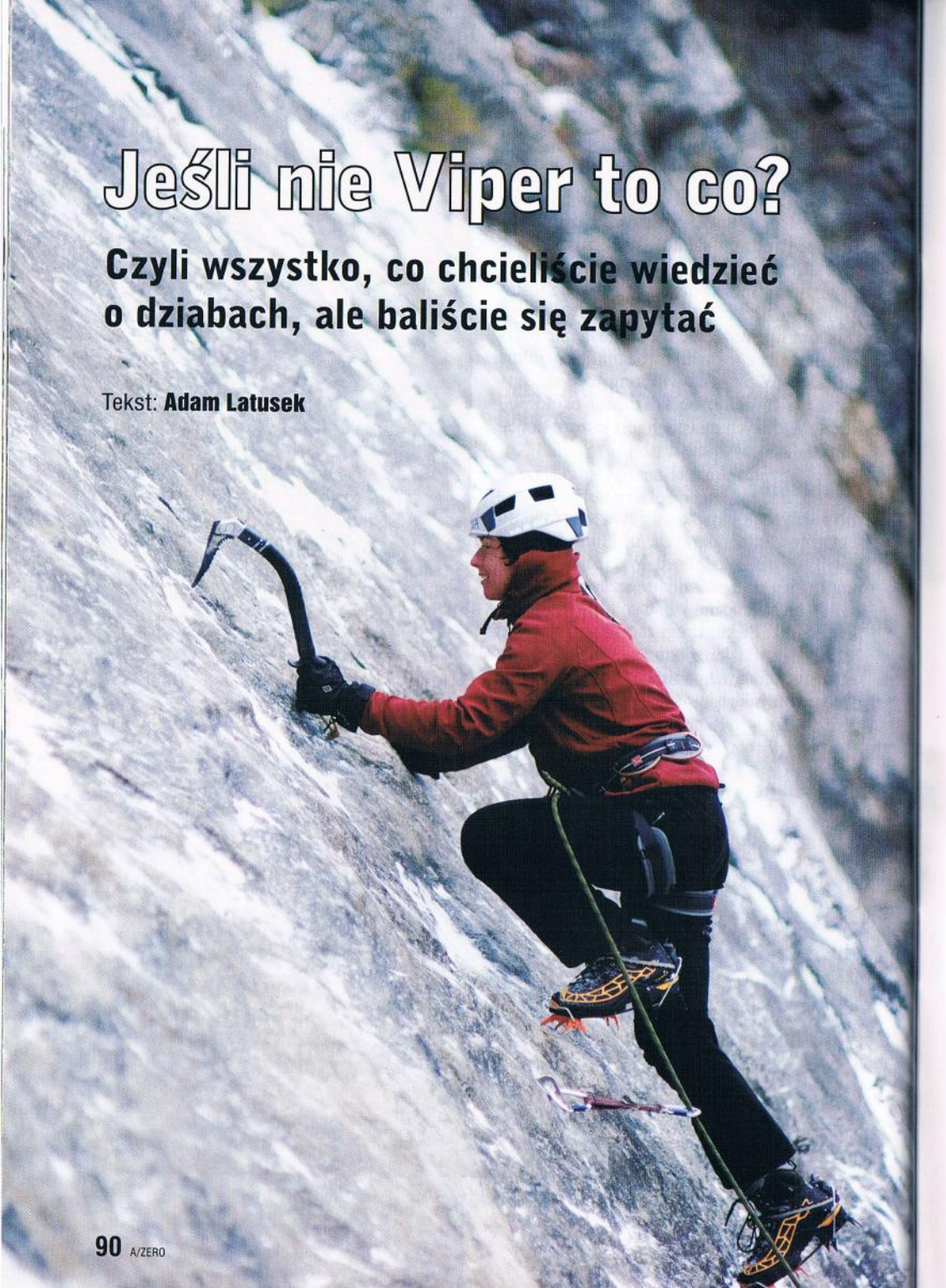

Ubiegoroczna zima była długa, mroźna i śnieżna, przynajmniej w Warszawie. Na wspinaczkowych forach internetowych pojawiały się kolejne ogłoszenia o pracy na wysokości, nawołujące do odśnieżania. Śnieg tymczasem nie przestawał sypać.

Ponieważ wyciąg z mojego konta przypominał raczej numer autobusu niż skomplikowany kod pocztowy, wkrótce i ja dołączyłem do armii alpinistów przemysłowych hulających po dachach stolicy. Wczesnym rankiem, gdy wychodziliśmy na dach, czuliśmy naszą potęgę. Gdzie nie spojrzeć, tam zawsze widzieliśmy zespół zaczynający tę samą, dobrze znaną nam pracę. Uzbrojony w gri-gri, małpę, kilka karabinków, kask oraz dziabę stałem u stóp „Hożej Turni", snując plany jej zaporęczowania. Stanowiska z haków i igieł zastąpiliśmy tymi z komina, by odśnieżać i skuwać lody na przekłamaniach blaszanych grani. Wszystko to na oczach przygarbionych pracowników biur i urzędów, którzy ze swych okien przyglądali się nam z zaciekawieniem. Przez te kilka miesięcy trzęśliśmy tym miastem i to z góry na dół. A ciepły kebab nigdy jeszcze nie smakował tak dobrze.

Tak oto opowieści z kolejnych zimowych wspinów ustąpiły na chwilę miejsca gawędom o przygodach na dachu, a użycie dziab ograniczało się do zbijania sopli i skuwania zalodzonych rynien. W tym czasie miałem okazję używać różnych dziabek. Oczywiście żadna z nich nie była moja, swojej bym nie dał, ale wtedy tylko jedna rzecz miała dla mnie znaczenie – waga. Im dziaba lżejsza, tym lepsza. By skuć zalodzoną blaszaną rynnę, trzeba się namachać, delikatnie mówiąc. Punkty ujemne otrzymujemy za jej przedziurawienie. Co nie ułatwi nam zadania? Mróz, ciągły wysiłek i nużąca się po kilkunastu zamachach ręka. Zatem lekkość oznacza tu precyzję i pomaga odróżnić usunięcie lodu z rynny od zrobienia z niej durszlaka. Ta sama precyzja pozwali nam umieścić ostrze w trawce za pierwszym razem, zanim zmieni się ona w przeoraną wyrwę, gdy w amoku podszytym strachem zechcemy zrobić kolejny ruch w ścianie. Oczywiście, by lekką dziabą wbić haka czy igłę, trzeba się trochę napocić, ale tu, na „Hożej Turni", oprócz potu można mieć także konserwatora zabytków na karku. Kolejną sprawą jest ostrze. Nie bez przyczyny ostrza do lodu, cienkie i wrzecionowate, świetnie sprawdzają się do skuwania go z zalodzonych parapetów i rynien.

Ostrza mikstowe z kolei też dają sobie z tym radę, ale tylko wtedy, gdy nie są ostre. W przeciwnym razie wyjęcie ostrza mikstowego z lodu staje się równie trudne jak wyjęcie go z parapetu, który właśnie przebiliśmy na wylot... hipotetycznie rzecz ujmując. Ostatnią, najważniejszą sprawą jest uchwyt, czyli to jak dziaba leży nam w ręce. Jego brak, może stanowić tzw. zagrożenie obiektywne, a nawet źródło szklanej kruszyzny okien. Nie twierdzę, że zbijałem sople nomikiem, ale jeśli przeszło wam to przez myśl, to znak, że coś już wiecie o dziabach. Jeśli natomiast chcecie dowiedzieć się więcej, przeczytajcie co o dziabkach mówią ci, którzy używają ich, o zgrozo, w górach.

Bałwanek Valerij szczególnie docenia dobry sprzęt!

Agnieszka Tarasińska w czasie VIII Memoriału Bartka Olszańskiego. Fot.: Wojciech Ryczer.

Wojtek Ryczer

Ulubione powiedzenie wspinaczkowe:
„Dobrze stoisz?"

Wojtku, jaki jest Twój ulubiony smak lodów?
Hm … Czekoladowy (śmiech).

Okej, jedziemy dalej. Czy gdy wspinasz się zimą, nie zadajesz sobie czasem pytania „dlaczego nie pojechałem na Kalymnos"?
Tak, ale znam też odpowiedź na to pytanie.

Słucham?
Najfajniej jest po… Po skończeniu wspinu. Choć jest też miło w trakcie.

Wystarczająco dyplomatycznie… Kiedyś słyszałem, że zimą w górach nigdy nie jest zimno. Albo jest ci ciepło albo jesteś martwy. Ale i tak każdy chyba marznie na stanowiskach? Prawda li to?
Wydaje mi się, że na stanach zawsze się marznie, ale chodzi o to, by zbalansować wysiłek z okresem stania na stanie, co nie zawsze jest możliwe.

Kiedy robiliście drogę „Nordic Walking" na Piku Granitsa (5370 m n.p.m.) AI5/5+, M4 z miejscem M5, 1000 m, wolałeś prowadzić mikst czy lód? Jakie czekany tam zabrałeś?
W zasadzie Waldorf prowadził w lodzie. Mnie został mikst, ale wielkiej różnicy tam nie było, choć lód był trudny. Do Kirgizji wziąłem ze sobą dwa egzemplarze Matrix Tech. Wspinało mi się z nimi bardzo dobrze.

A są dziaby, o których możesz powiedzieś, że „cieszysz się, iż ich nie wziąłeś"?
Nie zabrałbym takich, których nie chciałbym brać! (Śmiech). Każde dziaby, z którymi się wspinałem, były lepsze od poprzednich. Zaczynałem od stubaja. Był pożyczony, musiałem potem odkupić ostrze... Kolejny był Simond, który musiałem z kolei odkupić cały, później miałem samoróbę na wzór axarów, dalej para takoonów, te zamieniłem na parę Matrix Tech i X-monster.

A tak w ogóle zabierasz ze sobą młotek w ścianę czy wolisz wbijać dziabką?
Wolę dziabką, nigdy nie zabrałem młotka. Nawet wtedy, gdy wspinam się z X-monsterami, bo jakoś radzę sobie z małą ilością haków.

Gdyby czekany jako narzędzie nigdy nie istniały, to który z dzisiejszych modeli trafiłby do galerii sztuki współczesnej, a który do rzeźni?
DMM Predator trafiłby na pewno do galerii, podobnie jak Bubu – taka karbonowa dziabka, a do rzeźni… Cóż, Axar.

Gdybyś miał polecieć na inną planetę, gdzie byłyby góry lodowcowe, to jakie byś zabrał dziaby?
Zdecydowanie X-monstery. Nie dlatego, że są aż tak niezawodne. Po prostu najfajniej siadają mi w lodzie.

Jak duże ma dla Ciebie znaczenie jakich ostrzy używasz?
Podstawowe znacznie ma to, czy ostrza są ostre, czy tępe. A drugie to przeznaczenie… do lodu czy do mikstu.

Z czego zrobiłeś tą samoróbkę?
Z płaskownika aluminiowego, frezowanego na głowicę, a ostrze było kupione 4x4 od Axarów. Stylisko z rurki aluminiowej giętej 25 mm. Jedna z nich pękła po locie na Matterhornie, a druga jest sprawna. Ostatnio wspinał się z nią początkujący wspinacz i zachwalał.

Nie będę pytał czy znał historię tej pierwszej.

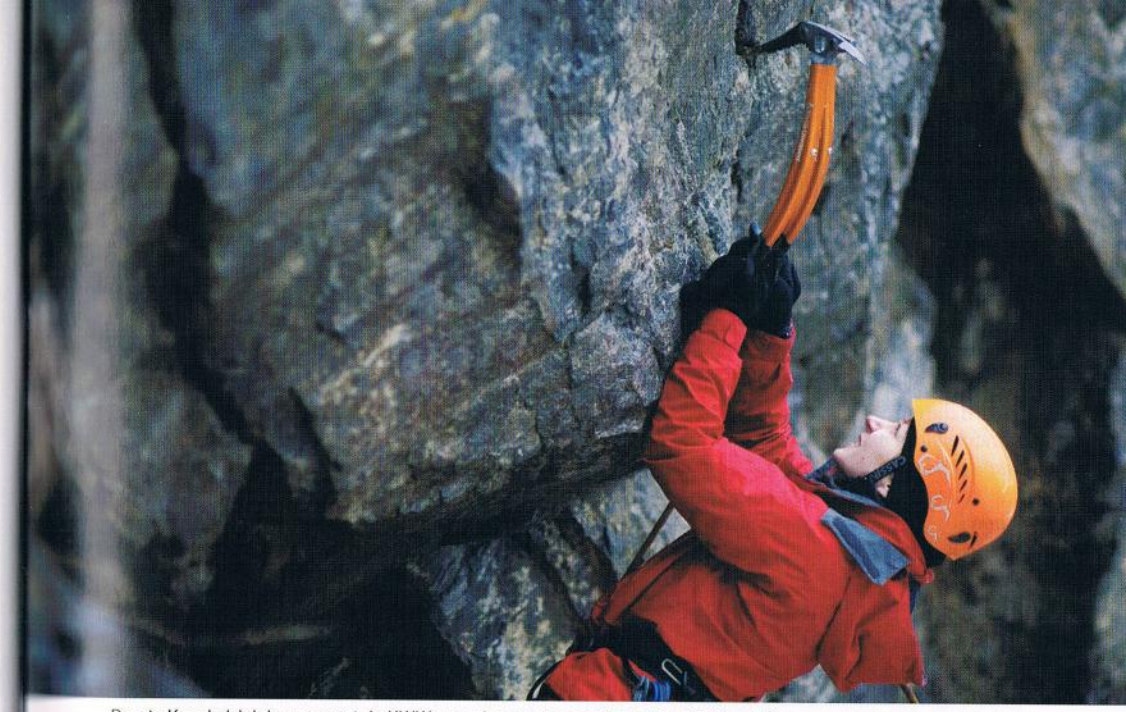

Dorota Kopek dzielnie reprezentuje KWW na tych samych zawodach. Fot. Wojciech Ryczer.

Agnieszka Tarasińska

Ulubione powiedzenie wspinaczkowe:
„It doesn't have to be fun to be fun"

Prawdę mówiąc, trochę się denerwuję.

Ok, zacznę od pytania standardowego… Jaki jest Twój ulubiony smak lodów?
Cynamonowy!

Jest coś takiego w zimowym wspinaniu, czego nie lubisz?
Najbardziej nie lubię porannego wstawania.

Pamiętam Twój lot na Memoriale Bartka Olszańskiego, nie był przyjemny. Co sobie wtedy pomyślałaś?
Muszę sobie przypomnieć. Jak już lecę, to się zastanawiam, kiedy się zatrzymam, więc było to oczekiwanie (śmiech).

Gdy wspinałaś się na lodach, to było w okolicy Trondheim, to jakie miałaś dziaby? Jakie wrażenia?
Axary. Moje pierwsze czekany. Wszystko zależało od pogody (śmiech). Jak lód był plastyczny, było ok, ale przy minus dwudziestu

Marcin Nowogródzki w czasie VIII Memoriału Bartka Olszańskiego. Fot. Wojciech Ryczer.

stawał się twardy. Była to zatem kwestia zamachu.

Axary to dość toporne czekany. Myślisz , że na upartego można by je jakoś pogorszyć?
Byłyby gorsze, gdyby były bardziej proste (śmiech). Dobrze, że pomysł smyczek odchodzi do lamusa. To dość niewygodne.

Zabierasz ze sobą młotek w ścianę czy wbijasz dziabką?
Zawsze mam młotek, bo nie wychodzi mi wbijanie dziabką. Machnik mówił, że podobno baby nie potrafią wbijać i wybijać, więc zawsze biorę młotek.

Jaką dyscyplinę z zimowego wspinania lubisz najbardziej?
Chyba dry tool.

Znów standardowe pytanie: gdyby dziaby jako narzędzie nigdy nie istniały, to który z dzisiejszych modeli trafiłby do galerii sztuki współczesnej, a który do rzeźni?
Do rzeźni Predator, bo wygląda przerażająco i nazwa sama na to wskazuje. A do muzeum? Monstery. Nie X-Monster, te bardziej pstrokate.

A teraz wyobraź sobie, że polecisz na inną planetę, gdzie będą góry lodowcowe. Jakie byś zabrała dziaby?
Petzl Nomic. Są super! Choć w sumie nie mam dużego porównania. Vipery też są fajne, ale…

Nie masz wrażenia, że uchwyt w nomikach jest dość mały?
Spotkałam się z taką opinią, ale dla mnie jest idealny. Najbardziej jednak w tym modelu podoba mi się wygoda i wyważenie.

Buty wspinaczkowe doczekały się swoich wersji damskich, myślisz, że to samo czeka dziaby?
Grafika? (śmiech) Chyba wspinaczka zimowa wymaga większej popularyzacji, może w ciągu następnych dziesięciu lat.

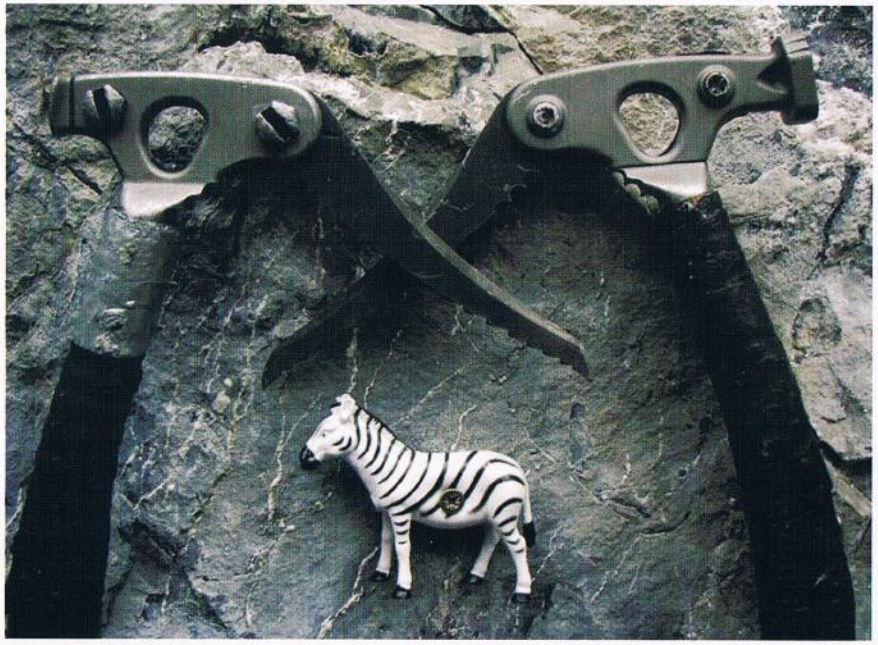

Fot. Marek Grądzki.

Marcin Księżak

Ulubione powiedzenie wspinaczkowe:
„Nie ma, że boli, trzeba napierać"

Fragment rozmowy telefonicznej (piątek, 22 października)

Cześć, mówi Adam Latusek, poznaliśmy się w Dolinie Kieżmarskiej...
A, cześć, co tam słychać?

Dzwonię do Ciebie w pewnej sprawie… Piszę artykuł do „A/Zero" dotyczący dziabek, a w ten weekend będę w Warszawie, masz teraz chwilę?
Wiesz co, właśnie w ścianie jestem… Na wschodniej Mięgusza. Surdela robię, właśnie zrobiłem fajny piątkowy wyciąg. To mój pierwszy zimowy wspin w tym roku.

No właśnie, przecież coś spadło!
Spadło i dobrze trzyma!

Fragment kolejnej rozmowy (środa, 27 października)

A jakie wtedy miałeś dziaby?
Jeden Nomic i jeden Quark. Obie pracują dobrze, są uniwersalne. Nomic jest bardziej techniczny, wygodniej jest nim złapać wyżej, a Quark lepiej się sprawdza w terenie górskim, masz punkt podparcia na grani… no i młotek. Czasem mam nawet wrażenie, że Quarkiem jestem wstanie sięgnąć dalej. Wracając zaś do Nomica, zdecydowanie lepszy jest do dry toolu.

A ostrza, jakich używasz?
Ja mam mikstowe, one są generalnie twardsze niż do lodu, choć miałem kiedyś mikstowe Petzla, które wydawały mi się bardziej miękkie. Świetne też były ostrza Grivela, ale do lodu…

Mam jeszcze jedno ważne pytanie. Jaki jest Twój ulubiony smak lodów?
(Śmiech) Śmietankowe , no i duże. Małych nie ma co próbować...

Fot.: Mysia Perć Team/Piotr Kaleta.

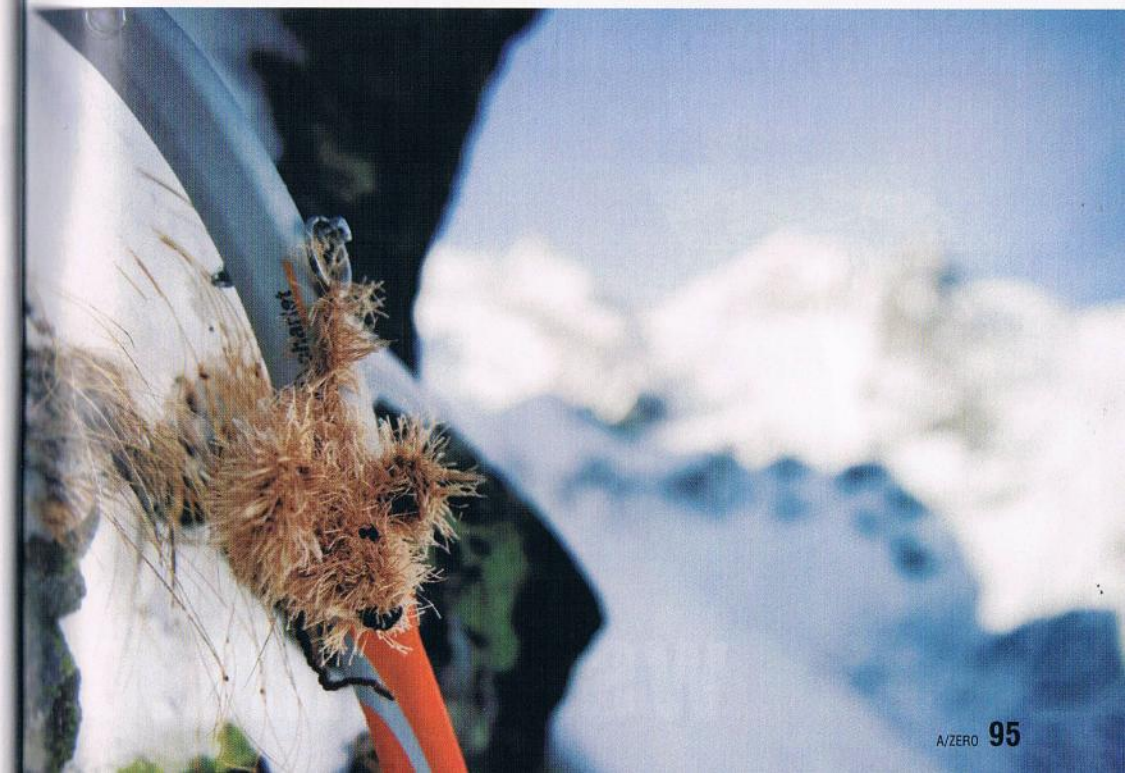

Inicjatywa
Środowisk Wspinaczkowych
"Nasze Skały"

dziękuje **KW Warszawa**
za wsparcie finansowe!

nasze skały

KLUB WYSOKOGÓRSKI WARSZAWA
KW WARSZAWA

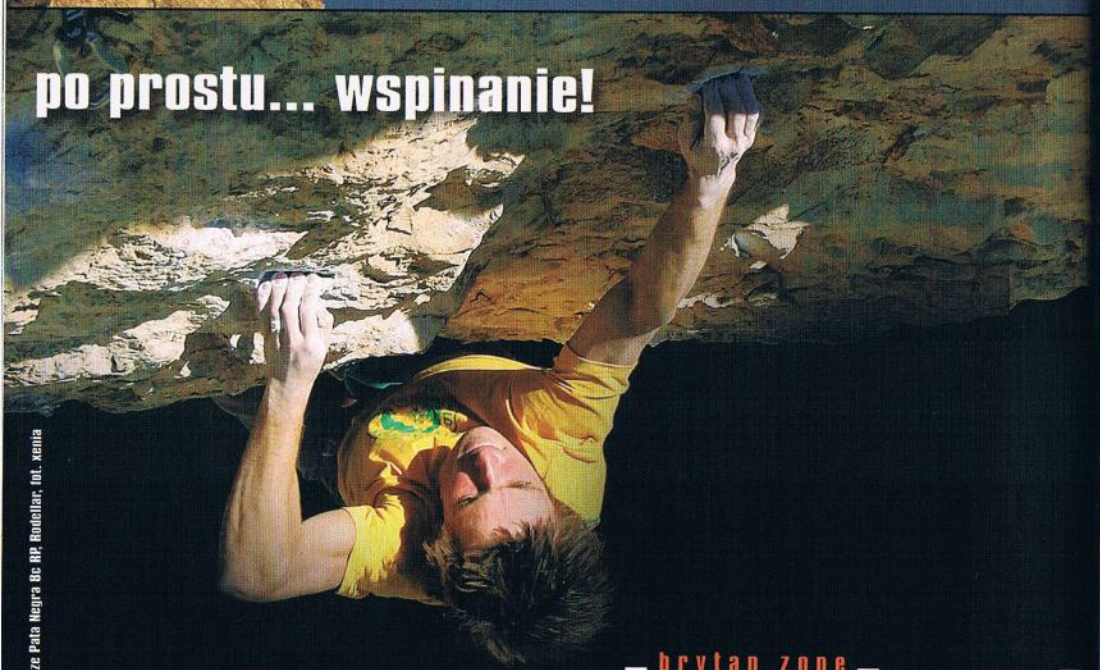

maciek uczko na drodze Pata Negra 8c RP, Rodellar, fot. xenia

brytan zone
wspinanie.pl
serwis wspinaczkowy

www.npm.pl
npm MAGAZYN TURYSTYKI GÓRSKIEJ

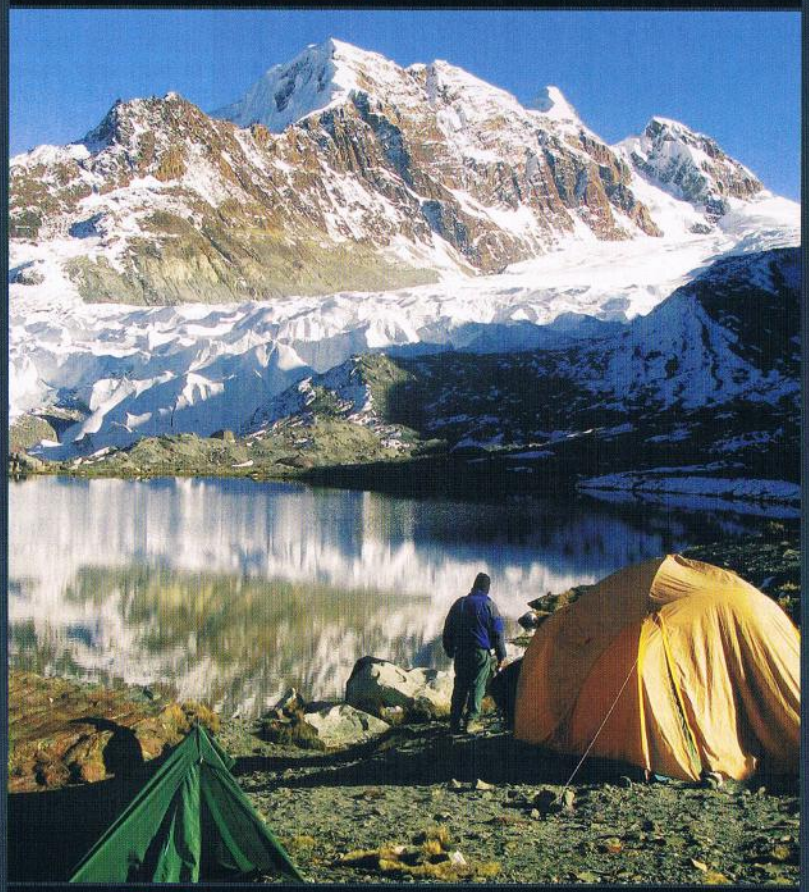

npm nowy poziom możliwości

„Pomyśl o wietrze, a poczujesz, jak jestem wolna...", Dolomity.

Wspomnienie
o Bożence Kurkiewicz

Bożenę zawsze podziwiałam za jej ambicję i upór. Już na obozie zerowym zawsze była pierwsza na szlaku. Studia zaczęła z wynikami z olimpiady biologicznej, a później zdecydowała się połączyć naukę na Politechnice Warszawskiej ze studiami wojskowymi na Wojskowej Akademii Technicznej. Wiem, jak wiele sprawiało jej to trudności, ale nigdy się nie poddawała, a myśl o górach i wyjeździe nawet na jeden lub dwa dni dawał jej mnóstwo energii, by stawiać czoło przeciwnościom losu.

Nidy nie mogła usiedzieć w miejscu, zawsze pełna energii spełniała się, uprawiając różne sporty. Odnosiła sukcesy w ergometrze wioślarskim, a później reprezentowała WAT w zawodach rowerowych. Mimo że pochodziła z Tychów, to właśnie ją poprosiłabym o polecenie mi ścianki w Warszawie, bo nie wiem czy była choć jedna, na której się nie wspinała.

Mam wiele ciepłych wspomnień związanych z Bożeną. Zawsze jednak będę pamiętać jak na pierwsze urodziny, które obchodziła w Warszawie, dostała ode mnie kompas. Po opowieściach o samotnych wędrówkach po Tatrach życzyłam jej, by zawsze wskazywał jej właściwą drogę. Czasami igrała z losem, ale któż by postąpił inaczej dla swojej prawdziwej miłości? W jej przypadku były to Tatry.

Przykro mi na myśl, że piszę wspomnienie o wspaniałej osobie, której już nie zobaczę, ale wiem, że Bożena chciałaby, abyśmy uśmiechali się myśląc o niej.

Dominika

Rzadko zdarza się spotkać w życiu osobę, która nawet po krótkiej znajomości potrafi odcisnąć na nas swoje piętno. Bożenka była właśnie taką osobą. Wspominanie Jej w czasie przeszłym bardzo boli... Budzi jednak także ciepłe wspomnienia. Wspomnienia o osobie, która swoją determinacją, stanowczością i uśmiechem pozwalała wierzyć w niemożliwe. W tym wszystkim była nad wyraz ludzka, spontaniczna, czasem roztrzepana i potrafiła cieszyć się na pozór błahymi rzeczami. Kochała góry. W moim sercu i pamięci Bożenka zostawiła swój trwały ślad, a Tatry już zawsze będą wiązać się z Jej osobą.

Przemek

Poznałyśmy się na spontanicznie zorganizowanym wyjeździe wspinaczkowym do Hollental. Przepiękny krajobraz doliny nie szedł w parze z pogodą. Deszcz, zimne noce dały nam w kość. Morale podbudowała Bożena, której uśmiech, pozytywne podejście oraz wiara w to, że damy radę, zmobilizowały ekipę. Pękło kilka dróg.

Wspólne zamiłowanie do gór i wspinaczki zaowocowało zorganizowaniem kolejnych wypadów w nasze ulubione miejsca... Skały, góry, podwarszawskie bunkry. Były to wspaniałe chwile, które na długo pozostaną w mej pamięci, tak jak i zawsze uśmiechnięta, wesoła Bożenka.

Aneta

PO-SŁOWIE PO-PREZESA

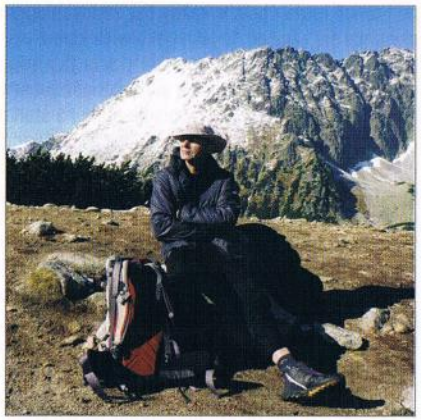

WOLNOŚĆ I PRAWDA

Od pewnego czasu środowisko nasze wstrząsane jest burzliwymi dyskusjami na temat szkoleń. Wszystko zaczęło się od naszego zimowego obozu w Dolinie Kieżmarskiej. Kto ma prawo szkolić w górach? Kto ma prawo szkolić na imprezach organizowanych przez Klub i na jakich zasadach?

Jak się okazuje, w kwestii tej zdania są podzielone. Polski Związek Alpinizmu, który jest przedstawicielem całego środowiska alpinistycznego w Polsce, wydaje się stać na stanowisku konieczności wprowadzania ustawowego zakazu prowadzenia szkoleń przez osoby nieposiadające uprawnień zawodowych w imię poprawy jakości tych szkoleń i bezpieczeństwa w górach. Przeciwnego zdania jest wiele klubów, w tym KWW. Kluby powinny mieć możliwość prowadzenia szkoleń w oparciu o własnych instruktorów (niekoniecznie zawodowych) i same decydować, do jakich szkoleń których instruktorów użyje. PZA swoimi działaniami nakazowo-zakazowymi faktycznie dąży do wprowadzenia monopolu na szkolenia przez osoby wykonujące ten zawód. PZA nie jest jednak związkiem zawodowym i o tym powinniśmy wszyscy pamiętać, a w szczególności władze Polskiego Związku Alpinizmu.

Czy stanowisko PZA nie stanowi zagrożenia dla naszej w o l n o ś c i?

Ustawa zasadnicza czyli Konstytucja gwarantuje nam, jako obywatelom Rzeczypospolitej Polskiej, podstawowe prawo, jakim jest w o l n o ś ć.

Art. 30 Konstytucji mówi: „Przyrodzona i niezbywalna godność człowieka stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela. Jest ona nienaruszalna, a jej poszanowanie i ochrona jest obowiązkiem władz publicznych".

My, ludzie gór, uprawiamy alpinizm między innymi, a może głównie dlatego, że działalność ta, pozostając w bezpośrednim kontakcie z potężną, groźną, ale i piękną przyrodą, daje nam możliwość realizacji naszej głównej potrzeby – potrzeby wolności. W zetknięciu z żywiołami natury kształtujemy nasze charaktery, uczymy się pokory, poznajemy nasze słabości. Ale tak jak wspomniałem powyżej, podstawą jest wolność naszego wyboru. Nikt nie każe nam po górach chodzić ani nikt nie może nam tego zabronić. Nikt też nie może nam narzucać, w jaki sposób mamy się szkolić, a w jaki nie.

My, ludzie gór, jesteśmy również wolnymi obywatelami tego kraju i mamy zagwarantowane konstytucyjnie możliwości dobrowolnego stowarzyszania się w organizacjach społecznych, które są wolne, a te z kolei mają prawo do dobrowolnego stowarzyszania się w odpowiednich związkach. Te z racji swojej funkcji odgrywają służebną rolę w stosunku do powołujących je stowarzyszeń, pełniąc jednocześnie funkcję koordynatora pewnych wspólnych działań i zadań. Niewątpliwie jednym z zadań realizowanych przez nasz związek PZA jest podwyższanie standardów jakości szkolenia oraz bezpieczeństwa w górach.

Niedobrze by jednak było, gdyby nasz związek teraz i w przyszłości próbował wprowadzać do ustaw regulujących sport i rekreację ograniczenia dotyczące czy to wspinania, czy to szkolenia w tym zakresie, argumentując to względami podnoszenia jego jakości oraz poprawy bezpieczeństwa. Nie tędy droga. Ta argumentacja jest fałszywa i tak naprawdę ma na celu ochronę interesów grupy zawodowej instruktorów, ponieważ stwarza im monopol. Działania takie byłyby więc działaniami sprzecznymi z celem, do którego PZA zostało powołane. Zmierzałyby w prosty sposób do ograniczenia wolności naszej i naszych klubów. Od wielu już lat w Polsce

po górach może chodzić każdy bez żadnych ograniczeń. Każdy też musi mieć absolutną wolność w wyborze, czy chce się zapisać do jakiegokolwiek klubu, czy chce się szkolić oraz w jaki sposób chce to robić. Jak uczy historia, regulacje w tej sprawie (karta taternika, obowiązkowe szkolenia prowadzone przez zawodowych instruktorów) nie przekładają się w sposób prosty i jasny na poprawę bezpieczeństwa czy też jakość wyszkolenia młodych adeptów. Osobiście stoję na stanowisku, i tego oczekuję od PZA, że właściwszą metodą jest z jednej strony podnoszenie kwalifikacji instruktorów oraz stwarzanie standardów bezpieczeństwa, a z drugiej propagowanie wśród ludzi wspinających się (za pośrednictwem klubów, poprzez portale wspinaczkowe, akcję informacyjną w schroniskach) zachowań oraz działań zmierzających do poprawy ich wyszkolenia oraz uświadamianie niebezpieczeństw i zagrożeń, które wiążą się z uprawianiem taternictwa i alpinizmu. Właściwszą metodą jest rozwijanie systemu uświadamiającego i informacyjnego z uwzględnieniem możliwości wolnego wyboru każdego człowieka. Takich działań oczekiwałbym od PZA.

Mieliśmy już w naszej historii próby reglamentacji, różnych ograniczeń i kontroli nie tylko w sferze taternictwa czy alpinizmu, lecz także we wszystkich innych dziedzinach życia. Była to domena epoki komunistycznej. Na szczęście, wysiłkiem wielu dzielnych rodaków, odeszła w mroczną przeszłość. Pomimo to taternikom w tamtym czasie udawało się zachować stosunkowo duży margines wolności, co było zasługą ówczesnych władz PZA, a w szczególności jej prezesa – Andrzeja Paczkowskiego.

Wolność to nie znaczy brak odpowiedzialności.

Czy szkolić będzie mógł każdy? W świetle nowej ustawy o sporcie teoretycznie tak. Nie sądzę jednak, aby nagle dajmy na to piekarz, który ze wspinaniem nie miał nigdy nic wspólnego, zabrał się za szkolenia alpinistyczne. Niemniej, aby uniknąć tego typu sytuacji, osoba, która chce się szkolić, powinna zasięgnąć informacji w środowisku, w klubie, w PZA (można utworzyć np. listy referencyjne instruktorów klubowych oraz zawodowych na różnych portalach) o kwalifikacjach danego człowieka.

Niezależnie od tego, jak restrykcyjne jest prawo, hochsztaplerzy i oszuści będą się zdarzać i na to powinniśmy jako środowisko nowicjuszy uczulać.

SIEKIERA

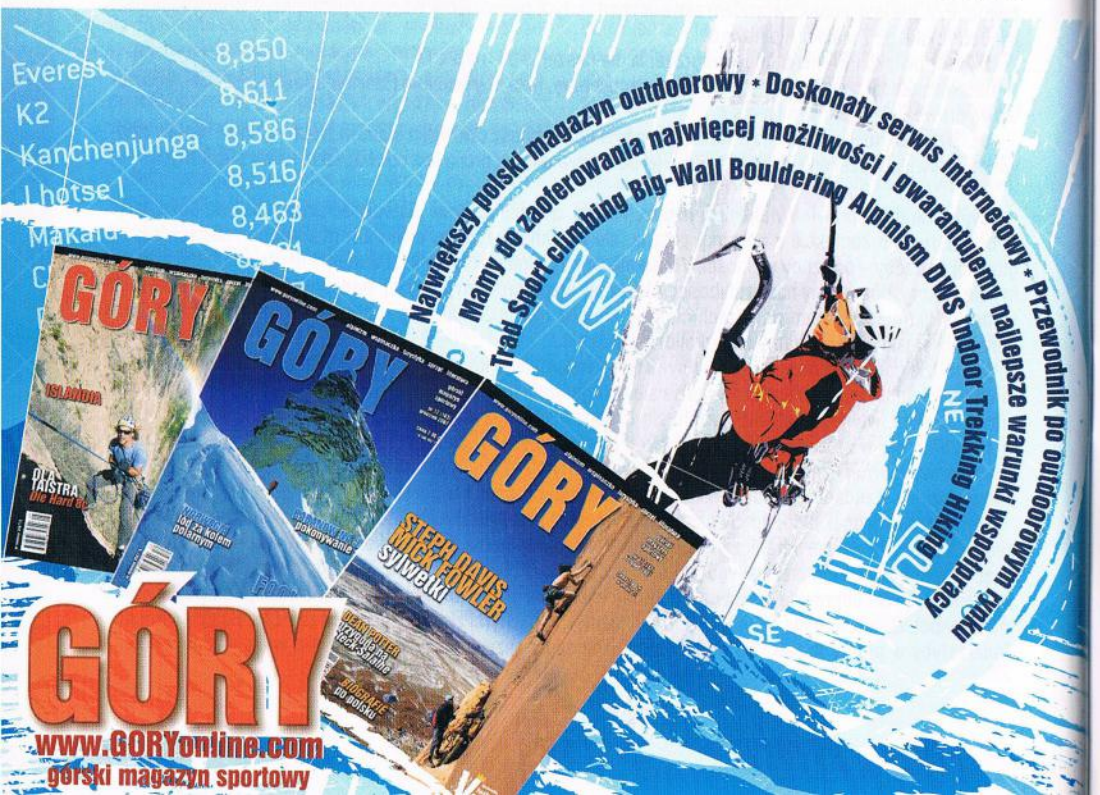

Jak przystąpić do Klubu:
Nie stawiamy żadnych barier formalnych – każdy może wstąpić do naszego klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków – jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść wkład w nasz rozwój – serdecznie zapraszamy! Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty, zaświadczenie o ukończonym kursie) lub wykaz przejść (może być skałkowych lub bulderowych) – to otrzymujesz status **członka zwyczajnego** (nie musisz nam przysyłać kopii dokumentów czy wykazu, ale możesz zostać o to poproszony, jeżeli pojawią się wątpliwości). Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) – to możesz wstąpić do klubu otrzymując status **członka uczestnika**, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu.

Zapisać się do Klubu można:
Osobiście: We wtorki w godzinach ścianki klubowej (Nowowiejska 37B, w godz. 20–22) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/12) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl).

Korespondencyjnie przez Internet: opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto Klubu i przesyłając swoje dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu (www.kw.warszawa.pl). Gdy przystępujesz korespondencyjnie – legitymację wyślemy Ci pocztą do domu (zdjęcie wkleisz sam).

Składki:
1. uczący się do lat 26 – opłata roczna 50 PLN + 50 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 30 PLN + wpisowe 50 PLN,
2. osoby powyżej 26 lat - opłata roczna 70 PLN + 70 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 50 PLN + wpisowe 70 PLN,
3. instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym,
4. dzieci i młodzież do 26 roku życia, jeżeli oboje rodzice są członkami KW – 50% zniżki w składce i wpisowym,
5. dzieci i młodzież do 26 roku życia, posiadające jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym,
6. członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego (po okazaniu legitymacji z opłaconymi bieżącymi składkami),
7. Emeryci i renciści – 10 PLN.

Ścianki klubowe:
Klub wynajmuje obecnie jeden obiekt – ściankę wspinaczkową w Centrum Wspinania „W Pionie" na ul. Nowowiejskiej 37B. Godziny dla klubowiczów przewidziane są we wtorki od godz. 20 do 22 – opłata 10 zł. Członkowie Klubu mogą też nabywać w klubie tańsze karnety na ściankę w Centrum Wspinaczkowym „On Sight" na ul. Obozowej 60 – cena 150 zł.

Bulderownia:
Bulderownia znajduje się w lokalu klubowym ul. Noakowskiego 10/12.
Bulderownia jest dostępna dla wszystkich członków KW Warszawa we środy i soboty w godz. 16–22 (opłata 5 PLN za wejście).
Dla osób należących do sekcji bulderowej – bulderownia jest dostępna codziennie w godz. 8–22, poza zajęciami treningowymi.

Obozy:
Co roku KW Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz wymianę doświadczeń między bardziej i mniej doświadczonymi kolegami oraz koleżankami. Są one bardzo popularne i bierze w nich udział nawet do 60 osób, które świetnie się na nich bawią, ale także – dzięki prowadzonym wykładom – dowiadują wielu ważnych rzeczy z dziedzin topografii, bezpieczeństwa i taktyki działania w górach.

W obozie może wziąć udział każdy członek klubu bez względu na doświadczenie. Jednak z powodu ograniczonej ilości miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem zobowiązana jest wypełnić formularz zapisu na obóz, który jest umieszczany na stronie klubowej z odpowiednim wyprzedzeniem.

Osoby nieposiadające doświadczenia (szczególnie dotyczy to obozów zimowych) powinny rozważyć opcję wspinania pod opieką instruktora, za symboliczną opłatą ok. 350 zł/tydzień. Wszyscy uczestnicy obozu muszą także mieć świadomość, że wyjeżdżają na własną odpowiedzialność i samodzielnie podejmują swoje wspinaczkowe decyzje – klub zapewnia jedynie rezerwację miejsc, pomoc w zakresie wyboru celów, literaturę, schematy i dobrą poradę starszych kolegów, na których zawsze można liczyć.

Warunkiem uczestnictwa w obozie jest także posiadanie aktualnego ubezpieczenia, obejmującego uprawianie alpinizmu i koszty akcji ratunkowej z użyciem helikoptera. Polecane przez nas jest ubezpieczenie związane z wykupieniem członkostwa w OeAV.

Lokal klubowy
ul. Noakowskiego 10/12
Warszawa

Korespondencja
ul. Jankowska 5/12
02-129 Warszawa

Sekretariat
Wtorki, godz. 20–22
ul. Nowowiejska 37B

Internet
http://kw.warszawa.pl

NIP
526 16 90 727

REGON
000987911

KRS
0000122453

Konto
Bank Zachodni WBK SA
48 1090 1694 0000 0001 1506 5257
ul. Jankowska 5/12
02-129 Warszawa

BCA
bcaccess.com
Dystrybutor BCA (Back Country Access) oferuje po specjalnych cenach sprzęt lawinowy przy zamówieniach realizowanych przez klub – kontakt marekczy@orange.pl.

Kayland (MountX)
www.mountx.pl www.kayland.com
biuro@mountx.pl
Dystrybutor obuwia Kayland – MountX oferuje po specjalnych cenach dla członków klubu wybrane modele – szczegóły w aktualnościach.

YETI do 30%
www.yeti.com.pl
sales@yeti.com.pl
Producent kurtek i śpiworów puchowych.
Zakupy można realizować:
03-710 Warszawa, ul. Okrzei 18
tel. 022 670 12 53 w.14; fax. 022 618 33 01
Osobą kontaktową jest Pani Elżbieta Malicka, tel. 663 870 112.
Na produkty YETI są następujące zasady zniżek:
30% upustu przy zakupach powyżej 6 tys. zł,
25% upustu przy zakupach powyżej 4 tys. zł,
20% upustu przy zakupach powyżej 2 tys. zł,
15% upustu przy zakupach poniżej 2 tys. zł.
Specjalny 30% rabat dla członków KWW na bieliznę termoaktywną Native Planet. Na produkty YETI od ceny internetowej jest 25% rabatu, na pozostałe produkty 20% rabatu. Warunkiem jest posiadanie ważnej legitymacji członkowskiej z opłaconymi składkami.

MAŁACHOWSKI do 20%
www.malachowski.com.pl
info@malachowski.com.pl
Pracownia Sprzętu Alpinistycznego.
43-426 Dębowiec,
ul. Skoczowska 49
tel.: 033 856 22 61
Dla członków klubu 20% zniżki na wszystkie produkty (nie dotyczy szycia na miarę).

MARABUT do 20%
www.namioty.pl biuro@marabut.pl
Namioty ekspedycyjne, wyprawowe, turystyczne.
32-070 Czernichów 451
tel.: 012 270 24 24
Dla członków klubu 15% zniżki przy zakupie do 5 szt. i 20% przy zakupie powyżej 5 szt.

MONTANO do 20%
www.montano.pl
primo@montano.pl
To czego pragniesz znajdziesz u nas
34-400 Nowy Targ, ul. Tetmajera 10
tel/fax 18 266 56 32
tel. 604 167 293
Produkty Montano dostępne są z klubowym logo.
Szyjemy odzież, także na miarę.

PLUS Mountain Bike Shop do 20%
www.rowery.com.pl plus@rowery.com.pl
Rowery górskie, części, akcesoria.
Warszawa, Ursynów,
ul. Zamiany 12,
tel. 022 644 29 02
Godziny otwarcia: pn.–pt. w godz. 11–19, sob. 10–14

SUMMIT (ASOLO) do 20%
www.summit-asolo.pl summit.asolo@op.pl
Znżka na sprzęt alpinistyczny, w tym obuwie marki ASOLO. Indywidualnie zniżka 10–20% w zależności od zamawianego towaru. Na grupowe zamówienia zniżka nawet powyżej 20% w zależności od rodzaju i ilości.
Sklep: Katowice, ul. Kościuszki 10
tel. 0 32 251 36 57

SALEWA do 30%
www.salewa.com kolo@adventureshop.pl
Dla członków KWW z opłaconymi składkami 30% zniżki na produkty firmy SALEWA. Zamówienia należy składać osobiście lub mailem. Minimalne zamówienie: 2100 zł brutto (po zniżce). Zamówienia koordynuje Mikołaj Hotówko.

TIYO POINT do 20%
www.tiyopoint.pl
sklep@tiyopoint.pl
Internetowy sklep podróżniczy
42-200 Częstochowa, ul. Dekabrystów 82
tel.: 0 603.623.824
Aktualne zniżki dla członków KW: 5–20 % w zależności od produktu.

e-biwak.pl do 12%
www.e-biwak.pl
sklep@e-biwak.pl
Internetowy sklep turystyczny.
tel.kom. 0 606-707-102
tel: 055 245 00 32; fax: 055 245 00 33
Dla członków Klubu z opłaconymi składkami 12% zniżki na produkty.
W rubryce uwagi wpisywać „KWW" celem identyfikacji.

ADVENTURE do 3%
Hala Sportowa KOŁO, ul. Obozowa 60
tel.: 22-877-33-70
kolo@adventureshop.pl
W sklepie Adventure można zamówić sprzęt firmy Salewa ze zniżką 30%.

ALPIN SPORT/HIMOUNTAIN Zakopane do 10%
www.sfpl.pl
alp1@ealp.pl
Outdoor, ski tour, alpinizm, wspinaczka.
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 11
tel. 0 18 201 70 95, alp1@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 28
tel. 0 18 201 44 41, alp16@ealp.pl
34-500 Zakopane ul. Krupówki 65
tel. 0 18 201 72 84, alp2@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 43
tel. 0 18 201 42 18, alp5@ealp.pl
34-500 Zakopane, ul. Krupówki 48
tel. 018 201 30 08, alp4@ealp.pl
34-500 Zakopane, Droga na Bystre 2A
tel. 0 18 201 27 36, alp3@ealp.pl
Kasprowy Wierch
tel. 0 18 201 42 18, alp19@ealp.pl
Sklepy czynne: pn.–cz. w godz. 11–18, pt. i sb. 11–19, nd. 11–16.

ALPINSKLEP do 10%
www.alpinsklep.pl
bomar@alpinsklep.pl
Turystyka, wspinaczka, trekking.
Sklep firmowy HiMountain
02-591 Warszawa, Metro Pole Mokotowskie, ul. Batorego 39
tel. 0 22 825 81 61
Sklep otwarty: pn.–pt. w godz. 11–19,
sob. w godz. 10–16,
od listopada do marca w niedz. w godz. 11–15

AZYMUT do 10%
www.sklepazymut.pl
biuro@sklepazymut.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, rowery, akcesoria rowerowe, narty, snowboardy.
Przemyśl, ul. 3 Maja 12
tel.: 016 679 02 10
Godziny otwarcia: pn–pt. 10–18, sob. 10–14
Ustrzyki Dolne, ul. 29-go listopada 26
tel. 0 13 461 34 74
Godziny otwarcia: pn.–pt. 9–17, sob. 9–14
Jarosław, Pl. Mickiewicza 11
tel. 0 16 621 67 68
Godziny otwarcia: pn.–pt. 9–17, sob. 9–14

BERGSON do 10%
www.bergson.pl www.rgsport.pl
biuro@rgsport.pl
Warszawa, ul. KEN 36 lok 33, Galeria Ursynów,
tel.: 022 649 13 54

CERRO TORRE SPORT do 15%
www.cerrotorre.pl
Sieć sklepów Jacka Fludera – CERRO TORRE SPORT
Warszawa, C.H. Klif, ul. Okopowa 58-72
Kraków, C.H. M1, Aleje Pokoju 67
tel. 0 12 296 59 00
Kraków, ul. Sienna 14
tel. 0 12 429 68 12
Wrocław, C.H. Auchan, ul. Francuska 6
tel. 0 71 780 66 47
Wrocław, C.H. Marino, ul. Paprotna 7
Katowice, C.H. Supersam, ul Piotra Skargi 6
tel. 0 32 781 03 77
Zabrze, C.H. M1, ul. Plut.R.Szkubacza 1
tel. 0 32 777 04 10
Legnica, Galeria Piastów, ul. Najśw. Marii Panny 9
tel. 0 76 727 74 55
Radom, C.H. M1, ul. Grzecznarowskiego 21
tel. 0 509 819 985

EXPEDITION do 10%
www.expedition.com.pl expedition.sklep@gmail.com
Sklep turystyczny
Warszawa, Al.Solidarności 129/131 (obok Sądów)
tel.: 0 22 652 20 35

HIMOUNTAIN do 10%
www.himountain.pl
Warszawa, C. H. Reduta, Al. Jerozolimskie 148
Warszawa, ul. Królewska 2 (wejście od Krakowskiego Przedmieścia)
Warszawa, C.H. Arkadia, Al. Jana Pawła II 82
Warszawa, Janki, C.H. Geant, ul. Mszczonowska 3

MULTAN EXTREME do 10%
www.multanex.com.pl mail@multanex.com.pl
Warszawa, Al. Jana Pawła II 32
tel. 0 22 620 36 76, 0 22 652 31 56
Godziny otwarcia: pn.–pt. 10–20, sob. 10–16

QUIKSILVER-ROSSIGNOL do 10%
www.pmsport.pl
Dla członków klubu za okazaniem legitymacji klubowej z opłaconymi składkami
10% zniżki na wszystkie produkty w sklepach:
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet
Gdańsk, ul. Przywidzka 8
QUIKSILVER-ROSSIGNOL CH KLIF
Gdynia, al. Zwycięstwa 256
ROSSIGNOL PRO SHOP Pasaż Handlowy RYNEK 13
Kraków, ul. Rynek Główny 12
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA KAZIMIERZ
Kraków, ul. Podgórska 34
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA KRAKOWSKA
Kraków, ul. Pawia 5
QUIKSILVER-ROSSIGNOL STARY BROWAR
Poznań, ul. Półwiejska 42
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet
Sosnowiec, ul. Orląt Lwowskich 138
QUIKSILVER-ROSSIGNOL GALERIA MOKOTÓW
Warszawa, ul. Wołoska 12
QUIKSILVER-ROSSIGNOL ZŁOTE TARASY
Warszawa, ul. Złota 59,
QUIKSILVER-ROSSIGNOL SADYBA BEST MALL
Warszawa, ul. Powsińska 31
ROXY-ROSSIGNOL CH ARKADIA
Warszawa, ul. Jana Pawła II 82
QUIKSILVER-ROSSIGNOL Fasion House Outlet
Warszawa, ul. Puławska 42E
QUIKSILVER-ROSSIGNOL ARKADY WROCŁAWSKIE

ROBERT`S OUTDOOR EQUIPMENT do 10%
www.roberts.pl roberts@roberts.pl
Specjalizuje się w produkcji odzieży i śpiworów ocieplanych puchem.
Gdynia, ul. Nowodworcowa 15
tel.: 058 629 42 98, 0 58 352 08 97

SHERPA do 10%
www.sherpa.pl sklep@sherpa.pl
Sklep górski: Warszawa, ul. Żelazna 59
tel. 022 455 85 35
Dla członków KW z ważną legitymacją i opłaconą składką 10% zniżki na wszelki asortyment nieobjęty promocją.

SKLEP PODRÓŻNIKA do 10%
www.sp.com.pl
sklep@traveler.com.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, narty, przewodniki, mapy i literatura.
Warszawa, ul. Grójecka 46/50
tel. 022 668 66 08
Warszawa – K1, ul. Kaliska 8/10
tel. 022 822 64 81
Warszawa – K2, ul. Kaliska 8/10
tel. 022 822 54 87

EXTREME SPORT – Zakopane do 7%
www.extreme.z-ne.pl
604451660@eranet.pl
Zakopane, ul. Krupówki 36
tel.: 018 206 29 99

MARIENSZTAT SPORT do 7%
www.mariensztat.pl
poczta@mariensztat.pl
Warszawa, ul. Mariensztat 19A – Centrum Sportów Górskich
Warszawa, ul. Garbarska 5 – sklep firmowy THE NORTH FACE
tel. 0 22 827 19 58
Czynne: pn.–pt. w godz. 11–19, sb. 10–15

POLAR SPORT do 7%
www.polarsport.pl
Sklep górski POLAR SPORT oferuje duży wybór odzieży i sprzętu do turystyki, wspinaczki, alpinizmu, skitoringu. Najlepsze marki, konkurencyjne ceny, częste promocje. Zapraszamy na www.polarsport.pl i do naszego sklepu przy ul. Siennej 15 w Krakowie.
tel. 0 12 422 42 49, 0 801 000 362

Sklepy Turystyczne "Horyzont" do 5%
www.e-horyzont.pl
Sklepy Turystyczne i sklep internetowy oferują członkom KWW zniżkę 5%.
Centrum Handlowe TARGÓWEK, lokal nr 120
ul. Głębocka 15, 03-287 Warszawa
tel. 0 22 674 15 77, targowek@e-horyzont.pl
ul. Mariensztat 8, 00-302 Warszawa
tel. 0 22 538 92 05, mariensztat@e-horyzont.pl
Plac Konstytucji 5, 00-657 Warszawa
tel. 0 22 628 36 73, mdm@e-horyzont.pl

TANIEWSPINANIE.PL do 10%
Sklep internetowy: KHUMBU" Bartłomiej Kierpiec
ul. Wielhorskiego 1a, 34-531 Murzasichle
Sklepy stacjonarne: Górski Sklep Sportowy - taniewspinanie.pl
ul. Piłsudskiego 14 A, piętro 2, 34-520 Poronin
tel. 18 207 45 88

AMC do 30%
Internet: www.amc.krakow.pl
info@amc.krakow.pl
Dystrybutor: PETZL, BEAL, DIRECTALPINE, LAKEN, MUND, INOOK, VAR. Minimalne zamówienie 2500 zł. Zniżki:
2500 – 9 999 zł – 15 %
10 000 – 19 999 zł – 20 %
20 000 – 29 999 zł – 25 %
30 000 – 49 999 zł – 30%

Wymagana koordynacja całego zamówienia przez jednego członka klubu. Kolejność działań: wysłanie zapytania ofertowego, AMC sprawdza dostępność i wystawia fakturę pro-forma, po zapłaceniu faktury AMC wysyła zamówienie pod wskazany adres na swój koszt.
ul. Niwy 21, 30-705 Kraków
tel.: (12) 656 70 89 wew. 75, fax: (12) 423 54 12

CHATA PRI ZELENOM PLESE do 10%
www.zelenepleso.sk
zelenepleso@zelenepleso.sk
Zniżka 10% dla członków kww. Rezerwacja mailem lub dzwoniąc na poniższy numer telefonu: 00 42 190 346 74 20.

CUMULUS do 20%
www.cumulus.pl
info@cumulus.pl
Producent profesjonalnych Śpiworów i akcesoriów rowerowych.
Zniżki: od 4000 zł – 20%
3000 – 3999 zł – 15%
2000 – 2999 zł – 10%
1 – 1999 zł – 5%
Wymagana koordynacja zamówienia grupowego przez członka klubu. Zam. indywidualne - skan legitymacji ze składkami. Wysyłka 19 zł (przelew), 25 zł (pobranie).
Ul. Szyprów 4, 81-561 Gdynia, tel: 58 620 94 12.

E-BUSOLA do 15%
www.e-busola.pl
sklep@e-busola.pl
Sklep stacjonarny i internetowy:
www.e-busola.pl
ul. Hiszpańska 13/3
54-409, Wrocław
tel. 510 396 073, 504 101 764
Szeroki wybór artykułów outdoor, sportowych i bagażników samochodowych. – 15% zniżki na marki turystyczne z wyjątkiem Aku, karrimor, trej mates, therm-a-rest, msr, packtowl, platypus, Petzl, Beal na które zniżka wynosi 12%, – 10% zniżki na kartografię, – 7% zniżki na bagażniki samochodowe i pozostały asortyment.

EcoBe do 15%
www.ecobe.com.pl
biuro@ecobe.com.pl
Dystrybutor jednorazowych ogrzewaczy do ciała firmy Heat Factory i wszelkich akcesoriów tej firmy (czapki, maski narciarskie, rękawiczki, skarpety, wkładki do butów), ogrzewaczy wielorazowych firmy ABC-N System oraz krzesiw. Dla członków KWW z opłaconymi składkami 15% zniżki na cały asortyment oferowany w sklepie internetowym.
Przy zamówieniu w rubryce dodatkowe informacje prosimy wpisać KWW celem identyfikacji. Istnieje możliwość osobistego odbioru zamówienia w Warszawie.
tel/fax +48 22 635 25 30
tel. kom. 0601 29 46 37

HORSEWAY do 15%
www.horseway.pl
sklep@horseway.pl
Zniżki:
10% na bieliznę termiczną Lurbel przy zamówieniu do 1000 zł,
15% na bieliznę termiczną Lurbel przy zamówieniu powyżej 1000 zł,
10% na środek do prania odzieży technicznej Bense&Eicke Textile Wash.

KANFOR do 30%
www.kanfor.pl
shop@kanfor.pl
Producent rękawic oraz odzieży z Polartec, Windbloc, Windstopper, No-Wind, Softshell i innych.
Własny sklep internetowy.
Zniżki:
1 – 999 zł – 10%
1000 – 1999 zł – 20%
2000 – 2999 zł – 25%
3000 zł – 30%
ul. Dąbrowskiego 113, 93-208 Łódź
tel: +48 426427128(38)
Osoba do kontaktu Pani Barbara Siudak:
shop@kanfor.pl.

KWARK do 25%
www.kwark.pl kwark@kwark.pl
KWARK S.C. Katarzyna i Bogusław Nizinkiewicz.
Zalom ul. Parkowa 12, 70-896 Szczecin
Telefon: +91 43-123-23
1 – 749zl – 10% 750 – 1499 zł – 15%
1500 – 2499 zł – 20% od 2500 zł – 25%
Zniżki dotyczą nieprzecenionych produktów przy płatnościach przelewem. Koszt przesyłki UPS 25zł. Zamówienia grupowe – wymagana koordynacja ze strony członków Klubu. Należy przesłać scan legitymacji.

M-ARTE Agent Sklepu Podróżnika do 25%
martastarosolska@gmail.com
Wysyłkowa sprzedaż publikacji SKLEPU PODRÓŻNIKA i innych książek, map.
Szczegółowe warunki sprzedaży i cennik w zasobach.
Zamówienia: M-ARTE Oficjalny Agent Sklepu Podróżnika Marta Staropolska:
martastarosolska@gmail.com,
tel. 608 57 50 02.

MAMMUT do 10%
www.climbrock.pl
Sklep firmowy Mammut: Ludzie Gór s.c.
biuro@ludziegor.pl
ul. Nowotarska 23b, 34-500 Zakopane
tel. 18 5416100
pon–pt: 10–18; sob. 10–15
Sklep firmowy Mammut: WEB WORKS s.c.
sklep@climbrock.pl
ul. Niepodległości 227/233, 302-087 Warszawa
tel. 22 3821726; tel. 530021954
pon–pt: 11–19; sob. 11–15.

MOUNTAINTOOLS do 15%
Internet: www.mountaintools.com
toolman@mountaintools.com
Zniżka w amerykańskim sklepie internetowym (www.mountaintools.com):
10% zniżki przy płatności kartą kredytową,
15% zniżki przy płatności WTX (opłata 20 USD).

SKALNIK do 15%
www.skalnik.pl sklep@skalnik.pl
15% upustu na cały asortyment z wyjątkiem Petzl'a, na który to sklep daje zniżkę 10%. Powyższe upusty dotyczą cen produktów - nieprzecenionych, nieobjętych innymi promocjami. Przy zamówieniach internetowych – w komentarzu wpisujemy „KW WARSZAWA"
Wrocław, ul. Bogusławskiego 45: sprzęt wspinaczkowy, do prac na wysokościach, odzież buty, militaria, namioty i śpiwory, ul. Ładna 1A: Buty, sprzęt wspinaczkowy i do prac na wysokościach, namioty i śpiwory, ul. Ładna 4/6: odzież, drobne akcesoria turystyczne, ul. Polaka 18: Odzież, buty , sprzęt wspinaczkowy i do prac na wysokościach, akcesoria turystyczne, namioty i śpiwory, ul. Polaka 20: Sprzęt kempingowy, drobne akcesoria turystyczne, odzież i buty,namioty i śpiwory.
pon–pt: 10–19; sob: 10–17.

SKI-TUR sprzęt turystyczny i ratowniczy do 10%
www.arva.pl sklep.skitur@gmail.com
Sprzęt lawinowy francuskiej firmy ARVA, sondy lawinowe, łopaty, detektory najnowszej generacji oraz specjalistyczne plecaki do uprawiania narciarstwa wysokogórskiego.
VacuMed Krzysztof Wasilewski
NIP: 6791229586, Regon: 351278574
tel. : +48 607 696 993
e-mail: sklep.skitur@gmail.com

WORK SPORT do 5%
www.worksport.com.pl worksport@go2.pl
Sklep internetowy. Sprzęt wspinaczkowy, do prac na wysokości, fitness i cardio. Zniżka dotyczy całego asortymentu również w promocji i przecenie.
Warszawa-Wesoła 05-075, Plac wojska Polskiego 152 lok. 39
fax 22 773 40 63; tel. kom. 603 960 090
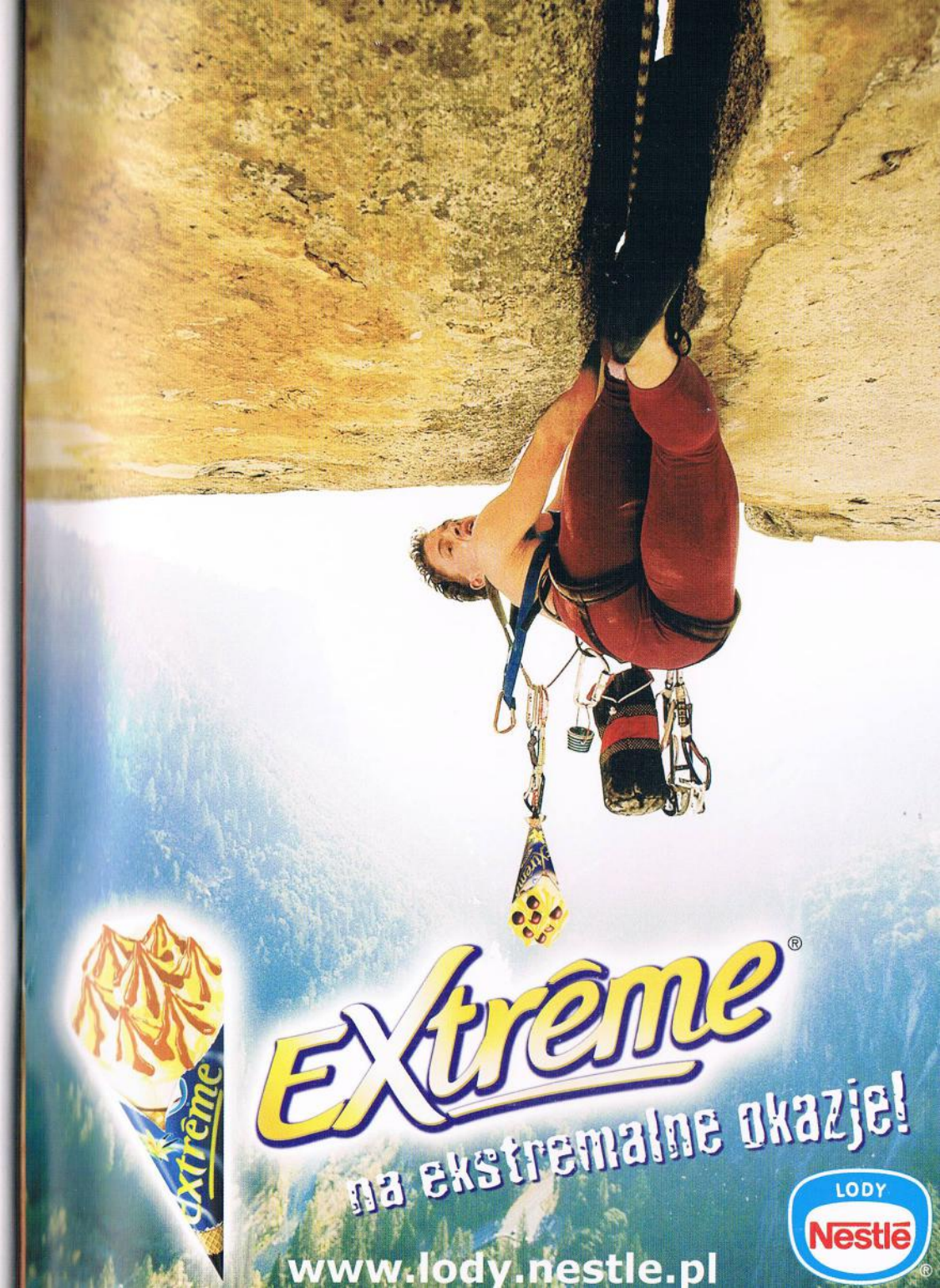
Wszystkie zniżki za okazaniem legitymacji z opłaconymi składkami za bieżący rok.